

MAGDALENA SAMOZWANIEC

MARIA i MAGDALENA



CZEŚĆ 2

MAGDALENA SAMOZWANIEC

MARIA i MAGDALENA



CZEŚĆ 2

MAGDALENA SAMOZWANIEC

MARIA

i

MAGDALENA

CZEŚĆ 2

GLOB 1987

Projekt okładki i stron tytułowych WŁODZIMIERZ BAZYLI KRASULAK

Wydanie oparte na edycji Wydawnictwa Literackiego z 1960 roku

© Copyright by Wydawnictwo Literackie Kraków 1956

ISBN 83-7007-092-2

WYDAWNICTWO „GLOB” SZCZECIN 1987

Wydanie ósme. Nakład 99 650+350 egz.

Arkuszy wyd. 13,5. Arkuszy druk. 15,5, Oddano do składania w październiku 1986 r. Podpisano do druku i druk ukończono w maju 1987 r. Papier offsetowy kl. V, 70 g. rola 61 cm Zam. 1060/1100/86 N-4/34

ŁÓDZKA DRUKARNIA DZIEŁOWA

Cena części 1-2 zł 750,-

Rozdział I

DUCHY

Po pierwszej wojnie światowej zapanowała moda na spirytyzm. Duchy „puszczało się” przy okrągłym stoliku. Splecione palce uczestników seansu stanowiły łańcuch magiczny, przez który przebiegał „fluid”. Duch pukał w ziemię nogą stołową (od tego czasu prawdopodobnie powstało powiedzenie: „głupi jak stołowa noga”) i zatrzymywał się na wygłaszanej przez uczestników literze alfabetu, co skrzętnie zapisywano.

- Duchu, jeśli jesteś, puknij raz; jeżeli cię nie ma, dwa razy! - mówi-

ły z namaszczeniem poważne matrony.

- Taak, to Wacusz, to mój biedny syn... poznaję go po pukaniu, on zawsze w ten sposób. Wacusiu, dziecko drogie, jak ci TAM jest?... Puknął raz, to znaczy, że źle. Powiedz, czy mam dać na mszę?

- P m b r g y .

- Zanotujcie. Po jakiemu to może być? Może po marsjańsku? Mar-sjanku, czy to ty?

- P m g r b .

- To pewno oznacza jego nazwisko. Powiedz, kochanie, czy prędko wyjdę za mąż?

- Proszę ducha nie zajmować osobistymi sprawami! Duchu, powiedz, czy Piłsudski zostanie dyktatorem?

- M r r b r .

- Ale powiedz, czy wyjdę za mąż za Stasia czy Józia? Tylko tego pragnę się dowiedzieć.

Na eksperymenty ze sławnym medium Janem Guzikiem zjeżdżały się takie powagi naukowe, jak profesorowie Richet i Gillet. Sława Guzika została trochę przyćmiona na pewnym seansie, na którym „zaświatowa” zimna dłoń dotykała wszystkich uczestników po twarzy. Jakiś niedowiarek 5

zaświecił nagle światło i okazało się, że lodowata ręka była zimną nogą Guzika, który - skrzepowany tylko od góry - mógł dowolnie manewrować dolnymi kończynami.

Pewna dama, która podczas całego tego seansu bardzo się dzielnic trzymała i ani razu nie krzyknęła - ujrawszy nogę Guzika - zemdląca.

Sławne medium tłumaczyło się, że nie będąc tego dnia dysponowane, a nie chcąc zaproszonym gościom robić zawodu, musiało w ten sposób ratować swoją opinię.

Magdalena z Antonim Słonimskim wydali w tym czasie zbiór purnonsensowych humoresek „Czy chcesz być dowcipny?”, z których jedna nosiła tytuł „Cuda z Guzikiem, czyli spotkanie podsądnego”. Oto mały fragment z tego pięknego utworu:

Onegdaj po sutej wieczery na korzyść państwa X. powracając do domu od znajomych ze świeżo poznanym kolegą szkolnym weteranem Zamęskim, byłem świadkiem następującego zdarzenia: Z bramy domu wypadł wystawnie ubrany przechodzień, potracił mnie w bok brutalnie i rzekł:

- Hej, ty domokrązco, nie ociągaj się po ulicy, ale idź za szóstym przykazaniem. Ogrodowa 16! - i zniknął.

Ale już po chwili potracił mnie, tym razem silniej, i dodał: - A - 16 A

- i tyle go widziałem.

- Samochód! - krzyknąłem na dwie przechodzące właśnie panie.

Opowiadający to wydarzenie udaje się pod wskazany adres, gdzie cztery stoliki jak czterech braci mlecznych unoszą się na jego widok do góry. Ale już na pewno nie było przywidzeniem - opowiada w dalszym ciągu - zjawienie się samego mistrza Guzika, bo jego to było mieszkanie: okrągły i oderwany stał w trzeciej pozycji posługując się wszystkimi czterema dziurkami - Od kogo to? - rzekł do mnie jedną z dziurek.

Postacią bardzo znaną i popularną w Warszawie był wielki jasnowidz Stefan Ossowiecki; przepowiedział on nagłą śmierć kilku osobom, umiał

odczytywać i is ty przez zamknięte koperty i widywał nad głowami poszczególnych osób świetlane aureole, niebieska oznaczała ciężką chorobę, biała - śmierć. Madzia z jego powodu przeżyła dni pełne niepokoju, ponieważ „mistrz”, spotkawszy ją kiedyś na ulicy Mazowieckiej, spojrział

ponad jej głowę, pytając się:

- Jak się pani czuje, jak się pani czuje?

6

Wojciech Kossak żył z Ossowieckim w wielkiej przyjaźni i nieraz po klubach grywali ze sobą w brydża. Słynny jasnowidz grał bardzo słabo, za to najbezwzględniej zaglądał swoim przeciwnikom w karty, co Wojciecha szalenie śmieszyło.

- Mój Stefanku - upominał go - nie zaglądaj mi w karty, przecież jako jasnowidz powinieneś wiedzieć, co ja mam w karcie! - O, nie - odparł na to Ossowiecki - to nie byłoby *fair play*, ja moich zdolności do takich rzeczy, jak karty, nie używam...

O ile Ossowiecki uprawiał swój poboczny zawód jasnowidza tylko ja-ko „sztuka dla sztuki”, nie czerpiąc z tego żadnych zysków - o tyle woko-

ło mnożyło się coraz więcej magów, spirytystów, którzy żyli dostatnio z naiwności ludzkiej. Na wieczory słynnych hipnotyzerów ludzie biegali z taką pasją jak dzisiaj na przedstawienie „Szpaka” lub do „Syreny”.

Był więc wówczas słynny dr Radwan, który jeździł ze swoim medium po całej Polsce i zawsze miewał nabitą salę. Na scenie usypiał nieszczę-

sną ofiarę passami magnetycznymi, a gdy już popadła w tak zwany sen kataleptyczny, nakłuwał ją igłami, przedziurawiał nożem na wylot, w końcu siadał na niej jak na krześle. Niektóre ciała kobiece dla pieniędzy wszystko zniosą, więc i medium nawet nie drgnęło, co widownię wprawiało w szal entuzjazmu.

Drugą sławą był niejaki dr Czerbak, który potrafił przy zaćmionym świetle usypiać całą widownię - co i dzisiaj umieją wyczyniać niektórzy autorzy dramatyczni, wcale tym sławy nie zyskując. Dr Czerbak grasował po całej Polsce, a w Zakopanem wplątał się w życie tamtejszego „najlepszego” towarzystwa, eksperymentując na naiwnych damach. Uprawiał on między innymi systemami tak zwany „*Schrecksystem*”, który polegał na tym, aby opornemu, który za nic nie chciał zasnąć, ryknąć do ucha: „Śpij!!”

Madzia pierwsza zgłosiła się do eksperymentu, oświadczywszy profesorowi, że jest wypróbowanym medium. Profesor posadził ją naprzeciw siebie i swoje ogniste źrenice wbił w jej oczy. Ścisnął jej rękę, szepcząc: -

Usypiam... usypiam powoli... już nie wiem, co się ze mną dzieje... kim jestem... zapadam się coraz głębiej... coraz głębiej w sen. - Madzia znużona 7

przymknęła oczy. - Już śpi - rzekł profesor, gładząc z zadowoleniem długą rozwianą brodę - teraz możemy jej wmówić, że jest całkiem kimś innym... na przykład niemowlęciem w kołysce, które zaraz zacznie kwi-lić! - Madzia nie wytrzymała i uśmiechnęła się kącikami ust. - Jeszcze nie śpi snem hipnotycznym - zauważył po chwili z pewnym zniechęceniem - trzeba użyć ostatecznego sposobu. - Pochylił się nad nią i z całej siły ryknął jej do ucha: - ŚPIJ!! Nie przygotowana na to, zerwała się przerażona z krzesła, po czym zaczęła się śmiać jak szalona. Profesor obraził się bardzo i od tego czasu ledwo jej się kłaniał.

Wielką sławę zyskała sobie jako wróżbitka pani Mirta Noel, która wróżyła z ręki i z kart. Kiedyś spotkała w pewnym eleganckim towarzystwie Magdaleny, która właśnie była rok po ślubie ze swoim pierwszym mężem, Starzewskim.

- Nie będzie pani z mężem szczęśliwa - rzekła, wpijając w jej dłoń wzrok czarny i przenikliwy - i do trzech lat będzie pani rozwódką. - Ta przepowiednia sprawdziła się dokładnie i Madzia odtąd głosiła wokoło, że pani Mirta jest wielką jasnowidzącą. Przepowiednie na „nie” są jednak niesłychanie łatwe do zrealizowania i każdy „niewtajemniczony” może je prawie bez ryzyka wygłaszać: „Nie będzie pani z mężem szczę-

śliwa” (bardzo prawdopodobne). „Nie wygra pani na loterii państwowej” (przepowiednia, która sprawdzi się na sto dwa). „Nie zazna pani w życiu nędzy - ale pieniądze nigdy nie będą się pani trzymać” - taką przepowiednię można mówić każdemu i na pewno się sprawdzi. Gdy jednak sławna wróżbiarka zaryzykowała w stosunku do Magdaleny przepowiednię brzmiącą jak fragment z powieści Heleny Mniszek, a mianowicie: „Widzę panią w gondoli na Canale Grande w Wenecji - obok pani piękny cudzoziemiec, który panią obsypuje różami herbacianymi i kosztownościami” - straciła kompletnie u niej kredyt, ponieważ przepowiednia ta w realizacji wyglądała zupełnie inaczej: nie Canale Grande, tylko Kanał Kiloński - i nie piękny cudzoziemiec, tylko gruby, jowialny kapitan 8

Polak z British-Polish Comp., który nie obsypywał Magdaleny kosztownościami, tylko „Perłą” Baczewskiego, tak że w stanie zupełnego zamroczenia przyjechała do Gdyni, a kapitan w Kanale najechał na łódź rybacką, którą przepołowił na pół. Odtąd nigdy już nie wierzyła dosłownie w przepowiednie sławnych chiromantek.

Nie należy przypuszczać, aby sprawami zaświatów zajmowały się tylko płytkie umysły. Spirytyzm interesował również poważnych naukowców, profesorów o siwych i czarnych brodach, z cwikierami na oczach, którzy „naukowo” podchodzili do tej sprawy. Powstała obszerna literatura, w której czytało się takie słowa, jak: medium, ektoplazma, zjawy górne i dolne, lewitacja, aport, łańcuch magiczny etc. Do ogólnego wykształcenia dorastających pań należało wiedzieć, kto jest profesor Richet, Gillet, Schrenck-Notzig, sławne medium Eusepia Paladino, a u nas pani Domańska - medium słynnego profesora Ochorowicza, autora wielu broszurek relacjonujących przebiegi seansów spirytystycznych, przy której to lekturze zapadało się natychmiast w sen kataleptyczny.

Spirytyzmem zajmowały się nawet tak dobre pióra, jak Maeterlinck i Conan Doyle. Seanse

spirytystyczne miały w sobie duży posmak erotycz-ny. W zaciemnionym pokoju, oświetlonym jedynie niebieskawym. światełkiem, młodzi siedzieli koło siebie ze splecionymi palcami i przyciśnię-

tymi do siebie kolanami. „Zaświatowy wiew” dziwnie przypominał iskry erotyczne, które przelatywały z palców do palców, z kolan do kolan.

Młoda kobieta pytała ducha w myślach, czy ten, który jej te iskry wysyła, kocha ją naprawdę, czy tylko tak... na żarty. Miało to niesamowity urok, toteż obie nasze siostry paliły się do seansów spirytystycznych i coraz to organizowały je w salonie na Kossakówce ku wielkiemu niezadowoleniu Mamy: spowiednik jej stanowczo sprzeciwił się takiemu wglądaniu w boskie tajemnice; nazywał to „nieczystymi siłami”, które działają „na niekorzyść człowieka i mogą go nawet doprowadzić do obłądę, w czym nie był daleki od prawdy. Ale ponieważ nic w naturze nie ginie, więc te seanse na Kossakówce przyczyniły się do napisania przez Marię Pawlikowską całego tomiku prześlicznych wierszy pod tytułem „Profil Białej Damy”, gdzie widma „białych dam” zrzucają nagle zaświatowe giezła i 9

zrzucają się na szyję chłopcu. Albo jak w wierszu „Nieudany seans”: *Alfabet był mętny, zawity...*

Niecierpliwł się łańcuch uczestników...

Za to jedna z rąk, bielsza od białych gwoździów, drgnęła nakryta ręką pełną siły.

Fluid ulatniał się niepostrzeżenie...

Stolik stanął i zamarł bez ruchu.

Z białej ręki w dłoń męską przeniknęło drżenie i przyszła miłość zamiast duchów.

Poetka miłości zajmuje się zaświatami tylko tyle, ile jej potrzeba, aby stworzyć nowy wiersz tętniący życiem i miłością do życia. Jej wiara w

„pozagrobówkę”, zwaną tak przez jej dowcipną siostrę, jest dość nikła, co się wyraźnie daje - odczuć w rozdzierająco smutnych wierszach o płytach zmarłego tenora Carusa:

Milczenie grobu przebijam

namiętym śpiewem zmarłego.

Jak krew kapie z mej płyty piosenka Nutilego, O mamma mia!

Mgłą się na płycie owijam,

lecz mnie nie zbawi muzyka,

i jestem mniej niż mucha, co żyje i bzyka, o mamma mia!

Faktem jest jednak, że na niektórych warszawskich „spotkaniach z duchami” - jak by to się dzisiaj

nazywało - działały się rzeczy zdumiewają-

ce i żadnymi prawami fizyki nie objęte; można je wytłumaczyć chyba tylko masową sugestią i masową histerią, które potrafią czynić cuda". W

każdym razie to, co na takim seansie widziała na własne oczy młodzianka wówczas pani Magdalena Starzewska-Samozwaniec, nie wyglądało na zręczny trick, ale raczej było masową sugestią, narzuconą uczestnikom przez hipnotyzera. W Warszawie mieszkał stryj jej męża, Leopold Starzewski, wraz ze swoją piękną małżonką. Oboje byli ludźmi o wielkiej umysłowej kulturze i wiedzy i oboje kompletnie opętani przez duchy.

Opisywali oni zdumionej Magdalenie, jak podczas seansu ze słynnym 10

medium panią Popławską, usypianą przez znanego „profesora” hipnotyzera, ukazywał im się malutki skrzat, czyli tak zwana Zosia, która po seansie zostawała z nimi jakiś czas. tańczyła z panem domu, figlowała i w ogóle była r o z k o s z n a.

- A jak wygląda ta... ta Zosia? - zapytała drżącym głosem* Madzia.

- No... jak by ci tu powiedzieć, trochę małpeczka... trochę lalka eg-zotyczna. - Wzrostu mniej więcej jamnika służącego na dwóch łapkach.

Ma czarną mordeczkę i bardzo świecące oczka.

- A czy... czy ona z wami rozmawia?

- Nie, nie rozmawia, ale za to bawi się, tańczy z Poldkiem przy gramofonie. Pasjami lubi muzykę...

- No dobrze, a jak chodzi ubrana?

- Ubrania biedactwo nie posiada, TAM się nie ubierają, ale my jej przygotowujemy białe prześcieradełko. w które się owija od stóp do głów. Szalenie jest miła i do nas przywiązana.

- No dobrze - jęknęła Madzia - ale skąd ona się bierze i z czego się robi?... Ojej... ja chyba zwariuję!

Piękna pani Dunia uśmiechnęła się pobłażliwie: - Trudno to wytłumaczyć takiemu kompletnemu laikowi jak ty. Skąd się bierze?... z astra-lu. a właściwie konkretnie mówiąc z ektoplazmy. którą wydziela ze siebie pani Popławska, drugie medium na świecie, które tę własność posiada. Pani Popławska razem z profesorem mają zaproszenie do Paryża do Instytutu Metapsychnicznego. gdzie niedługo wyjadą. Na razie eksperymentują u nas, w naszym mieszkaniu.

- A ciocia się nie boi. że ta Zosia zostanie u was na stałe?... To przecież byłoby dość straszne...

- Marzymy o tym oboje z Poldkiem, ale niestety nie zanoszą się na to.

Nie jest zresztą rzeczą wykluczoną. Profesor Schrenck-Notzig miał taką zjawę, która po seansach

zostawała u niego przez jakiś czas. Była to młoda prześliczna dziewczyna o długich blond włosach. Grywała na fortepianie, śpiewała, spędzali we dwoje zimowe wieczory... w ogóle zachowywała się jak istota żywa.

- A może to była naprawdę żywa kobieta?... jego przyjaciółka, i on tylko przed żoną udawał, że to jakieś ciało astralne?

- Nie, kiedy z tą Madzią nie można poważnie rozmawiać!

11

Wszystko obraca w żart! Pisz dalej swoje głupstewka, a spiryty-zmem sobie główki nie zaprzataj.

- Niech mi ciocia pozwoli przyjść na taki seans - poprosiła Magdalena pokornie.

- Możesz przyjść jutro o siódmej wieczór, tylko żebyś się spokojnie i przyzwoicie zachowywała.

Nazajutrz o oznaczonej godzinie Magdalena znalazła się w pięknym i obszernym mieszkaniu państwa Leopoldostwa Starzewskich. W małym buduaru siedział obok pani domu poważny pan z czarną brodą i młoda kobieta o bladej cerze i wyblakłych oczach. Wyglądała na osobę chorowitą i przemęczoną. Po kątach siedzieli zaproszeni goście, przeważnie ze sfer naukowych i artystycznych. Po wypiciu herbaty „profesor” zapytał

się pani Popławskiej, czy można seans rozpocząć, po czym oboje ulotnili się w celu wprowadzenia medium w sen hipnotyczny. W dużym salonie stały krzesła poustawiane rzędem jak w sali wykładowej, na końcu widniało podium zasłonięte od góry kotarą, przed kotarą stał dzwonek, któ-

ry w pewnej chwili sam zadzwonił, co już było objawem mocno niepokojącym, po czym kotara sama się rozsunała i oczom zgromadzonych ukazało się medium pogrążone w głębokim śnie. Było od góry do dołu skrę-

powane sznurami i przytroczone nimi do krzesła. Wyglądało jak ofiara inkwizycji, która ma być lada moment poddana wyszukany torturom.

Po chwili stała się rzecz zgoła niezrozumiała i przerażająca, bo oto z ust medium poczęła się szeroką strugą wylewać jakaś mleczna fosforyzująca ciecz, która, zalawszy całą postać, wzbiła się do góry, tworząc wysoki biały słup. Madzia zamarła z przerażenia, ale gdy z owej materii poczęła się tworzyć chuda biała rączka staruszki, wyrastająca z ramienia medium - nie wytrzymała, krzyknęła i, siedząc koło ciotki męża, skoczyła jej na kolana, twarz chowając na biuście pani Duni. Zachowała się doprawdy nie jak mężatka, matka i autorka, ale jak głupia mała dziewczynka. W

tej samej chwili medium rzekło przez sen tępym, drewnianym głosem:

- Zosia dziś się nie ukáže, bo na sali jest jedna panienka, która się okropnie boi...

12

Dzisiaj byłaby prawdopodobnie patrzyła na to spokojnie, zdając sobie sprawę, że wszystko to razem polegało na masowej hipnozie, tak jak sławny numer indyjskich fakirów, podczas którego fakir na rynku publicznym pokazuje sztuczkę z chłopcem biegnącym do góry po rzuconym w powietrze sznurze, fakir goni go, ścina mu głowę, którą rzuca do kosza, po czym obaj żywi i zdrowi krążą wśród publiczności zbierając datki na tackę. Masowa sugestia potrafi działać tak silnie, że jak Maeterlinck opisuje, sam widział ową niesamowitą sztuczkę przez l o r n e t k ę z odległego od placzyku domu. Jednocześnie robiono zdjęcie fotograficzne, na kliszy jednak nie było nic!

Dzwonek znów sam zadzwonił, kotara sama zaciągnęła się. Seans został zerwany.

- Widzisz, coś narobiła - syknęła pani domu – zepsułaś cały seans!

Madzi, skompromitowanej w oczach reszty towarzystwa, nie pozostawało nic innego, jak szybko pożegnać się i zwiać. Odtąd nigdy więcej nie zapragnęła brać udziału w tego rodzaju ponurych eksperymentach.

Wystarczyło jej, że na własne oczy widziała „ducha” i że będzie tym mo-gła imponować Lilce i swoim licznym przyjaciółkom. Piękna pani Leopoldowa Starzewska nie zaprzestała w dalszym ciągu „spotkań z duchami”, co w końcu odbiło się fatalnie na jej umyśle. Kiedyś, po jakimś seansie, przyczepiła się do niej „dolna zjawa” - coś między niesamowitym zwierzakiem futerkowym a diabełkiem - która odwiedzała ją w róż-

nych porach dnia i nocy. Opowiadała o tym spokojnie, z pogodnym uśmiechem na ustach:

- Więc wyobraź sobie, moja Madziu, że kiedyś rano siedzę sobie przed lustrem i czeszę włosy, nagle w lustrze widzę, że ON siedzi mi na ramieniu...

- No i co? Nie umarła ciocia ze strachu?!

- Skąd... Byłabym zaniepokojona, gdyby mi się przestało pokazywać. Tak się do tego potworka przywiązałam...

Bardzo częstym gościem na Kossakówce była znana na bruku krakowskim postać Józefa Albina Herbaczewskiego, którego uwieczniono w „Zielonym Baloniku”. Litwin z pochodzenia, był litewskim 13

patriotą i snuł marzenia niełatwe do zrealizowania, aby Kraków przyłą-

czyć do Litwy poprzez jakiś k o r y t a r z . Herbaczewski, niesłuchanie biegły w astrologii, swoim znajomym stawiał horoskopy, w których zazwyczaj był nieomylny. Robił to zresztą *con amore* - nie biorąc honorariów, podobnie jak Ossowiecki. Był to szczupły człowieczek z bujną artystyczną fryzurą, o wysokim, białym czole. Miał specjalnie bystry i przenikliwy wzrok, którym przebijał człowieka na wylot. Aby zaznaczyć swoją przynależność do dziwacznych typów Krakowa, nosił czarną pelerynę, miękkie, czarne kapelusze, a zamiast krawata lavalierę z aksamitu lub czarnego jedwabiu w białe kropki. Hodował w sobie „sataniczne” zami-

łowania i cieszył się, gdy w horoskopie danej osoby znalazł coś ciemnego i diabelskiego.

- Ho, ho! - zawołał zacierając ręce z radości, gdy mu siostrzyczki pokazały datę urodzenia ich kuzynki, Zofii Szczuckiej. - Waga; odpowiednia karta w taroku - „śmierć”. Przy tej osobie musiało dużo ludzi umrzeć! - Siostry, które były szalenie zabobonne i we wszystko wierzyły, struchlały. Rzeczywiście „mistrz” nie mylił się. Zofia straciła swojego pierwszego męża, Szczuckie go, swojego brata Witolda, który utonął

mając dwanaście lat, ośmioletniego synka z pierwszego małżeństwa, a siedzący przy stole naprzeciwko niej wuj Kazio Romański zmarł nagle przy rodzinnej libacji, podnosząc kielich z szampanem do góry. Oczywiście, że to mógł być równie dobrze zbieg okoliczności, ale skoro Herbaczewski w jej horoskopie to ujrzał - należy być ostrożnym i za wiele z nią nie przebywać.

Pan Albin był dla znajomych kobiet typem o tyle niebezpiecznym, że pamiętał doskonale ich daty urodzenia, do których mu się, będąc młodsze, szczerze przyznawały, aby uzyskać od niego swój horoskop. Pewnego razu, spotkawszy Magdalenę w redakcji „Tygodnika Ilustrowanego” w Warszawie, pokłócił się z nią na temat jej lat. Madzia właśnie rozmawiała z naczelnym redaktorem.

- Jestem od pani chyba o dziesięć lat starszy - rzekł redaktor - więc powinna pani posłuchać mojej rady.

- O dwanaście - poprawiła go Madzia, spuszczać skromnie oczęta.

14

- Tylko o sześć - zaśmiał się sarkastycznie Herbaczewski - przecież ja doskonale pamiętam pani datę urodzenia!

Kiedyś bardzo się na nią zirytował, gdy mu oświadczyła, że ma zamiar drugi raz wyjść za mąż.

- Żeby „lew” chciał wychodzić za mąż, i to po raz drugi! Cha, cha, cha!

- Co to znaczy „lew”?

- Już pani zapomniała? Pani jest urodzona pod znakiem Lwa: odpowiednik w taroku - „pustelnik”. Ale proszę bardzo, niech pani sobie wychodzi, wolna wola, ale pani zobaczy, jaka będzie nieszczęśliwa. A cóż dopiero ten biedny mąż - hi, hi, hi!

Pana Albina poczęła uwodzić z nudów pewna piękna krakowska hra-bina. Uwodziła zresztą wszystkich, którzy się znaleźli w jej kręgu. Herbaczewski wziął to na serio i skarżył się obu siostram, że o n a mu spokoju nie daje, że to jest s z a t a n , który mu się we śnie pokazuje, że na jawie widzi wokoło siebie płomień, że jest straszną grzesznicą, która l e c i na niego, człowieka czystego i wyzwolonego od tego rodzaju pokus.

- Kocha się we mnie, to jasne - mówił zacierając ręce. - Ooo, ale ja się jej nie dam, nie! Będzie strasznie przeze mnie cierpieć... widzę to...

Siostrzyczki wewnątrz kulały się ze śmiechu. One to właśnie poznały „maga” z ową piękną damą i

teraz radowały się bardzo, że tak im się figiel udał, bo damie znów tłumaczyły, że to on tak się w niej śmiertelnie zadurzył.

Herbaczewski nie znosił, aby się ktoś wyśmiewał z jego tajemnej wiedzy i satanicznych właściwości. Kiedyś w saloniku na Kossakówce rozegrała się na tym tle zabawna scenka. Z wizytą do Mamy Kossakowej przyszedł czcigodny i jak zawsze bardzo serio rejent Starzewski, teść Magdaleny. Wśród gości znajdował się- również i pan Albin. Pan rejent, nie mając w sobie ani poczucia humoru, ani krzty poezji, która tak lubi wszelkie dziwa, cuda i czary, zaczął przy Herbaczewskim wyśmiewać się z nauk tajemnych i kpić sobie z istnienia diabła. Herbaczewski nic na to nie odpowiedział, tylko w pewnym momencie podał Starzewskiemu pudełko zapalek, gdy ten chciał sobie zapalić papierosa.

15

Rejent potarł zapalną i w tym momencie całe pudełko stanęło w płomieniach, parząc mu rękę dotkliwie. Krzyknął i rzucił je na ziemię, przydeptując płomień nogą.

- A co! - wykrzyknął triumfująco Herbaczewski. - Czy pan dalej będzie twierdził, że nie ma diabła?! Właśnie panu pokazał, że istnieje!

Za to Lilka „wierzyła” w diabła, a właściwie bawiło ją niezmiernie udawać przed samą sobą, że coś takiego istnieje. Przez jakiś czas nad jej łóżkiem wisiał stary sztych przedstawiający Bafometa z kozłymi różkami i kozłą nóżką, do którego się wieczorami „modliła”, jako że pomoc świę-

tych w sprawach sentymentalnych zawodziła ostatnio. W myśl jednak starego przysłowia: „diabłu ogarek i Panu Bogu świeczka” - na ścianie w jej pokoju na Kossakówce widniało „ku pamięci” wiele napisów tej tre-

ści: „św. Antoniemu - jak przyjdzie list - trzy złote”, „jak przyjdzie to, co powinno przyjść - pięć złotych”, „Św. Antoniemu oddać dziesięć złotych

- bo zapomnę” itp.

Najładniejsza historia Lilki z jej przyjacielem - świętym Antonim -•

była następująca:

Na kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej popularna wówczas krakowska felietonistka pani Rita Rey miała wystawić swoją komedię, mówiącą o zepsuciu obyczajów i jakimś „biednym żigolo” utrzymywanym przez bogate damy. Lilka, już znana wówczas komedio-pisarka, nie znosiła, gdy inne kobiety pisywały sztuki. W Polsce winna być tylko nieodżałowanej pamięci Zapolska i ona - Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Żadna inna baba nie powinna mieć prawa wstępu jako pisarka na deski teatralne. Mogła pisać wiersze - o to nie była wcale zazdrosna i Iłakowiczównę szalenie lubiła, uważając za poetkę równą sobie. Przyjaźniła się także z Bronisławą Ostrowską i zachwycała się wierszami Maryli Wolskiej. Ale gdy chodziło o teatr, zachowywała się jak żona zazdrosna do obłędu o swojego męża. Przed premierą sztuki Rity Rey Lilka chodziła smutna i ponura.

- A jeśli to będzie dobra sztuka, to co? - rzekła do Madzi. - Przecież ja tego nie zniosę!

- Jakie to śmieszne, Lilusiu, i tak ciebie nie zakasuje...

16

- Ale ja nie chcę żeby baby pisywały sztuki teatralne!

Przed samą premierą uspokoiła się znacznie i chodziła nawet uśmiechnięta.

- Wiesz - zwierzyła się siostrze - obiecałam świętemu Antoniemu piękną tuberozę. jeśli sztuka Rity Rey zrobi klapę. On szalenie leci na zapach tuberozy... - Nie wiadomo, czy na skutek interwencji przyjaciel-skiego świętego, czy też dlatego, że sztuczka była kiepska, dość na tym, że poszła tylko dwa razy po czym została zdjeta z afisza. Święty Antoni w kościele Sióstr Felicjanek otrzymał piękną tuberozę w doniczce.

Pierwsze i prawdopodobnie ostatnie spotkanie poetki z diabłem mia-

ło miejsce wczesną jesienią w dwudziestym którymś foku na Koziniec.

Maciej Starzewski, szwagier Madzi, był z Lilką w zażyłej przyjaźni. Maciej, tak samo jak jej adorator - poeta Feliks Konopka, interesował się na równi z nią sprawami duchów, sprawą istnienia szatana i naukami ta-jemnymi. Cała ta trójka pożyczala sobie nawzajem francuskie dzieła traktujące bardzo poważnie o tych rzeczach, a Lilka z Maciejem umieli na pamięć wszystkie nazwy szatana, które należało głośno wypowie-dzieć, aby móc „wywołać” diabła. Otóż przed dwunastą w nocy, którymś późnym wieczorem Starzewski odprowadzał Lilkę na Koziniec. Przed ogrodzeniem willi Pawlikowskich stała ławeczka, która służyła do odpoczynku wszystkim tym, którzy się na wzgórze kozinieckie pięli piechotą.

Oboje usiedli i poetce przyszło nagle do głowy, aby „wywołać” diabła.

Zaczęli głośno po kolei recytować całą litanię nazw szatana, począwszy od najstarszych, hebrajskich. Gdy skończyli, na ścieżce, pnącej się do góry, ujrzeni w świetle księżyca postać mężczyzny otulonego w pelerynę, który zbliżał się ku nim. Lilka zamarła z przerażenia i kurczowo schwyci-

ła Macieja za ramię.

- Zostaniemy - postanowił Maciej. - Przecież sama chciałaś...

Mężczyzna zbliżył się do ławeczki, uchylił kapelusza i zapytał się po niemiecku:

- *Darf ich mich hinsetzen?*

- *Bitte sehr!* - odparł nieustraszony Maciej.

17

Nieznajomy posiedział chwilę, zapalił papierosa, po czym wstał, uchylił kapelusza i... zniknął.

- Słowo ci daję, Madziusiu - fantazjowała poetka - że zniknął, rozwiął się! Maciej ostrożnie poszedł za nim ścieżką w dół, ale już go nie było. Zdematerializował się! Bo to był diabeł, który się zjawił na naszą inwokację. Przysięgam ci, że ani słowa blagi w tym nie ma!

- No dobrze, ale dlaczego nie przypuszczasz, że to był jakiś zwykły, zapóźniony przechodzień? - zapytała sceptycznie Madzia.

- O dwunastej godzinie w nocy?! No a poza tym mówił po niemiecku. - Diabły zawsze w polskiej tradycji chodziły ubrane „z niemiecka” i pewnie też odzywały się po niemiecku. To było właśnie najlepszym dowodem.

- A czy miał koźlą nóżkę?

- Idiotka jesteś! Nie warto ci nic takiego opowiadać. Więc dobrze, dobrze, to był zwykły, zapóźniony turysta w czarnej pelerynie i Niemiec z pochodzenia!

- No, nie gniewaj się, Lilusiu, całkiem możliwe, że to było coś niezwykłego. Bo i gdzie tak akurat o dwunastej w nocy... i w pelerynie. Po-wiadasz, że zniknął nagle?

- Zniknął i nawet kroków jego nie było słychać. Oboje z Maciejem mieliśmy nogi jak z kamienia i ledwo ze strachu mogliśmy wstać z ławki.

- Wyobrażam sobie, jakie się musiała przestraszyć!

- Nigdy już więcej nie będę wywoływać diabła. To straszne! Całą noc po tym nie mogłam zasnąć i świeciłam światło. Z ciemnymi mocami i czarną magią lepiej nie zaczynać.

Na dowód, że Lilka w gruncie rzeczy kpiła sobie z „pozagrobówki”, niech posłuży następujące wydarzenie: W dużej pracowni Tatki, która przylegała do pracowni Dziadka Juliusza i stała w ogrodzie - aż przed drugą wojną zburzono ją na skutek regulacji alei Krasieńskiego - przyjmowała Lilka wieczorami swoich gości. Wówczas bardzo ją bawili swoją specyficzną mentalnością ułani. Przychodziło ich kilku, tych z ósmego pułku, którzy adorowali obie siostry i zamiast kwiatów przynosili im za 18

każdym razem bukiety komplementów, co jak wiadomo o wiele mniej kosztuje, a robi kobiecie tę samą przyjemność. Jeden z nich powiedział

kiedyś Lilce dość niezgrabny komplement, czym ją sobie zupełnie zraził:

- Gdyby pani ze swoją Urodą miała w dodatku talent i inteligencję pani Madzi, tobym, słowo daję, głowę stracił!

Widocznie ten osioł nigdy nie czytał moich wierszy - pomyślała Lilka i przestała się nim interesować. Konwersacja nieraz kręciła się wokoło spraw zaświatowych, tematu pasjonującego zawsze obie siostrzyczki.

- Ja tam w żadne strachy nie wierzę - rzekł najprzystojniejszy z uła-nów.

- A gdyby pan zobaczył takie rzeczy, jakie się nieraz zdarzają na seansach, toby pan na pewno zemdlął z wrażenia.

- Jaaa? - zaśmiał się zdrowym śmiechem młodzieniec. - Niech spróbuje do mnie przyjść jakiś duch, tak go poczęstuję z mojego brow-ninga, że się nie pozbiera.

Lilce przyszła od razu pewna myśl do głowy: - No, skoro pan się nie boi, to proszę przyjść do nas na seans spirytystyczny. Urządzamy nieraz takie eksperymenty w pracowni naszego ojca. Dziwne rzeczy się wówczas dzieją.

- Bajkowo! Kiedy panie tylko rozkażą, zjawię się natychmiast.

Lilka ustaliła dzień, zaprosiła przyjaciółkę brata, pannę Marylę Go-lińską, hożą i rosłą dziewczynę, z którą się siostry przyjaźniły, i drugiego ułana, Józka, adoratora Madzi.

Już od rana oznaczonego dnia obie siostrzyczki tajemniczo szeptały po kątach z modelem i sekretarzem Tatki, Olkiem Jamińskim oraz ze służącym Mikołajem:

- Słuchajcie, moi drodzy, dostaniecie po pół litra dobrej wódki, tylko musicie zrobić to, co wam powiemy. Otóż przywiążemy sznurki do głowy i nóg sztucznego konia, który stoi w pracowni pana, i do rąk i głowy manekina, któremu włożymy na głowę stare czako ułańskie. Wy obaj wieczorem wejdziecie po drabinie na dach i będziecie stamtąd, na dany przez nas znak. ciągnęli przez lufcik za sznurki tak. aby i koń, i manekin poruszali członkami i ruszali głową. Rozumiecie?

19

- Co też paniąkom znowu przyszło do głowy! - („panienkami” nazywała służba obie siostry, chociaż były już nie tylko mężatkami, ale i rozwódkami).

- Bo to widzicie, moi drodzy, chodzi o to, aby się gościom wydawa-
ło, że w pracowni straszy.

- A to ci heca! - zaśmiał się Olek, przystojny, rumiany chłopaczek.

- Musimy zaraz po obiedzie, jak pan pójdzie się położyć, zrobić próbę, aby coś nie poknocić

- No... skoro paniąkom to ma zrobić taką frajdę... - zgodził się Mi-kołaj.

- Straszna, Mikołaju najdroższy! - zapewniła go Madzia.

Na oznaczoną godzinę zeszli się do pracowni goście. Siostrzyczki przygotowały koniak, kanapki, czarną kawę. W pracowni było prawie ciemno, tylko niebieska żarówka tajemniczym światłem oświetlała słabo jeden kąt obszernej hali. Po kątach majaczyły na sztalugach zaczęte portrety pięknych dam, błyszczące różowymi dekolantami i puszące się zarzu-conymi na ramiona etolami z

kosztownych futer. Te portretowe szkice, najlepsze wówczas, gdy nie zostały jeszcze wykończone i wypieszczone na żądanie klientów, ukazywały pazur Kossaków.

Pod szklanym dachem stał naturalnej wielkości koński model z sier-

ścią, grzywą, zawieszonym ogonem, a obok niego sztywny i niepokojący skórzany manekin, na który nakładało się mundury. Ten sztuczny młodzieniec miał maskę z *papier mâché*, grzeczny różowy buziaczek z regularnie zarysowanymi brwiami i niebieskimi oczkami. Oba te manekiny -

ludzki i zwierzęcy - były tak skonstruowane, że można było dowolnie nimi poruszać i ustawić je według woli.

Dwóch mężczyzn i trzy panie usiadło wokół stolika na trzech nóż-

kach i pograżyło się w głębokim milczeniu.

- Czy czujecie? taki dziwny powiew!... - szepnęła Madzia. - Od tego się zawsze zaczyna.

- Czuję - odparł ułan niedowiarek - ale może jakiś lufcik jest otwarty.

- Skąd - odszepnęła Lilka - wszystko jest pozamykane.

20

Panna Maryła była najwięcej przejęta:

- Wiecie, że to naprawdę dziwne, ale wyraźnie czuję jakiś zimny prąd.

- To znaczy, że już są... - rzekła grobowym głosem Madzia.

- Kto taki?

- Zjawy... Duchu, jeśli jesteś, puknij raz!

Panna Maryła jak urzeczona spoglądała na manekin:

- Ojej... - zajęczała - czy mi się zdaje, ale on poruszył głowę!

- Pewno ci się zdaje - odparła obłudnie Lilka.

- Jezus Maria! Jezus Maria! Koń podniósł nogę do góry!

- Co to! co to! - krzyknęła Madzia. - Patrzcie, koń kiwa łbem! Naprawdę, ach, to straszne!

Ujrzawszy, że manekin obrócił głowę na bok, panna Maryła osunęła się z kanapy na podłogę. Zemdląca z wrażenia. Obaj ułani porwali swoje czapki z żółtymi otokami i szybko zwiali. Siostrzyczki same przerażone tym, co narobiły, zaświeciły światło i koniakiem zaczęły cucić zemdloną pannę. Przeszedłszy do siebie, zaczęła szlochać histerycznie. Prózno obie siostry

tłumaczyły jej, że cały ten „udały” seans był naprawdę przez nie obie przygotowany - nie chciała wierzyć. Dopiero gdy jej pokazały sznurki, przywiązane do obu manekinów, trochę się uspokoiła. W każ-

dym razie zarzekała się, iż nigdy więcej nie weźmie udziału w tego rodzaju eksperymentach. Obaj ułani nigdy się nie dowiedzieli, że duchami byli pan Olek Jamiński i służący Mikołaj.

Rozdział II

KARIERA OBU SISTERS

Gdy obie siostry były młodymi mężatkami, panowała moda na tak zwane *sisters*, które identycznie ubrane i tak samo uczesane występowa-

ły w cyrkach i nocnych lokalach. Obie Kossakówny stały się w literaturze polskiej takimi właśnie *sisters*. Zwykle lubiły one ubierać się mniej wię-

cej jednakowo i czesać się też podobnie. Wynikało to przede wszystkim z drobnych zazdrości. Gdy jedna sprawiła sobie coś, w czym jej było do twarzy, druga natychmiast pragnęła mieć to samo, zresztą przyzwyczajono je w dzieciństwie do tego, bo Mama ubierała jednakowo obie córki.

Sukces „Na ustach grzechu” był tak wielki i niespodziewany, jak to się tylko zdarza w powieściach lub na scenie. Magdalena, kopciuszek rodziny Kossaków - gdy w gronie rodzinnym powiedziała jakiś dowcip, to nikt się nie śmiał albo jej na złość mówił grobowym głosem: - cha, cha, cha, alem się uśmieł! - stała się nagle osobą sławną. Do jej rozgłosu przyczynił się niemało nieoceniony Kornel Makuszyński, przyjaciel Tatki, który w „Kurierze Warszawskim” napisał o jej parodii wspaniałą recenzję, ujawniając incognito autorki:

Nazwiska jej nie zdradzę - pisał autor „Słońca w herbie” - powiem tytko, że jej ojciec jest sławnym malarzem koni, a jej dziadek był też słynnym batalistą...

To oczywiście wystarczyło polskiej publiczności. Do Madzi, zdumionej tym sukcesem, zaczęły przychodzić pochwalne listy, telefon brzęczał

cały dzień. Tylko panowie w warszawskim Klubie Myśliwskim byli bardzo oburzeni, nie rozumiejąc zupełnie, o co chodzi.

- Nie pojmuję, mój Wojtku - rzekł jeden z hrabiów - jak twoja córka mogła napisać: „dziesięć hektarów nierogacizny” - przecież to czysty nonsens, powinienes jej na to zwrócić uwagę, takich byków jest w tej 23

powieści co niemiara. Bardzo się dziwimy, że twoja córka mogła wydać podobną bzdurę!

Za przykładem Makuszyńskiego pojawiły się pochlebne recenzje i w innych pismach. Pierwszy nakład książki był po dwóch tygodniach zupełnie wyczerpany i Krakowska Spółka Wydawnicza natychmiast zamó-

wiała u Magdaleny drugi - w ilości trzech tysięcy egzemplarzy, co było wówczas cyfrą bardzo pokaźną. Redaktor Muszyński, szafujący wciąż nazwiskiem kuzynki obu siostr - Zofii Szczuckiej, której wydał kilka powieści rozchodzących się w zawrotnym tempie, przestał imponować nią Madzi. Był dumny jak paw, że odkrył nowy talent satyryczny (choć nie za swoje, ale za jej pieniądze) i z ironią spoglądał na Mariana Krzyżanowskiego, który nie posiadał tej co on odwagi.

Po otrzymaniu sporej kupki „milionów” Madzia wraz z siostrą i szwagrem pojechała latem do Sopotu. W jednej z tamtejszych kawiarni spotkały się obie siostry z Julianem Tuwimem, z którym zaprzyjaźniły się jeszcze w Warszawie. Do ich pierwszego poznania warto powrócić.

Cofnijmy się o kilka tygodni: znajdujemy się w warszawskiej „Małej Ziemiańskiej” na ulicy Mazowieckiej. Przy stoliku siedzą obie nasze *sisters* popijając pół czarnej. Mają na sobie jednakowe letnie płaszczyki, a na głowach duże, słomiane florentyńskie kapelusze ze zwisającymi z tyłu aksamitkami. Niedaleko nich siedzi trzech młodzieńców. Każdy przedstawia zupełnie odrębny typ. Jeden z nich, wyroki, szczupły, ma bladą bardzo, interesującą twarz. Włosy mu lecą na czoło. Wygląda na muzykanta z kina, w czarnym, wyświeconym ubraniu bez krawata. Obok niego siedzi elegancki brunet o hiszpańskim typie, wybitnie przystojny, ale tylko z jednego profilu, ponieważ na drugim ma duże czerwone znamię, czyli tak zwaną myszkę. Trzeci ma twarz bladą, nalaną, składającą się z bardzo wybitnego garbatego nosa i dużych zmysłowych ust, oczu spoza okularów nie widać. Mimo młodego wieku ma już łysiejące czoło, a na głowie jakiś meszek nieokreślonego koloru. Wszyscy trzej wciąż spoglą-

dają na siostry i pochylając się ku sobie, szepczą coś o nich.

- Popatrz, Lilusiu - mówi Madzia - jakie wrażenie zrobiliśmy na tych panach! Oczu od nas oderwać nie mogą.

24

- Nie na ciebie patrzą, tylko na mnie - odpowiada Lilka i po chwili szepcze do siostry: - A wiesz, kto to jest ten przystojny, z „myszką”? Tuwim! poznałam go od razu.

- Ależ naturalnie, to on! - odpowiada Madzia.

Pamiętały doskonale jego wieczór autorski w Krakowie: Różo-wożółte światło lampy gazowej oświetlało natchnioną twarz młodego poety, który czytał wiersze ze swojego zbioru pod tytułem „Czyhanie na Boga”. W małej salce Kolegium Naukowego w Rym ku roiło się od młodzieży uniwersyteckiej, która - oczarowana i zahipnotyzowana - słuchała wierszy, jakich nikt przed nim nie pisał. Były takie tłumy, że część słuchaczy siedziała na podium u stóp poety. Między nimi i obie siostry, niebieskimi oczami wpatrzone w jego ciemne źrenice. Z tymi błyszczą-

cymi czarnymi oczami i jak gdyby diabelskim znamieniem na policzku wyglądał jak demon poezji, który na skrzydłach zleciał błyskawicą do pocziwego, cichego Krakowa, aby go zdumieć, wzburzyć, przerazić i zachwycić. Erotyki, jakie recytował, były tak namiętne, ogniste, a przy tym tak zadziwiająco proste, że aż dreszcze przejmowały słuchaczy, serca były mocniej i twarze płonęły rumieńcem. Lilka, dla której dotychczas nie istniał żaden inny współczesny polski poeta .poza

Leopoldem Staffem i Leśmianem, była oczarowana j głęboko zachwycona wierszami Tuwima. Wróciwszy do domu, opowiadała rodzicom przy kolacji o tym rewelacyjnym młodym poecie.

- A czy on jest żyd, czy przechrzt? - zainteresowało się Mamidło, ale zaraz - biedne - zamilkło pod piorunującym spojrzeniem starszej córki.

- Tak... to na pewno on - przypomniały sobie teraz siostrzyczki w

„Małej Ziemiańskiej” - a tamci dwaj?...

Nagle ku ich zdumieniu wszyscy trzej podnieśli się od stolika i podeszli do nich z serdecznymi uśmiechami na twarzach.

- Panie są panny Kossakówny z domu, prawda? - mówi przystojny młodzieniec z „myszką”. - Pani jest autorką tej przepysznej parodii Heleny Mniszek, a pani - Marią Pawlikowską, autorką „Niebieskich migda-

łów”. Poznaliśmy panie z fotografii, która była w „Świecie”.

25

- Jak to dobrze, że włożyłyśmy te same kapelusze, co na fotografii -

mówi śmiejąc się Madzia.

- Ja jestem Julian Tuwim, to - Lechoń, autor „Karmazynowego po-ematu”, a ten - to Antoni Słonimski, znakomity poeta, satyryk i karykaturzysta. Czy możemy się do pań przysiąść?

- Błagamy! - mówi Lilka, usuwając się, aby im zrobić miejsce przy stoliku. - Jestem taka szczęśliwa, że mogę pana poznać. Połowę pań-

skich wierszy z tomiku „Czyhanie na Boga” umiem na pamięć. Uwiel-biam je!

Następuje wymiana komplementów. Wszyscy trzej wychwalają pierwsze utwory obu sióstr. Entuzjazmują się książką „Na ustach grzechu” i twierdzą, że to jest genialne! Madzia puchnie z dumy i triumfują-

co zerka w stronę Lilki, która ją zawsze miała za nic.

- Lilusiu, słyszysz, co ci panowie mówią?

- Zawsze mówiłam, że to dobre... zresztą gdyby nie moje poprawki...

Słonimski wyciąga z kieszeni małą książeczkę; jest to parodia kalen-darzyka dla rolników, pod tytułem „Pracowita Pszczółka”, zaczynająca się od następującego wierszyka:

Zima, zima, śnieg już pada,

Biały całun okrył siolo,

Rolnik przy kominku siada

I uśmiecha się wesolo.

W tym purnonsensowym kalendarzyku, którego autorami są oni trzej, wciąż występują grzyby, to jako skład tygodniowego menu obia-dowego, to znów jako panaceum na wszelkie choroby. Kalendarzyk koń-

czy się słowami: „Duży gorący grzyb!” - jako jedyne danie na zakończenie roku. Obie siostry zaśmiewają się. Madzia głośno i tubalnie, Lilka cichutko i estetycznie, zawsze uważając na zmarszczki, które się od śmiechu tworzą. Purnonsensy odpowiadają im najbardziej jako gatunek humoru, zresztą całe „Na ustach” jest na nich oparte. Tuwim zachęca Pawlikowską, aby posłała wiersze do „Skamandra”, gdzie drukują swoje utwory oni trzej, poza tym Ludwik Morstin, Staff, Kasproicz, Iwaszkiewicz, Wierzyński, Karski, Podhorski-Okołów, doskonały prozaik Stanisław Baliński, Iłakowiczówna, Bronisława Ostrowska i wielu 26

innych. Być drukowanym w „Skamandrze” to już pozycja i nie byle kogo tam przyjmują, tak jak później w „Wiadomościach Literackich”. Po tym pierwszym poznaniu całe towarzystwo zdaje już sobie sprawę, że stanie się nierozzerwalną paczką zaprzysiężonych przyjaciół. Ci trzej młodzi poeci, którzy mają już w literackiej prasie Warszawy wyrobioną pozycję, przyjmują z otwartymi ramionami obie młode pisarki, pasując je tym samym na rycerzy pióra. Magdalena ma już wprawdzie oparcie w przy-jacielskich plecach Makuszyńskiego, ale dla Lilki, delikatnej, wiotkiej, potrzebującej koniecznie cieplarni do hodowania swojego rzadkiego i niezwykłego talentu, znalezienie takich przyjaciół było doniosłym wydarzeniem. Zgrana paczka spotyka się odtąd co dzień w południe w „Małej Ziemiańskiej”, a wieczorem często w artystycznej knajpie „Pikador” na Nowym Świecie. Warszawa w tych latach to wielkie zbiorowisko i wylę-

garnia talentów. Grafomani gdzieś się zapodziali i prawie że o nich nie słyhać, a gdy się który odezwie to od razu dostaje piórem po łbie od Słonimskiego lub Tuwima w tak dotkliwy sposób, że ledwo się może pozbierać.

Przy Tuwimie siada nieduży pan ze szpakowatą czupryną, tajemniczy i trochę smutny, to równie jak on wielki poeta - Bolesław Leśmian. Koło Słonimskiego siedzi jego zacięty wróg, też wspaniały satyryk, Adolf No-waczyński. przygląda się Madzi z wielkim zainteresowaniem i mówi, że jest całkiem podobna z typu do George Sand. Madzia co prawda wie, że nie mógł George Sand znać osobiście, ale wierzy mu na słowo. Obok Parandowskiego, który prawie tak samo wyglądał jak dzisiaj, siada ukochanie wszystkich - Stefan Ż e r o m s k i . Siostry są wzruszone. Nigdy nie przypuszczały, że będą siedzieć przy tym samym stole, co ich ulubio-ny pisarz. Przypomina znakomitą karykaturę Sichulskiego, który go przedstawił jako jedną z chimer paryskiej Notre-Dame. Ale to jeszcze nie wszyscy, bo oto zjawia się Jarosław Iwaszkiewicz, który ma już kilka książkowych pozycji za sobą, wpada amant ówczesnej poezji polskiej, Kazio Wierzyński, autor tomiku beztroskich, tryskających radością życia wierszy pod tytułem „Wiosna i wino”. Jest bardzo przystojnym chłopcem i ma naturalną „wieczną” ondulację.

Bywa tu także i młodszy rocznik: Anatol Stern, Władek Broniewski i najmłodszy - Konstanty Gałczyński. Jest w tym gronie przewaga męż-

czyn, ale jest i kilka kobiet. Ze swoim mężem, rzeźbiarzem Ostrowskim, przychodzi bardzo urocza poetka Bronisława Ostrowska. Lekceważąc troszeczkę warszawską „boheme”, zjawia się Kazimiera Hłakowiczówna, pierwsza poetka polska, która ma już z dawna ustaloną sławę. Ta Hłła (jak ją wszyscy nazywają) to niesłychanie dziwny stwór boski: w wywiadzie drukowanym w 1924 roku w „Wiadomościach Literackich” na zadane jej pytanie: „czy mogłaby pani żyć bez poezji?” - odpowiada w ten oto sposób:

Bez poezji w ogóle - nie, bez swojej własnej doskonale, zresztą jako twórczość traktuję równie dobrze to, co robię w Ministerstwie, jak moją poezję.

Tę znakomitą poetkę o wiele więcej niż jej poetycka sława cieszy to, że z czasem otrzymuje tytuł radcy Ministerstwa Spraw Zagranicznych, i tylko tym się chełpi. Fakt, że pisze wiersze, uważa za rzecz tak mało ważną i naturalną jak słowik, gdy śpiewa. Do tej całej artystycznej ferajny, dla której tego rodzaju awanse nie są ważne, Hłła nie pasuje, jak dystygowana, salonowa biała kalia do ognistych maków, szafirowych bławatków i pełnych, złocistych kłosów. Do swojej młodszej koleżanki, Lilki Pawlikowskiej, odnosi się od pierwszej chwili poznania z wielką czu-

ścią i entuzjazmem. Nie ma w niej ani cienia zazdrości wobec tej drugiej poetyckiej sławy, która koło niej wyrasta. Obie poetki bardzo się lubią i często u siebie bywają. Lilka w stosunku do Hłły robi wyjątek, bo na ogół

nie lubi poetek. Drażnią ją zwłaszcza mniejsze poetessy, jak ckliwa i górnolotna Anetka Słoneczyńska i bardzo przystojna Kazimiera Alberti, której mocno asystuje przyjaciel i adorator Lilki - Staś Witkiewicz.

Do „Małej Ziemiańskiej” wtacza się jakaś olbrzymia, czarna masa z bujną, rozwianą brodą - to słynny Franz Fiszer, złożony z olbrzymiego brzucha i wspaniale funkcjonującej głowy. Wszyscy najlepsi satyrycy mogą się schować ze swoimi dowcipami wobec nieustającego humoru i wspaniałych powiedzonek Fiszera. Jest to po Wojciechu Dzieduszyckim 28

drugi w Polsce ziemianin, którego powiedzonka i anegdotki będą długo powtarzane i cytowane. Świetny karykaturzysta Jerzy Zaruba na szczę-

ście pamięta różne dowcipy Fiszera, które przytacza w swoich wspomnieniach.

Całe to artystyczne grono wraz z ich kibicami z przyjemnym zdziwieniem przygląda się obu *sisters*. Czy tak mają wyglądać sławne kobiety?

Nie, takich jeszcze nie widzieli! Wprawdzie i Bronisława Ostrowska jest przystojną kobietą, i Kazimiera Hłakowicz, również Zofia Nałkowska uchodzi za piękną damę, ale wszystkie one są poważne, majestatyczne, pełne godności. A to jakieś dwa barwne koliberki. Starsza jeszcze potrafi

zachowywać się poważnie, ale ta Magdalena! - istny trzpiot i „królewna Śmieszka”, usta jej się nie zamykają, tak wciąż rechoce z cudzych i własnych dowcipów. Ubrane są też niepoważnie i zè swoimi dużymi, mocno podmalowanymi oczami, które zabójczo błyskają niebieskim płomie-niem spod kokieteryjnych woaleczek - raczej przypominają aktorki niż autorki. Czarujące kobietki. Lilka swoimi nadnaturalnej wielkości fioł-

kowoszafirowymi oczami diabelnie kokietuje Julka Tuwima, on też nie pozostaje jej dłużny i ciemne spojrzenie ze spojrzeniem błękitnym wciąż krzyżują się ponad stołem, ale cóż... kiedy on jest zakochany w Stefci i z tej swojej wielkiej miłości dla żadnej innej kobiety nie rezygnuje, chociaż nie bez trudu ukochaną Stefcię zdobywa, czego domyślić się można z tego erotyku:

A jeżeli nic? A jeżeli nie?

Trulem ja się myślą złudną,

Tobą jasną, tobą cudną, I zatruty snię:

A jeżeli nie?

No to... trudno.

A jeżeli coś?

A jeżeli tak?

Rozgołębią mi się zorze,

Ogniem cały świat zagorze,

Jak czerwony mak,

Bo jeżeli tak,

No to... - Boże!!

I oto właśnie teraz, w tej sopockiej kawiarence, Julek anonsuje obu siostrom jej przybycie:

29

- Zaraz tu przyjdzie moja Stefcia. największe śliczności na świecie! -

Siostry aż drżą z ciekawości, jak będzie wyglądać ta do której poetą pisał

te wszystkie płomienne wiersze. Czy będzie ich godna? A może tylko fantazja poety ubrała ją w te wszystkie uroki i czary kobiece?...

Stefcia to rzeczywiście bardzo ładna blondynka o dużych, trochę lal-kowatych, zielonkawych oczach,

elegancka i zgrabna. Ale jak na gust obu sióstr jest zanadto dystyngowana, dociągnięta, zasznurowana.

Tuwim przy niej jest jak płomień koło spokojnie płynącej wody.

- Przyznajcie - mówi całując żonę po rękach - że moja Stefcia jest najcudniejsza!

Siostry przyznają z trochę kwaskowatym uśmiechem. W tym wypadku Tuwim jest nietaktowny, bo jak można w obecności ładnych kobiet tak wychwalać inną. Wobec tego o przyjaźni między tymi trzema paniami nie może być mowy i Lilka trochę jest zdziwiona, że ta piękna dama o malutkich, chętnie milczących i nie śmiejących się usteczkach - wzbudza tak płomienną miłość. Stefcia - ta przeźroczysta woda - stara się przyga-sić ogień mężowskiego uczucia powiędzeniami w rodzaju: „Julku, daj spokój...”, „Julek, przecież tak nie można...”, „Juleczku, siedź spokojnie...” - Miało się wrażenie, że ciągła adoracja trochę ją nuży i męczy.

Może właśnie swoim chłodnym i głębokim przekonaniem, że jej się to najśluszej należy, potrafiła miłość jego utrzymać do końca. Tuwim zarzucał żonę płomiennymi wierszami, ale uważając, że to jeszcze mało, zarzucał jej na ramiona kosztowne futra - etole z nurków, srebrne lisy i popielicowe płaszcze. Przyjmowała to wszystko z godnością i spokojem królowej. A czegoż on nie robił, aby swej ubóstwianej dać wszystko, cokolwiek zapragnęła. Pracował ten biedny Julek przez całe noce nieraz.

Pisywał skecze do „Qui pro Quo”, a potem do „Morskiego Oka”, piosenki dla Ordonki, urocze wierszyki dla dzieci. Wydał nawet zbiór anegdot, podpisanych własnym nazwiskiem, pod tytułem „A to pan zna?” Reda-gował przez jakiś czas tygodniczek, który nazywał się „To-To”, mający bardzo krótki żywot tak samo jak inny pod nazwą „Dylichans”. Niektórzy poeci zarzucali mu merkantylny stosunek do sztuki; jeśli było w tym 30

trochę prawdy, to tylko z racji wielkiej i nieustającej miłości do tej jego Stefci. Czy mamy jej to za złe? Bezwzględnie nie. Gdyby nie ten nie-ustanny bodziec i doping, podniecający jego talent, czyż byłby tyle stworzył? Czy jego twórczość poetycką umniejszało to, że napisał tyle znakomitych skeczów, świetnych monologów, uroczych piosenek i wierszyków dla dzieci?

W Sopocie roiło się wówczas od braci artystycznej. Zjechał Antoni Słonimski, Kazio Wierzyński, Zygmunt Nowakowski i Jan Lechoń - tak zwany Leszek.

Warto w kilku słowach naszkicować sylwetkę Jana Lechonia, czyli Leszka Serafinowicza, jednego z najwybitniejszych poetów dwudziesto-lecia. Lechoń był to skomplikowany, pełen kompleksów typ artysty-cygana, który przestarzałą już na owe czasy modą chodził zaniedbany, nie ogolony, z włosami, które w długich kosmykach opadały na okulary, na kark, a czasem nawet na długi szlachetny nos, który mu się nieomal stykał z brodą. Nie nosił krawata, kołnierzyk miał zawsze nieświeży, a jego wyświecone czarne ubranie pamiętało lepsze czasy, jakieś niedawne kolacyjki u „Lija” albo w sławnej knajpie Krzemińskiego. Kochał się nieszczęśliwie w pewnej aktorce i prześladowała go mania samobójcza, którą przedstawiał znajomym nieomal jako drugą połowę samego siebie.

Próżno Mama Kossakowa, poczuwszy do niego wielką sympatię wraz z litością, tłumaczyła mu, że

Kościół tępi samobójców (podobnie jak rozwody) i że taka dusza nie zazna na tamtym świecie spokoju, próżno swój postulat „brania życia takim jakie ono jest” - dokumentowała najsmaczniejszymi potrawami. Lechoń zapadał w coraz czarniejszą melancholię i w coraz większe stany depresji. W chwilach pogodniejszego nastroju rozrzucał iskry dowcipu, który zwykle idzie w parze z wielkim talentem lirycznym. Dowcip taki posiadali i Tuwim, i Słonimski, i Pawlikowska, a także Ludwik Hieronim Morstin, którego powiedzonko „nie ma grzechu

- jest tylko pech” niezmiernie przypadło do gustu Madzi.

Lechoń krążył między Krakowem, Warszawą a Zakopanem, nie mogąc dla swojej chorej duszy znaleźć odpowiedniego miejsca. Madzia 31

nigdy nie zapomni, jak ją kiedyś nastraszył na ulicy Mazowieckiej w Warszawie:

- Czy wiesz - zawołał głosem nabrzmiałym grozą - jaki straszny potwór chodzi po mieście?! Nie ma nic. tylko głowę, ręce, nogi i dupę!

- Jezus Maria! - zawołała Madzia.

Radość Lechonia, że tak ją nabrał, nie miała granic. Rechocąc ze śmiechu, pognął dalej, aby znowu kogoś naiwnego nabrać na tę „przera-

żającą” nowinę.

Kiedyś Lilka Pawlikowska napisała wiersz o Lechoni, w którym przedstawiła go jako eleganta z czasów II Cesarstwa, jakiegoś George'a Brummela. Ani poetka, ani nikt nie przypuszczał, że ów wiersz tak podziała na niego i uczyni przewrót w jego życiu. Lechoń zmienił się nie do poznania: zaczął się myć, golić, ubierać starannie, strzyc włosy. W końcu postarał się o posadę w ambasadzie polskiej w Paryżu, wyjechał i więcej do kraju nie wrócił.

W Sopocie spotkała Madzia kiedyś Makuszyńskiego.

- Magdunia! - zawołał Kornel ściskając gorąco obie jej ręce.

Przepadał za tą swoją nowo upieczoną koleżanką i po przyjacielsku popierał jej satyryczną twórczość. O tym spotkaniu napisał później w jednym z tych swoich zabawnych „Listów z Sopotu”: *Spotkałem Magdalenę Samozwaniec. Ja powiedziałem jeden dowcip - ona dziesięć, po czym poszła ostrzyć jęczyczek na pasku od brzy-twy swojego papy...*

Wieczorem wszyscy znajomi spotykali się w „Indrze” albo w „Mazur-ce”, gdzie grywał wówczas zespół słynnego Melodysty. Tańczyło się tam bluesa oraz stepa do skocznej piosenki niemieckiej, której słowa brzmia-

ły: *„Meine Beine, deine Beine unterm Tisch, unterm Tisch - haben sich so köstlich amüsiert”*, i w takt drugiej, o równie inteligentnych słowach, pod tytułem *Ich hab ein Rendez-vous mit dem Schatz, mit dem Fratz, mit der Erika*. Triumfy zbierał wówczas w Sopocie kabaret rosyjski „Si-niaja Ptica”, gdzie występował niezrównany i niezapomniany piosenkarz Wiertyński, którego obie siostry miały

okazję poznać osobiście, ponieważ był dobrym znajomym Tuwima. Był to błąd pan o typie pierrota i niesłuchanie ujmującym wdzięku. Ten doskonały i naprawdę 32

artystyczny rosyjski kabaret zaważył bardzo na twórczości kabaretowej Tuwima, który starał się później w Warszawie stworzyć coś w tym rodzaju.

Po powrocie z Sopotu do Warszawy obie siostry zostały namówione przez braci Brezów - powieściopisarza Tadeusza i jego brata Achillesa, aby złożyć wizytę ich ciotce, Jehanne Walewskiej-Wielopolskiej, autorce

„Kryjaków”.

Mieszkanie Jehanne składało się z mnóstwa foteli, fotelików, kana-pek, poduszek i... psów. Madzia pamięta, że jeden z nich zwał się Madame Lulu, była to oczywiście suczka. Mąż Jehanne, tak zwany Pańcio, był hodowcą koni w swoim majątku. Oboje stanowili bardzo zabawną parę, którą łączyła szalona pasja do zwierząt. W mieszkaniu Wielopolskich psy były wszędzie, a ponieważ w salonie panował tajemniczy pół-

mrok, więc gość musiał bardzo uważać, aby siadając na fotelu lub kana-pie, nie usiadł na którymś z faworytów. Pani Jehanne - zwana przez złośliwych: Niuchanna - była właściwie zbliżona typem do trochę zwariowanych Amerykanek, takie przynajmniej pozostawiła wrażenie na Madzi, a już częstowanie gości kokainą z białej, staroświeckiej, emalio-wanej tabakierki spotęgowało to wrażenie. Poza tym była bardzo żywa, inteligentna i bystra i obaj bracia Brezowie lubili u niej przesiadywać.

Na spółkę z Zofią Nałkowską napisała śliczną książeczkę o zwierzętach domowych. Ciekawym faktem jest, jak wiele kobiet, z gatunku tych nie-przeciętnych, pasjonowało się zwierzętami na niekorzyść dzieci, których przeważnie nie miały. Olga Boznańska hodowała myszy, Nałkowska -

koty syjamskie i psy, Jehanne Wielopolska była zwariowaną wielbicielką psów; Lilka i Madzia szalały za wszystkimi zwierzętami łącznie z wiewiórkami. Nigdy nie zapomnimy, jak pewien młody lekarz, wezwany do chorej Lilki w Zakopanem - ujrzawszy Florka czy Sorka w jej łóżku -

zawołał:

- Wiewiórka!! A czemu nie dziecko?!

Obie siostry serdecznie się wówczas uśmieły. Nie można powiedzieć, aby Lilka nie lubiła dzieci, ale myśl, że mogłaby mieć swoje własne, 33

przejmowała ją lękiem i nigdy tego nie pragnęła.

Magdalena po sukcesie „Na ustach grzechu” stała się w Warszawie osobą modną i rozchwytywaną. Tuwim z Lechoniem napisali szalenie dowcipną „Szopkę”, do której przezabawne kukielki wykonali Zaruba z Daszewskim. W tej „Szopce” występowała znakomita para: Wojciech Kossak z córką Magdaleną. Kukielce, która przedstawiała autorkę popularnej parodii, uszyła Leopoldowa Starzewska piaskowe sak-palto, takie, w jakim Madzia często chodziła, i duży, z fantazją nałożony

kapelusz.

Oboje z Tatką ryczeli ze śmiechu, siedząc na premierze „Szopki”.

Kochany tatku - drogi Wojciechu –

Ja chcę napisać „Na ustach grzechu” -

śpiewała kukielka przedstawiająca Magdaleny. Tatko sprzeciwiał się temu, grasejąc tak samo jak jego nieodrodna córka, i ta przezabawna para schodziła ze sceny wśród nie milnących oklasków. W tej udanej

„Szopce” występowała również kukielka przedstawiająca Wacława Sie-roszewskiego w olbrzymim legionowym czaku, większym od niego, która śpiewała:

Nie kładź malca.

Nie kładź malca,

Nie kładź malca między drzwiami...

Madzia chodziła po Warszawie dumna jak paw. Trzeba było być nie byle kim. aby się znaleźć w takiej „Szopce” i być codziennie oglądanym przez tłumy widzów. Ten zaszczyt nie spotkał nawet Lilki Pawlikowskiej, której sława jako poetki rosła o wiele wolniej i bardziej w ukryciu.

Nieraz skarżyła się mówiąc, że „Madzia chodzi ze swoim powodzeniem jak Murzyn z bębniem tam-tam i tym hałasem wszystko wokoło siebie zagłusza”. Mimo tej popularności Madzia mieszkała dalej w małym pensjonatowym pokoiku na rogu Brackiej, z szynką razem z grzebieniem na oknie i lalką-Cyganką przerobioną na „nastrojową” lampkę. Do wspólnego pensjonatowego salonu przychodzili dalej na herbatkę z sandwi-czami i „petits-fourkami” wytwórni goście, z tym że teraz koło hrabin i 34

generałów zasiadała pani Tuwimowa z mężem, Słonimski, Lechoń. Wierzyński i Jarosław Iwaszkiewicz ze swoją młodą, piękną żoną Hanią.

Przychodziła też urocza, mała dziewczyneczka - poetka Irena Tuwim, siostra Julka, ze swoim mężem, też poetą, Markiem Napierskim. Był

więc w tym „salonie pani Magdaleny” (przechodnim niestety!) groch z kapustą, a dokładniej mówiąc - świeży groszek z kiszoną kapustą. Świeży groszek to byli ci młodzi - tryskający talentem i dowcipem - poeci, a kiszona kapucha to różne arystokratyczne damy, które szalenie słodziu-nio pytały się Kossaka: „Co mistrz ma obecnie na sztalugach?”, Tuwima:

„Co pan ma nowego w tece?”, i Lilkę Pawlikowską: „Czy pani również maluje?” A gdy poetka, mało jeszcze znana przez warszawski mondzik, odpowiadała niechętnie, że tak - zapytywały, udając ogromne zainteresowanie: „Ale czy ke-wiaty?” - co ambitną Lilkę poetkę doprowadzało do białej pasji. Jaś Starzewski, snob nie tylko na arystokrację i polityków, ale również i na modnych pisarzy, radosnym okiem widywał u siebie ten cały bukiet osób tak różnych przekonaniami i sferą. Krążył

wśród nich, zacierał ręce, intonował inteligentną, błyskotliwą konwersację i częstował gości skromnymi ciasteczkami, rozłożonymi na cennej porcelanie przywiezionej z Kossakówki.

Panowała wówczas moda „five o'clockow” i Karaś, który bardzo przestrzegał towarzyskiego protokołu, co dzień po południu anonsował żonie, dokąd muszą tego dnia pójść na „fajfy”, a gdzie powinni tylko „rzucić bilety”.

Madzia, którą to ogromnie nudziło, ponieważ na wszystkich owych fajfach widywało się te same osoby i te same „petits-fourki”, wykręcała się od tego obowiązku, jak mogła, i bardzo często wysyłała męża samego, czekając w pensjonatowym pokoiku na zjawienie się najmilszego z gości, którym był Antoni Słonimski. Antoni przynosił często w kieszeni palta butelczynę, Madzia za kotarą robiła kanapki i razem spędzali zupełnie czarowne wieczory przeplatane serdecznymi wybuchami śmiechu, z których urodził się tomik purnonsensowych humoresek pod tytułem

„Czy chcesz być dowcipny?” Nieraz, gdy tak siedzieli ramię w ramię i pióro w pióro, wpadała Lilka i do owych surrealistycznych opowiadań 35

dodawała swoje dowcipne trzy grosze. Trząśł się wówczas od śmiechu mały, ubogi pensjonatowy pokoik.

„Jak ratować topielca?” - brzmiał tytuł jednej z owych humoresek: *Gdy zobaczysz tonącego topielca, nie krzycz jak osioł, nie wołaj ludzi, bo go tylko nastraszysz. Przyjrzyj mu się wpierw zza krzaczka, a gdy zobaczysz, że gra nie warta świeczki - poczekaj, aż dobrze wodą nasiąknie, odejdziesz i wróc po obiedzie. Wtedy przycupnij w sitowiu i wab. Gdy zwabiony topielczuk zbliży się z ciekawością do brzegu, trzepnij go kijem po łbie, aby znów się wody nachleptał. Potem możesz go już łącno wędką wylowić. Przy cuceniu pamiętaj o zasadzie: klin klinem! Kompresik na czołko, obmycie ciała wodą, prysznic i szkła-neczka do wewnątrz. Gdy to nie pomoże, zwróć się o pomoc do ognia.*

Przytrzymaj go nad prymusem, by ocknął się przynajmniej na chwilę.

Gdy już wypowie swoje imię, o nazwisko go nie męcz - tylko powieś go na drzewie w miejscu ciepłym, ale przewietrzonym, w celu powieszenia...

Był to dowcip zupełnie, jak widzimy, nonsensowny, nadający się raczej do czytania w gronie przyjaciół niż dla szerokiej publiczności, która, nie obeznana jeszcze z tego rodzaju humorem, była oburzona, zaskoczona i zdumiona, czytając takie opowiadania. Madzia jednak, oczadzona powodzeniem i jak zwykle gwałtownie poszukująca zarobków, poszła z tym do naczelnego redaktora „Kuriera Polskiego”, Ignacego Rosnera.

Redaktor Rosner, człowiek o niezwyklej zresztą inteligencji i poczuciu humoru, zakupił purnonsensowe humoreski i począł je natychmiast drukować w powieściowym odcinku. Młodzi satyrycy, których nazwiska figurowały jak byk tłustymi czcionkami, podzielili się honorarium do połowy. Biedny, zupełnie normalny i nie rozumiejący tego rodzaju dowcipu Wojciech Kossak wpadł w istną rozpacz, gdy w „Kurierze Polskim” zaczęły się ukazywać dzień po dniu te dla niego niesamowite brednie.

- Magdusia, Magdusia, coś ty uczyniła, moje nieszczerne dziecko, jak ja się teraz ludziom na oczy pokażę!

Rozpacz kochającego Ojca doszła do szczytu, gdy dowiedział się, że córka znalazła wydawcę i że zbiorek humoresek poszedł do druku.

- Moje drogie dziecko, zapłacę wam tyle, ile dostaliście od wydawcy, tylko nie drukujcie tej idiotycznej książki!!

36

- Słonimski się na to nigdy nie zgodzi! Jest zanadto ambitny...

- Magdusia, proszę cię, namów go, ty sobie nie wyobrażasz, jak ci ta brednia zaszkodzi!

Słonimski - zachwycony ich wspólnym dziełem, na równi z Magdaleną - nie chciał się na to zgodzić. W końcu powiedział:

- A może twojemu ojcu chodzi o to, aby nasze nazwiska nie figurowały razem, bo co by powiedziały wszystkie znajome endeki...

Madzia wówczas rozbeczała się, zrobiło się jej niewypowiedziane przykro. Słonimski jednak, uważając, że Wojciechowi o to głównie chodzi, przybrał pseudonim „dr Bączek” i wspólne dzieło pod tytułem „Czy chcesz być dowcipny?” ukazało się wkrótce w niewielkim nakładzie i zostało momentalnie rozkupione.

Jaś Starzewski - snob również na wszelkie nowe mody, a więc i na purnonsens - zupełnie nie miał za złe żonie, że jej pseudonim figurował

na owej zwariowanej książeczce.

W satyrycznym miesięczniku „Marchoń” ukazał się artykuł Nowa-czyńskiego pod tytułem: „Zmierch Magdalenki Samozwaniec”, gdzie Adolf, zaciekły antysemita, po „ojcowsku” radził młodej autorce, aby się opamiętała i przestała zadawać z tymi, „którzy- pragną zażydzić jej rdzennie polski humor”. Całe tak zwane „dobre towarzystwo” warszawskie, w którym grasowały ciotki i kuzynki Madzi, odwróciło się od niej, żalując wielce tego biednego Kossaka, że ma t a k ą córkę! Tylko „matka geniuszów” spokojnie tego wszystkiego wysłuchiwała ciesząc się, że jej młodszą córkę drukują i nawet napadają na nią w czasopismach.

- Nic sobie, Magaś, z tego nie rób - rzekła - i pisz dalej. Raz ci się coś więcej uda - raz mniej, ale pisarz jest od tego, aby pisał.

Mama Kossakowa szalenie lubiła Słonimskiego, oceniając w pełni je-go wielką kulturę, dowcip i... doskonałe maniery, na które była bardzo wrażliwa. Kiedyś Madzia oznajmiła Antoniemu z dowcipną miną, że Mamidło powiedziało o nim „ten mały Słonimski”.

Antoni wybuchnął śmiechem.

- No... to wielki dla mnie awans, ponieważ „mały” mówią damy po-kroju pani Kossakowej tylko o bubkach z najlepszego towarzystwa.

- Właśnie - przytaknęła Madzia - „mały” Tarnowski, „mały” Potoc-ki, „mały” Tyszkiewicz...

Słonimski śmiał się później wśród kolegów, że urósł we własnych oczach, ponieważ pani Kossakowa nazwała go „małym”.

Spółeczeństwo dzieliło się wówczas na grzeczne i niegrzeczne dzieci.

Niegrzeczne sprzeciwiały się wszystkiemu, co dobre, pocziwe i z dawien dawna uznawane; pochłaniały poezję Majakowskiego, czytywały z zapa-

łem wiersze Apollinaire'a i wołały wiersze Młodożeńca i Czyżewskiego od poezji Tetmajera i Miriama.

Nawet stateczna i poważna Kazia Hłakowicz, nie chcąc być po stronie tych „grzecznych”, wydała tomik wierszy dadaistycznych dla dzieci, wzo-rowanych na angielskich *Nursery Rymes*, gdzie przerażone mamusie mogły czytać dwuwiersze tego rodzaju: „Czy zdrowa pani krowa – czy nie boli ją głowa?” - albo: „Chodźcie, dzieci,- rzekła matka smutnie -

będę wam rybki malować na płótnie”. - Pawlikowska w swoim pierwszym zbiorze „Niebieskie migdały” umieściła dwa wiersze, w których stara się też ulegać nowoczesnym prądom - jeden to „O Biskupie Fijoł-

kowym”, a drugi pod tytułem „Melodia”:

Ani daleko

Ani blisko

nad kołyską

białe jak mleko

słodkie jak gwiazdy

Ciasne jak wielkie ciemne pojazdy

pełne rodziców

w dal turkoczące

nieznaną...

Jakiś naiwny księżyc czy słońce

w dziecinny wieczór czy rano...

Gwałtowne szukanie nowych form skusiło nawet katolickiego pisarza i dramaturga Huberta Rostworowskiego do wystawienia w Teatrze im.

Słowackiego słabej zresztą komedii pod tytułem „Straszne dzieci”, w której stara się zagmatwać fabułą i nowoczesną inscenizacją hołdować jakiemś fałszywie zrozumianemu modernizmowi. Witkacy ma pole do popisu i krakowski teatr wystawia mu jego sztukę „Tumor Mózgowicz”, której publiczność zupełnie nie rozumie, ale się do tego - za Boga - nie przyznaje. Scena bardzo nie lubi „dziwności” i jego filozoficzno-purnonsensowe sztuki padają jedna po drugiej. Szyfman również wystawia

„Tumora”, który umiera śmiercią zapoznanych na premierze, odbywają-

cej się o dwunastej w nocy - dla recenzentów i wtajemniczonych. Na jego miejsce wchodzi jakaś francuska farsa. Ale Witkacy dalej walczy jak lew o swoje sztuki.

Rozdział III

ZA CZASÓW KRÓLA ÓWIECZKA

Wiosną 1923 roku Jan Starzewski, mąż Magdaleny, otrzymał nominację na drugiego sekretarza poselstwa polskiego w Bukareszcie. Madzia aż piszczała z radości. Konik, na którego postawiła najwyższą stawkę -

wygrał! Przecież całe jej małżeństwo było po to, aby z domowego po-dwórka wyrwać się na szeroki świat. ZAGRANICA! To słowo równało się dla niej ze słowem „szczęście”. Zagranica - i to w jakich warunkach: dy-plomacja, wielki świat, zagranicznicy!

Młodzi państwo Starzewscy szykowali się do wyjazdu. Madzia gorączkowo przeglądała swoją garderobę, która nie przedstawiała się zbyt okazale. Brakowało w niej kosztownych futrzanych etoli i balowych sukien z ogonami, w których miała występować na balach dworskich. Z

pomocą przyszło jej to kochane Mamidło: wyciągnęło ze starych kufrów swoje wspaniałe balowe szaty nabijane dżetami, pajetkami, haftowane złotymi nićmi, które łatwo można było przerobić dla młodszej córki.

Poselstwo polskie w Bukareszcie mieściło się wówczas na Calea Victoriei w wynajętym od jakichś rumuńskich książąt pałacyku, który przedstawiał szczyt złego smaku i tandetnego przepychu: marmurowe schody ze złożonymi balustradami, aksamitne purpurowe kotary, złożone stiuki i boazerie. Styl wiktoriański w najgorszym wydaniu, a poza tym całe urządzenie jak gdyby przeznaczone dla nadludzi, dla kolosów: okna i piece sięgające nieomal sufitu, fotele obite pluszem, tak obszerne, iż mogłyby pomieścić przytuloną do siebie zakochaną parę, olbrzymie lustra w złożonych ramach, łoża na cztery osoby, ozdobione głowami lwów i stojące na złożonych łapach, a na ścianach niemieckie oleodruki, tak zwane landszafty, w kosztownych ramach, i fotografie

panowie z ustami wtulonymi w loki bujnej brody, panie w wysokich kołnierzykach, sztywne i pełne godności, jakaś zakonnica rodzinna w małym czarnym cylinderku z czarną zasłoną okalającą twarz. A wszystko razem jakby przeznaczone do zdruzgotania maluczkich, którzy by się tam przypadkowo dostali. Takiego ohydneho przepychu nie oglądały jeszcze nigdy Madzine oczy i wszedłszy pierwszy raz w progi tego domo-stwa, w tę teatralną dekorację z *fin de siècle'u*, zapytywała sama siebie, czy potrafi tu normalnie żyć, jeść, spać i prowadzić zwykłe codzienne rozmowy.

Posłem Rzeczypospolitej Polskiej był zacny obywatel ziemski, Paweł

Jurjewicz. Starzewski, który już poprzednio w Bernie przy prof. Rostwo-rowskim nauczył się dyplomatycznego rzemiosła, podsuwał mu swoje uwagi i propozycje tak delikatnie i chytrze, że pan poseł wychodził z owych spotkań głęboko przekonany o swojej bystrości umysłu i poli-tycznych zdolnościach. Pierwszy, sekretarz, pan Arciszewski, był wówczas na urlopie, tak że bez pomocy Starzewskiego kochany Jurjewicz byłby się czuł jak tabaka w rogu.

Wśród nich obu milcząca Madzia rozumiała, że teraz ona będzie na drugim planie, a jej mąż na pierwszym, że przestała być Magdaleną Samozwaniec, a stała się tylko panią Starzewską, żoną drugiego sekretarza poselstwa. O jej książce, o jej zdolnościach nie wspomniano tu wcale. To było dobre w kraju. W tym dyplomatycznym światku nie potrzebowano żadnych jakichś tam humorystek, potrzebowano natomiast taktownych, doskonale ułożonych dam; które mogłyby czasem zabłysnąć dowcipną konwersacją, ale jakżeż daleką od typu humoru „Na ustach grzechu” albo „Czy chcesz być dowcipny?” Jaś przezornie milczał na temat literackiej kariery swojej żony, za to chętnie zaznaczał, iż jest córką słynnego malarza Wojciecha Kossaka. Zrozumiawszy, że z jej pisaniem na razie koniec, rzuciła się Madzia głową naprzód w nurt tego nowego życia, które z początku wydało jej się szczytem spełnionych marzeń. Była jak ktoś, kto przepada za słodyczami i zostaje nagle przeniesiony do pałacu jakiejś Królowej Cukru. Zapycha się, zażera wyszukanymi słodyczami i po jakimś czasie zaczyna marzyć o kawałku razowego chleba i szklance

kwaśnego mleka. Porównanie z pałacem Królowej Cukru z czarodziej-skiej baśni nie jest wcale przypadkowe, w tym dziwnym świecie, w który się Madzia nagle dostała, wszystko było lukrowane, słodzone, zaprawio-ne miodem; miodowe uśmiechy, słodzone komplementy, marcepanowe twarze bez wyrazu, czekoladowe spojrzenia czarnych oczu rumuńskich dyplomatów, lepkie dowcipy młodych, ludzi, uprzejmość z lodowatego cukru starych rumuńskich arystokratek. A-pod tym cukrem, lukrem, miodem - fałsz, obłuda i snobizm bez granic! Madzia, z początku oczarowana tym wszystkim, wysyła do Mamidła entuzjastyczne listy, ale po kilku tygodniach piszę do swej ukochanej siostry trochę inaczej: *Ach Lilusiu żyje się tutaj w takim głupim snobskim świecie zupełnie jak w durnym śnie gdzie rzeczy drobne stają się szalenie ważne. Prawda tutaj leży w tym że jest wiecznie ciepło że bzy kwitną taka wiosna jak wówczas kiedy byłyśmy małe i że czasem wieczorem w restauracji jakiś kapitan marynarki sygnie morskie oko aż ci w pięty pójdzie czego nie umieją robić te sztywne dyplomatolki. Baby głupie jak baobab i jeszcze więcej myślą ,o ubraniu niż u nas.*

Madzia niedługo po przyjeździe do Bukaresztu ma być, jak każda żo-na dyplomaty, przedstawiona królowi i królowej. Pani Jurjewiczowa uczy ją trzech głębokich dygów w tył, które ma wykonać, stanąwszy w obliczu królowej. Madzia robi próbę przed lustrem w długiej balowej sukni, naturalnie

potyka się, przydeptuje tren, który rozrywa się na dwie połowy. Musi próbę powtórzyć kilkakrotnie.

- Proszę pamiętać - mówi poważnie posłowa - że nie wolno, pani odezwać się pierwszej, tylko czekać, aż królowa o coś zapyta. Zwykle, podając rękę, pyta: „Jak się pani czuje w Bukareszcie?” - na co należy odpowiedzieć, że „doskonale”.

Madzia jest bardzo zemocjonowana i boi się, aby nie popełnić jakiejś gafy. Z bijącym sercem, w asyście swojego męża, usztywnionego frakiem i nie byle jakim przeżyciem, wstępuje na schody zasłane dywanami, które wiodą do sali przyjęć. Nad nią wiszą duże batalistyczne płótna pędzla polskiego malarza Ajdukiewicza - zrobił on tutaj ze swoim mier-nym talentem zawrotną karierę - wśród nich czernią się i błyszczą 43

twarzami, jak gdyby z kości słoniowej, przepyszne portrety starego hiszpańskiego mistrza El Greco. Poza tym widzi się taki sam tandetny i te-atralno-kiczowaty przepych jak w polskiej legacji, tylko doprowadzony do potęgi. Marmury, purpury i złocenia, kotary, plusze i duch starej królowej Carmen Sylvy, unoszący się nad wszystkim. Oboje królestwo stoją w środku wielkiej sali przyjęć. Król Ferdynand ma na sobie galowy mundur obwieszony orderami. Mały, przysadzisty, z krzywymi nogami, wygląda jak wyobrażenie baśniowego króla Ćwiczka. Jest podobno zupełnie zahukany przez swoją piękną żonę, królową Marię, i spełnia przy niej rolę księcia małżonka. Jediną jego pociechą jest młoda mniszka w jednym z klasztorów znajdujących się w okolicy Bukaresztu, do której dojeżdża w wielkiej tajemnicy... poliszynela. Królowa też wygląda na królową z bajki, cała spowita w jasne jedwabie i gazy. Do bujnych blond włosów ma przypiętą malutką koronę z diamentów. Jest jeszcze bardzo piękna mimo swojego statecznego wieku, ale wiedząc dobrze, że kobieta psuje się wpierw od szyi i podbródka (przeciwnie jak karp, który podobno... od ogona), nosi na głowie pod koroną białą gazę, otulającą miękko całą szyję, tak że z tych osłonek wyziera jej twarz jak piękny dojrzały owoc. Madzia, czerwona z emocji, robi bezbłędnie trzy głębokie ukłony w tył, królowa zbliża się do niej, podaje jej rękę. Szpaler czarnych fraków i dekolowanych toalet, w których tkwią dyplomatyczne kukły, przygląda się tej prezentacji, prawdopodobnie marząc, aby *la nouvelle* zrobiła jakieś *faux pas*. Ale ona trzyma się dzielnie.

- Dawno pani przyjechała do Bukaresztu? - pyta królowa po francusku.

Madzia odpowiada, kiedy tu przyjechała.

- Jak pani się podoba Rumunia?

- Szalenie; Jestem zachwycona! - Na tym powinna była skończyć, ale nasza gaduła dodaje jeszcze szybko, że przede wszystkim zachwycona jest klimatem, bo w Polsce wiecznie leje... To już jest całkiem zby-teczne i Jaś Starzewski, słysząc te zwierzenia, drży na myśl, co jego żona jeszcze ma zamiar powiedzieć. Królowa uśmiecha się leciutko i nie zadaje żadnych więcej pytań, więc Madzia, znów robiąc przepisowe dygi, 44

wycofuje się. Prezentacja skończona. Madzi zlatują kamienie z serca i ma wrażenie, iż toczą się po kosztownych perskich dywanach. Wszyscy przechodzą do bufetu. Popijając szampana z rumuńskimi generałami znajduje się tuż koło milczącego i mało rozbawionego króla Ćwiczka, z którym nikt nie pije i nikt nie rozmawia, ponieważ on pierwszy musi się odezwać. Madzia, to „dobre serduszko”,

lituje się nad opuszczonym starszym panem i pierwsza zaczyna z nim towarzyską, rozmowę wbrew przyjętemu protokołowi, co wzbudza zrozumiałe zamieszanie.

Królik jest jednak zachwycony. Rozmawia z zapałem, wygłodniały, stęskniony za jakąś normalną towarzyską rozmową. Popijają razem szampana, generałowie robią wokoło tej pary *cercle*, podслуchując ich rozmowę. Jaś po powrocie do domu nie wie, czy ma żonie zrobić wy-mówki, iż postąpiła wbrew przyjętym przepisom, czy też powinien ją pochwalić, bo ostatecznie to zrobiło na wszystkich ogromne wrażenie, że król Ferdynand cały wieczór tylko się nią zajmował. Sukces nie lada.

Wybiera więc drogę pośrednią:

- Dobrze, że ci się udało, moje Madziatko, ale na przyszłość, błagam, unikaj tego rodzaju wyskoków. Przecież cię pouczałem, że do ukoronowanych głów zwykły śmiertelnik nie ma prawa pierwszy się odezwać i musi czekać, aż one wpierw do niego zagadają.

- To byłabym czekała do rana - odpowiada Krnąbrna osóbka. - Czy nie zauważyłeś, jaki ten biedny Ferdynand jest nieśmiały? Stał koło mnie, przestępował z jednej krzywej nogi na drugą krzywą nogę, otwierał usta, aby coś powiedzieć, i ani be, ani me. Trzeba mieć trochę serca i litości, nawet dla ukoronowanych głów.

Jaś cicho westchnął: ach, ta oryginalność jego młodej małżonki! co ona mu jeszcze może narobić...

Życie Magdalenki w pierwszych miesiącach pobytu w Bukareszcie składało się z samych przyjemności. Już popołudniowy spacer wzdłuż nie kończącej się Calea Victoriei był atrakcją nie lada. Co krok filie paryskich sklepów. Wystawy jubilerskie, od których ćmiło się w oczach, i 45

najpiękniejsza bielizna damska wzbudzały w myślach grzeszne marzenia. Mijające ją Rumuneczki w modnych angielskich kostiumikach. z krótkimi stanami prześliczne były do pasa, ale zbyt okazałe i wschodnie od pasa w dół. Wszystkie mówiły ze sobą tylko po francusku, udając, iż wcale nie znają rodzimej mowy, dopiero jak stawały przed którąś z tych ślicznych długookich rumuńskich wieśniaczek, sprzedających kwiaty na rogu przecznicy, pokazywało się, że znają doskonale język rumuński i nawet potrafią się w nim biegle targować. Na Calea Victoriei mało się zresztą widywało rumuńskiego ludu. Była to ulica jak gdyby tylko przeznaczona dla bukareszteńskiego *high-life'u*. dla wspaniałych pojazdów, luksusowych samochodów. Gdy chłopek ze skrzypiącym wozem, zaprę-

żonym w jakąś dychawiczną chabetę, chciał przejechać tą główną arterią, to nawet piękne, spasio-
ne koniki, wiozące bojarów lub dygnitarzy, spoglądały na niego spode łba. W żadnym kulturalnym kraju nie spotykało się w wieku dwudziestym takiej przepaści między panem a chłopem, jak w Rumunii. Madzia nigdy nie zapomni niesłychanie groteskowej sceny, jaka miała miejsce, gdy państwo Starzewscy zamieszkali u księżny Sutzo. Księżna wyszła na balkon właśnie w momencie, kiedy chłop rumuński, siedzący na wozie, okładał batem konia, który nie mógł

pociągnąć przeładowanego wozu. Oburzona tym widokiem, przechyliła się przez poręcz balkonu i zaczęła przeklinać:

- Ty przeklęty, śmierdzący *drakul* (diable)! Za to, że bijesz konia, zdechniesz wraz z żoną i dziećmi!

Na to chłopek zsiadł z wozu, ukląkł na ulicy, złożył ręce jak do modlitwy i zaczął jęczeć:

- *Domnica*, litości! Możesz mnie przekląć, nędznego robaka, ale da-ruj życie żonie i dzieciom!

- No - rzekła łaskawie bojaryni - niech twoja sobaka ze szczeniętami żyje, ale ty zdechniesz, jak jeszcze raz uderzysz konia! - Pogroziła mu palcem i wróciła do salonu, z miną władczyni zadzierając siwą głowę do góry.

Idąc wzdłuż *Calea Victoriei* Madzia wstępowała zawsze w południe do słynnej cukierni *Capsa*. O takich słodyczach jakie tam były mogło się 46

jej dawniej tylko śnić. Chałwy we wszystkich smakach, sorbety, rachaty różane, miód turecki, kandyzowane owoce, fiołki w cukrze i makagigi.

Przy drzwiach wejściowych stała olbrzymia kadź z bitą śmietaną, którą można było sobie gratis nakładać na talerzyki, ile się chciało. Madzia jadła, opychała się i tyła nieomal w oczach. Jak nałogowy alkoholik na

„jedną głębszą” i „śledzika”, tak ona musiała wpadać do tego słodkiego baru przynajmniej na jeden kawałek tortu z kremem albo na jedną porcję sorbetu. Przy stolikach siadywało u *Capsy* najlepsze bukareszteńskie towarzystwo i plotkowało. Madzia spotykała się tu ze swoimi rumuń-

skimi przyjaciółmi, którzy za nią przepadali. Polacy z dawien dawna imponowali Rumunom, a przyjaźń, jaka te dwa narody ze sobą łączyła, datowała się jeszcze (o ironio!) od tych czasów, kiedy gospodar mołdawski Stefan zadał królowi *Olbrachtowi* pamiętną, klęskę, a państwo największego z gospodarów wołoskich, *Michała Walecznego*, padło pod naporem polskiego oręża. Staropolskie przysłowie „kto się lubi, ten się czubi” można by w tym wypadku zmienić na „kto się czubił - ten się lu-bi”. Potomkowie słynnego bojara *Lapusleano* szczylicili się na przykład powinowactwem z rodziną *Dąbskich*. Księżniczka *Bibescu*, która niedawno poślubiła jednego ze *Starzeńskich*, była dla Rumunów podwójną arystokratką, bo nie tylko że *Bibescu*, ale jeszcze żona polskiego hrabiego, co już było szczytem dobrego mariażu. Stare rumuńskie arystokratki nieraz myliły nazwisko „*Starzewska*” ze „*Starzeńska*” i z najbardziej słodkiutkim uśmiechem pytały Madzię: *Comment ça va, chère comtesse?* -

a gdy szybko prostowała tę pomyłkę, zmieniały ton na obojętno-zdawkowy. Śmietanka rumuńskiego towarzystwa nie lubiła uchodzić za Rumunów. - Ja nie jestem Rumunką - jestem Greczynką! - mówiła ta lub inna arystokratka. - *Je ne suis pas Roumain* - mówił dobry znajomy Madzi, młody *Vladescu* - *je suis Moldavalaque!*

Madzia dopiero o wiele później zorientowała się, że słowo „Rumun” brzmi źle i niearystokratycznie, znaczyło ono w tym towarzystwie to samo co „chłop”.

- Ach, ci Rumuni, cóż to za ciemny i nieokrzesany naród - mówiły panie *Bibescu*, *Lahovary*, *Brancovan* lub *Sturza*.

- Nie znoszą Rumunii - przyznawał się szczerze pan Vladescu - Kocham tylko Francję i Włochy!

Przy sorbetach z bitą śmietaną dowiadywała się Madzia od swoich rumuńskich przyjaciół o różnych dziwnych obyczajach bukaresztein-

skich.

- Powiedzcie mi, moi drodzy - pytała naiwnie - co znaczą ci eleganccy, piękni młodzieńcy, którzy w samo południe wystawają przed cukiernią Capsy? Czy oni na kogoś czekają?

- Och, jaka (ta nasza *Madeleine* jest niewinna! To pani naprawdę nie wie, że to są *des gigoles*; oni czyhają na bogate starsze damy. Gdy z cukierni wychodzi takie stare pudło obwieszane brylantami, to któryś z nich robi do niej „oko”, ona podchodzi do niego z uśmiechem, witają się jak dobrzy znajomi i idą sobie pod rękę do najbliższej dorożki. To jest zupełnie przyjęte i nikt się temu nie dziwi.

- Cóż za okropne zepsucie!

- To pani nazywa zepsuciem? Mamy dla pani lepsze historyjki, na przykład ta, którą od kilku dni bawi się cały Bukareszt, a która zdarzyła się jednemu z najbardziej znanych tutejszych lekarzy: Otóż jego szesnastoletnia córka zaczęła od jakiegoś czasu znikać na całe popołudnia z domu. Zaintrygowany tym ojciec zaczął ją śledzić i kiedyś na ulicy spotkał idącą pod rękę z jakimś obcym młodzieńcem. Gdy zaczepił tę parę, wyrażając zdziwienie, że jego córka spaceruje pod ramię z obcym męż-

czyną, młody człowiek odparł z całym spokojem, iż poznał tę panią w domu publicznym.

- Och! - zawołała oburzona Madzia.

- Ale to jeszcze nic, *chère Madeleine*, gdy ojciec zrobił jej w domu piekielną awanturę, dziewczę przyznało się, że zostało zdeprawowane rok temu przez starszego braciszka, który obecnie zmusza ją, aby na niego w ten sposób zarabiała. Ojciec chciał ją wyrzucić z domu, ale na to przyszła jej matka i powiedziała z całym spokojem: „Nie masz prawa wyrzucać dziecka z domu, ponieważ ono wcale twoim nie jest”... No i jak wam się to podoba, cha! cha! cha!

Madzia zaniemówiła, czytywała mocno niecenzuralne powieści Pierre Louysa i Colette Villy, ale o czymś podobnym nigdy nie słyszała. - Skąd o tym wszystkim wiecie? - zapytała.

- Właśnie toczy się proces rozwodowy lekarza z wiarołomną żoną i prokurator opowiada na wszystkie strony te, zabawne szczegóły.

- Rzeczywiście, bardzo zabawne - mruknęła Magdalena.

- Jeśli panią oburzyła ta historyjka, to opowiem pani coś bardziej sielankowego...

- Zaraz, tylko muszę zjeść jeszcze trochę kandyzowanych owoców, bo się bardzo zdenerwowałam.

- Otóż, *chère Madeleine*, jadę kiedyś za Bukareszt moim wozem, oczywiście z pięknymi damami, i zatrzymujemy się w pobliżu jakiegoś żeńskiego klasztoru. I co widzimy: na trawce przed klasztorem siedzi młodziutka mniszka i własną piersią karmi swoje niemowlętko zupełnie jak Madonna Murilla, a wokoło niej inne mniszki, spoglądające na ten

„święty obrazek” z łezkami rozczulenia w oczach.

- Niemożliwe! - wykrzyknęła Madzia. - U nas by ją замуrowały żywcem jak Barbarę Ubryk, chociaż ona nawet nie miała dziecka...

- Mówię wam, był to tak śliczny widok - ciągnął Rumun dalej - że moje towarzyszki, zachwycone, wyszły z auta i mniszce w podolek wsypały garstkę lei, życząc jej, aby się niemowlętko dobrze chowało.

Gdy razem wychodzili z cukierni, ujrzeni powóz dworski zaprzężony w białe konie ze złoconą uprzężą. W odkrytym powozie siedziała królowa ze swoją damą dworu:

- *La regina!* - mówili obojętnie przechodnie.

Nikt się do niej nie uśmiechnął, nikt z mężczyzn nie uchylił kapelusza.

- To ona nie jest popularna, ta wasza piękna królowa? - zauważyła Madzia.

- A dlaczego miałyby być popularna ta Angielka?

Po przedpołudniu, spędzonym na słodyczach i plóteczkach, było się bardzo często zapraszany na *lunch* do jakiejś obcej legacji. Można było tego dnia mieć czterdzieści stopni gorączki lub bardzo silną migrenę, ale trzeba było iść, bo inaczej psuło się cały skład gości zaproszonych do stołu. Kiedyś Madzia w dzień takiego lunchu poczuła się bardzo chora, kaszlała i miała gorączkę.

49

- Nie będę miała siły wstać z łóżka - rzekła do męża.

- Trudno, musisz wstać, ubrać się i pojechać. Można dać wiadomość w przeddzień, że się nie przyjedzie, ale nie tego samego dnia. to by oznaczało zupełny brak znajomości *savoir-vivre'u* dyplomatycznego.

Przecież już jest z góry ułożone, gdzie będziesz siedzieć, w którym sąsiedztwie, i na twoje miejsce musieliby gwałtem kogoś innego prosić, a ten znów by nie przyszedł, bo czułby się obrażony, że go proszą w ostatniej chwili.

Zachowanie się podczas takiego lunchu czy wieczornego obiadu nie było rzeczą całkiem prostą. Lokaje na przykład zwykle napełniali róż-

nymi winami od razu wszystkie kieliszki i trzeba było bardzo uważać, by nie wypić burgunda po kupie albo kieliszka malagi, który rezerwowany był na koniec obiadu. Tego wszystkiego uczył żonę Jan Starzewski, w tych sprawach oblatany.

- Nieraz muszę się za ciebie wstydzić, moje Madziatko - mówił po ojcowsku. - Jesz o wiele za wolno, szczególnie, gdy się zagadasz z sąsiadem, i raz zauważyłem, że cała służba czekała na zmianę talerzy, aż ty przestaniesz jeść. Obcierasz usta w serwetę...

- A w co mam obcierać?

- W nic. Należy tak jeść, aby ust nie walać. Czy widziałaś, aby któraś z tych dam dyplomatycznych obcierała sobie usta serwetą? A już na obiedzie u Bułgarów zrobiłaś mi prawdziwy wstyd... Jadłaś szparagi widelcem, co jest bardzo *mauvais genre*.

- Jak to, więc miałam je brać w palce?

- Naturalnie, są przy tym do nich specjalne szczypczyki.

- A jak masło kapnie do rękawa?

- No widzisz, to jest właśnie różnica między tobą a tymi paniami z dyplomacji, że dla nich tego rodzaju problemy nie istnieją. No i sprawa owoców, zauważyłem, że bierzesz z półmiska na przykład gruszkę i wolno ją obierasz.

- Czy należało raczej wziąć pomarańczę?

- Także nie. Te owoce to raczej symbol deseru i nie należy go brać na serio. Jest to ostatnie danie i każdy tylko marzy, o tym, aby nareszcie móc wstać od stołu. Bierze się kilka winogron lub jeden orzeszek i na 50

tym koniec. W ogóle z każdej potrawy powinno się brać mało. aby nic nie zostawiać na talerzu. Ale nie wolno nie wziąć wcale.

- A jeśli ktoś jest ciężko chory na wątrobę i nie może jeść nic innego jak tylko gotowane mięso, to wtedy co?

- W dyplomacji nie jest przyjęte, aby ktoś był chory na żołądek lub wątrobę.

Madzia westchnęła ciężko. Przypomniały jej się domowe kolacje i Tatko, ten cudny żarłok, który brał sobie na talerz całą pieczeń cielecą albo całego karpia, a wówczas rodzina zamierała z przerażenia, patrząc, jak go pożera wraz z ościami. Przypomniało jej się również, jak na pewnej kolacji u warszawskich znajomych tak się zagadała z przystojnym sąsiadem, że kuropatwa, z którą się mocowała, skoczyła z jej talerza na jego kolana. Gdyby jej się tutaj coś podobnego przytrafiło, Starzewski byłby chyba od razu zwolniony z placówki i odesłany do centrali. Przytrafiło jej się jednak coś o wiele gorszego, a było to na „fajfie” u Francuzów. Biedna ofiara dyplomacji wypła duszkiem na pusty żołądek duży i długi kieliszek szampana i wypaliła dłuższego jeszcze od tego kieliszka bułgarskiego papierosa. Stała rozmawiając z jakimś starszym ministrem i nagle zrobiło jej

się strasznie niedobrze. Z chusteczką przy ustach wybiegła z salonu i przez hall wydostała się na taras. Salony poselstwa francuskiego znajdowały się na szczęście na parterze. Z tarasu tylko kilka schodów dzieliło ją od dziedzińca, ale właśnie na tych schodach, stała się nieunikniona kompromitacja. Lokaje w czerwonych frakach, z kandelabrami w dłoni, oświetlali tę ponurą scenę w głębokim i skupio-nym milczeniu. Gdy wreszcie przysła do siebie, jeden z nich rzekł po-czciewie: *pauvre madame...* a drugi pobiegł po szklankę wody. W oszko-nych drzwiach natknął się na przerażonego Starzewskiego, który z płasz-czem żony, przewieszonym przez ramię, wybiegł za nią, przeprosiwszy panią domu. Odnaleźli swoją dorożkę, która na nich czekała, i pojechali do domu. Jan siedział milczący i nadęty. Po długim milczeniu rzekł z wielką troską w głosie:

- Teraz już z moją karierą koniec. Jesteśmy skompromitowani raz na zawsze.

51

- Cóż miałam robić? I tak wielkie szczęście, że to się nie stało tam, w salonie, przy wszystkich...

- No, gdyby to się było tam stało, to tylko pakować manatki i wracać do Warszawy. Powiedz mi, dlaczego żadnej innej żonie dyplomaty nie przytrafiłaby się taka rzecz, jedynie tobie?

Madzia na te słowa nie umiała znaleźć odpowiedzi. Rzeczywiście, dlaczego takie rzeczy przytrafiały się tylko jej? Czyżby była już od urodzenia przeklęta przez wróżkę - specjalistkę od towarzyskich kompromi-tacji?

Przykry ten wypadek nie pociągnął za sobą zwichnięcia kariery Starzewskiego, niemniej przez dobrych kilka miesięcy poselstwo francuskie nie przysyłało zaproszeń na żadne przyjęcia lub bale młodej małżeńskiej parze.

Główna ulica Bukaresztu Calea Victoriei kończyła się pełną błota, ko-cich łbów i żydowskich sklepów kupiecką dzielnicą Lipskani - gdzie Madzia kupowała nieraz najtańsze pończochy - a zaczynała wspaniałą Aleją Kisielew, miejscem *rendez-vous* całego eleganckiego świata. Zjeżdżały tu powozy, koczki, lśniące samochody i stawały na szosie w miejscu odległym od prywatnych will. Panowie wysiadali i składali paniom siedzą-

cym w powozach wizyty. Piękni rumuńscy oficerowie - chłopcy nie „jak malowanie”, ale naprawdę umalowani, ściśnięci w pasie gorsetami, w mundurach prosto od wojskowego krawca - stawiali nogę w lakierowa-nym buciku na stopniach pojazdu flirtując z damami. Zwyczaj owych popołudniowych spotkań, zapożyczony z rzymskiego Pincio i paryskiego Lasku Bulońskiego, był w pogodne i słoneczne dni zjawiskiem „codzien-nym. Bukareszteński *high-life* wraz z członkami dyplomacji spotykał się tutaj w całej swojej okazałości. Damy kładły na owe „fajfy” na świeżym powietrzu najpiękniejsze toalety i futrzane etole i brylowały dowcipną i leciuchną jak zefirek konwersacją. Wszyscy, zapominając własnego języ-ka w gębie, mówili po francusku, starając się jak najwięcej grasejować.

Wszyscy z wyjątkiem Anglików, którzy zawsze woleli, aby się do ich ję-

zyka inni dostosowywali. Starzewski z aprobatą słuchał, jak jego żona bardzo „ahystokhatycznie” nie

wymawia litery „r”, co zresztą było wadą jej wymowy od urodzenia, a co tutaj robiło bardzo dodatnie wrażenie.

52

Na te rewie mód i delikatne flirty zjeżdżał również swoim samochodem i następca tronu, książę Karol. Całe to eleganckie towarzystwo wraz z ujadaniem rasowych piesków i rzeniem spasionych koników jechało później do „Country Club” na podwieczorek, partię tenisa lub golfa. Do tego klubu, którego prezesem był sam książę Karol, nie było łatwo się dostać, musiało się albo należeć do korpusu dyplomatycznego, albo pochodzić z bardzo starego rodu. Karolek był zresztą wówczas sympatycznym i bezpośrednim młodzieńcem, a w owym klubie rządził się i komenderował niczym swego czasu Putrament w klubie literatów na Krakowskim Przedmieściu: jednych posyłał do gry w golfa, drugich za-ganiał na korty tenisowe, trzecim kazał zasiadać ze sobą do stolika brydżowego. Nie był ani lepszy, ani gorszy od bubków z arystokratycznych rodzin, którym wybitne stanowisko ojca daje daleko idące prerogatywy.

Tak samo jak i jego tata i mama, nie interesował się wewnętrznymi sprawami swojego kraju, a pragnął tylko wesoło i przyjemnie używać życia. Po ojcu Hohenzollern-Sigmaringen miał wszystkie cechy tego rodu, z krótką cofniętą brodą, wyłupiastymi niebieskimi oczami i ryżym przyszyżonym wąsikiem. Nie uznawał dworskiej etykiety, o którą tak dbała królowa-matka, i bardzo nie lubił, aby go nią zamęczano. Na tym tle doszło kiedyś do bardzo zabawnej sceny. Attache wojskowy, Mr.

Daumiere, zaprosił kiedyś następcę tronu do siebie na „fajf” z partią brydża. Towarzystwo brydżowe, do którego był również dopuszczony Jan Starzewski wraz z małżonką (na kibica), zostało po sutym podwieczorku zaproszone do małego buduaru, gdzie stał zielony stolik, a na nim świece i talie angielskich kart. Podczas najciekawszych rozgrywek wpadała do pokoju pani domu wraz z lokajem, który na srebrnej tacy wnosił coraz to inne „aperitify”, likiery lub kieliszki szampana. Można sobie wyobrazić te zachęty, te słodziutkie uśmiechy macierzyńskie, jakimi pani domu zamęczała „dostojnego gościa”.

- Może kieliszeczek porto, *Siré*? A może *cointreau*? Już wiem, ka-napeczkę z kawiozem. Nie? No to może ciasteczko mojej własnej roboty.

53

Następca tronu dziękował zniecierpliwiony, co jednak nie pomagało, bo znów po chwili zjawiała się wraz z lokajem, tym razem niosącym czarną kawę i torty.

- Dziękuję. Mam wszystkiego po uszy. Jeśli można o coś prosić, to tylko o odrobinę spokoju...

- Och, już, już mnie nie ma! Tylko jeszcze przyniosę te tureckie papierosy, które - wiem - Jego Wysokość tak chętnie pali. A może lepiej cygarko hawańskie?

Gdy jednak za czwartym razem wtargnęła do brydżowego sanktuarium, tym razem z tacą południowych owoców, następca tronu nic nie rzekł, tylko gdy wyszła, zamknął za nią drzwi na klucz! Brydżyści, uwa-

zając to za doskonały kawał, zanosili się przyciszonym śmiechem. A gdy po chwili gościnnie pani domu znów zapragnęła czymś uraczyć dostojnego gościa, zastała, drzwi od buduaru zamknięte. Zapukała kilkakrotnie, poruszyła klamką, ale ponieważ nikt nie miał zamiaru jej otworzyć, więc odeszła jak niepyszna. Na to oczywiście mógł sobie tylko pozwolić ktoś z panującego dworu, bo gdyby tak zwykły śmiertelnik... strach pomyśleć, jaki by go za to spotkał bojkot towarzyski. To, co u innych ludzi byłoby nazwane złym wychowaniem, a nawet chamstwem, u księcia krwi nosiło nazwę bezpośredniości i oryginalności.

- Ach, ten książę Karol! Jaki on prosty i naturalny! - oblizywały się snobki.

Na tle owej bezpośredniości księcia Karola zdarzył się w poselstwie polskim istny skandalik. Posłem był już wówczas nie ciepły i dobroduszny Jurjewicz, ale gładziutki wylizany snobek, Józef Wielowieyski.. Nosił

getry, monokl i niesłychanie dbał o formy zewnętrzne. Do swojej żony, która była Francuzką, ciężko bogatą córką fabrykanta „petit-beurrów”, mówił zawsze „vous », nawet gdy byli sami, we dwoje. Ona zaś sepleniąc, ponieważ miała wadę w szczęce, mówiła do niego: „écoutez, Zoseph”. Do tej szalenie wykwintnej pary nie pasowała zupełnie jej córeczka z pierwszego małżeństwa, szesnastoletnia Michette,- która miała wygląd i maniery paryskiej midinetki. Mieli równie jak oni oboje dystygowanego 54

pieska, którego co dzień musiał wyprowadzać na spacer najmłodszy członek poselstwa, młody Czerwiński.

- Za czasów Jurjewicza - skarżył się – odczytywałem szyfrowane depesze, a teraz jedyną moją funkcją jest wyprowadzanie pieska na kupkę.

Tak jak są miłości od pierwszego wejrzenia, tak samo są i nienawiści.

Madzia z Wielowieyskim spojrzeli pierwszy raz na siebie i poczuli wzajemną gwałtowną antypatię. Od Wielowieyskiego wiało na miłą warszawskim Klubem Myśliwskim z ulicy Kredytowej, od Madzi wyraźnie zalatywało zapachem Kossakówki, gdzie wśród bratków, mleczów na klombie i kaczeńców wyrastały ciekawe i niebanalne indywidualności.

Jedyne, co w oczach hr. Wielowieyskiego tłumaczyło istnienie Magdaleny w poselstwie polskim, to niezbity fakt, że jej matka była rodzoną ciotką Józia Kisielnickiego, bardzo dobrze widzianego w warszawskich sferach ziemiańskich, bo nie tylko że chłopiec miał duży majątek, ale poza tym był kawalerem maltańskim.

Któregoś poranka pan poseł zwołał do siebie członków poselstwa, komunikując im, że oto na *lunch* do legacji polskiej przybędą Jego Wysokość książę Karol z małżonką i królową grecką.

- Do pani specjalnie zwracam się z prośbą, pani Magdaleno, aby pani uważała bardzo na to, co powie przy tak dostojnych gościach, i nie paliła papierosów po skończonym lunchu, tylko dopiero przy czarnej kawie w moim gabinecie. Już nieraz zauważyłem, że pani to robi, ale tym razem bardzo kategorycznie proszę, aby się wstrzymać...

- Spróbuję - westchnęła Madzia.

- Nie ma co próbować - zauważył oschle pan poseł - tylko nie wolno pani tego robić i już! Czy może mi to pani obiecać? - dodał już nieco uprzejmiej.

- Mogę - odparła śmiejąc się - ale gdybym zapaliła to co by się sta-

ło?

Pan poseł wznosił wyblakłe oczy w sufit, po czym skierował je w stronę Starzewskiego.

- Proszę, panie Janie, aby pan wytłumaczył żonie, że palenie papierosów przy stole jest w bardzo złym tonie, a już szczególnie wówczas, kiedy do stołu zasiadają tacy goście, jak Jego Książęca Mość Karol wraz z małżonką i królową grecką...

- Przecież ja Karolka doskonale znam - rzekła Madzia - grywaliśmy razem w brydża, bardzo prosty i miły chłopak.

Poseł Wielowiejski aż syknął. Ta mała pani z prowincji mówi o następcy tronu „Karolek” i „chłopak”, to już naprawdę jest troszkę za wiele! - pomyślał wzburzony, skłonił głowę, niby że audyencja jest skończona, po czym zasiadł do swojego biurka, co miało oznaczać, że pragnie pozostać sam i „pogрузić się w pracy”.

Przybycie członków rumuńskiego dworu było faktem bardzo doniosłym i pierwszy raz poselstwo polskie miało dostąpić tego zaszczytu.

Trudno się więc było dziwić, że cały skład legacji żył w wielkim napięciu i zdenerwowaniu, aby wszystko udało się i stanęło na wysokości zadania.

Poseł sprowadził najrzadsze wina, najdroższe koniaki i likiery. Menu owego lunchu było szeroko i dokładnie omawiane między panem po-słem, jego małżonką a kucharzem poselstwa. Do tych rozmów był również dopuszczony Starzewski, który już wówczas awansował na pierwszego sekretarza. O oznaczonej godzinie zajechała dworska kareta, z której wysunęły się z pomocą lokaja dwie młode piękności: następczyni tronu oraz królowa grecka i ks. Karol w wojskowym mundurze. Po przywitaniach i prezentacjach „dostojne towarzystwo” przeszło do gabi-netu, gdzie lokaj podał porto i *chestery* (małe ciasteczka z serem). Stół

ubrany kwiatami przywitał nieomal ukłonem biesiadników, którzy usiedli według protokołu, to znaczy: książę Karol po prawej stronie pani domu, następczyni po lewej stronie pana posła, a królowa grecka po jego prawej. Podano zupę żółwiową w filiżankach, po której stało się coś, od czego zzieleniała żółta twarz pana posła, poczerwieniała upudrowana twarz jego żony i pokraśniał z radości buziak pani Starzewskiej, bo oto książę Karol wyciągnął z kieszeni złotą papierośnicę, najspokojniej w 56

świecie zapalił papierosa, poczęstował nimi swoją żonę, po czym poprzez stół podał papierośnicę Madzi, która wzięła papierosa z prawdziwą radością i starała się puszczać dym w sam nos wzburzonego pana posła.

- Widzisz, widzisz, protokolarny mydłku - zdawały się mówić jej ro-ześmiane oczy. - Masz twoje dyplomatyczne przepisy i zakazy. Dobrze ci tak!

Posłowi nie wypadało nic innego zrobić, jak pójść również za złym przykładem następcy tronu, i wkrótce w jadalni zrobiło się szaro od dy-mu. Złe wychowane księżątko nie poprzestało na tym i po każdym daniu Wykonywało ten sam gest, wyciągając papierośnicę, paląc i częstując także współbiesiadników. Rzeczywiście wyglądało na to, jakby był z tą niesforną; Magdaleną w zмовie. Rzecz jasna, że było to z jego strony lekkie lekceważenie poselstwa polskiego i że na lunchu u królowej angielskiej na pewno nie byłby sobie pozwolił na takie omijanie *savoir-vivre'u*.

BAKSZYSZ

Bakszysz, czyli łapówka, słowo znane wówczas każdemu Rumunowi, otwierało nawet najbardziej niedostępne wrota. Wielkość bakszyszu była zależna od osobistości, której miał być wręczony. Wielkie figury brały duże bakszysze, mniejsze osobistości - małe. Im większe stanowisko -

tym większe bakszysze, a brali je wszyscy, począwszy od ministrów -

skończywszy na małych urzędasach. Uposażenia urzędników były bardzo małe, więc łapówka należała do rzeczy ogólnie przyjętych, bynajmniej nie wstydlivych, i jakby wchodzących w skład stroju. Ułatwiało to po części życie i zarazem utrudniało. Bez bakszyszu, który się na przykład wręczało konduktorowi, nie można było znaleźć w pociągu siedzą-

cego miejsca, gdy mu się dało większy, to można było śmiało, mając bilet drugiej klasy, przejść do pierwszej. Sprawę sleepingu, pokoju w hotelu, stolika w zagęszczonym nocnym lokalu, wszystko załatwiało się z 57

pomocą bakszyszu. Kłopot był tylko w tym, aby nie dać za mało, szczególnie jeśli chodziło o wysokich urzędników państwowych, ponieważ wówczas można się było narazić na śmiertelną obrazę.

Dzierżawa pałacyku, w którym mieściło się poselstwo polskie, skoń-

czyła się, jego właściciele powrócili z zagranicy, i kłopot był wielki ze znalezieniem odpowiedniego pomieszczenia dla biur i urzędników legacji. Przedstawiciele polscy w Bukareszcie nie orientowali się widocznie, jak wysokie bakszysze należy dawać pośrednikom, i wciąż dawali za mało. Skończyło się na tym, że biura były w innym miejscu, salony przyjęć pana posła w innym, a urzędnicy poselstwa musieli sobie szukać prywatnych mieszkań. Za protekcją wysoko postawionych osób państwo Starzewscy po wielu bezowocnych próbach znaleźli w końcu duży pokój u pewnej byłej damy dworu w jej prywatnej willi, do której wstępu broniły dwa okropne, wściekłe brytany; puszczone z łańcucha wieczorem, rzucały się na wracających z przyjęć i balów pp. Starzewskich, szarpiąc ich za ubranie i wywracając na ziemię. Madzia była już bliska nerwowego szoku, wiedząc za każdym razem, co ją czeka. Próżno błagała właścicielkę willi, aby wieczorem nie kazała spuszczać psów z łańcucha - nic nie pomagało, złośliwa staruszka była nieubłagana;

- Wy sobie nie wyobrażacie, jakie złodziejstwo u nas panuje - mówiła.

- Pani i jej mąż nie obronią mojego domu przed włamywaczami. - Stara Rumunka nie tylko bała się włamywaczy, ale również i lokatorów i stale w dzień pilnowała swojego ogródka, aby jej przypadkiem nie zginęło jedno jabłko z sadu albo kilka winogron. Miało się wrażenie, że rachuje każdy owoc na drzewie. Zamykała przed lokatorami kuchnię, spiżarnię i łazienkę. Dwa miesiące spędzone w takich warunkach doprowadziły biedną Madzię nieomal do rozstroju nerwowego, płakała po nocach i wołała: - Ja chcę do mamy - ja chcę do domu! - Jaś wcale jej nie współ-

czuł i gniewał się na nią za taki brak odporności, kontent był, że stosun-kowo tanio i bez bakszyszu zdobył jaki taki pokój. Był stoikiem i abnega-tem. Pretensje żony uważał za grymasy rozpieszczonej małej dziewczynki i nic sobie z nich nie robił. Kiedyś Madzi zginęła złota broszeczka, 58

zapytała o nią służącą, ta wpierw zrobiła tajemniczą minę, ale pod wpływem bakszyszu zeznała, że tę broszkę widziała u swojej pani na toalecie... Madzia oniemiała, więc jeszcze i to! Gdy powiedziała o tym mężowi, nie chciał wierzyć.

- Jakaś ty naiwna! Służąca sama wzięła tę broszkę i zwała na swoją panią. Jak ty sobie wyobrazasz, aby osoba tak dobrze urodzona i, w dodatku, była dama dworu miała kraść?

- Kiedy tutaj podobno wszyscy kradną - mruknęła Madzia.

- Proszę cię, abyś takich rzeczy nie mówiła i nie powtarzała.

Ponieważ o węgiel na zimę było bardzo trudno, więc skrzętna Madzia kupiła furę drzewa, które z braku odpowiedniego pomieszczenia zwalo-no na małym podwórku na tyłach willi. Ilekroć jednak spojrzała na swój zapas drzewa na zimę, przecierała oczy, ponieważ dziwnie malał on z każdym dniem. Kiedyś wczesnym rankiem ujrzała, jak służąca właścicielki willi zabiera jej drzewo do palenia w piecu kuchennym. Ponieważ to powtarzało się co dzień, wystąpiła z pretensją do pani domu.

- Nie wiem, czy pani jest wiadome - rzekła - że jej służąca zabiera co dzień moje drzewo na opał do waszej kuchni, której my przecież nie używamy.

Dama dworu spojrzała na nią jak bazyliszek i nic pa to nie odpowiedziała. Nazajutrz wymówiła im mieszkanie.

Dobłą ich znajomą była, stara księżna Sutzo, która też posiadała wła-sną willę. Do Madzi czuła jakiś dziwny sentyment, mówiła do niej „*ma chère petite*” i szczypała ją w policzki.

- Jeśli chcecie - rzekła do strapionej małżeńskiej pary - to mogę wynająć wam u siebie dwa pokoje, ale z całodziennym utrzymaniem. -

Cena, jaką postawiła, była dość wysoka i wynosiła dwie trzecie pensji pana sekretarza. Mimo to zgodzili się oboje bardzo chętnie. Starzewski w myślach obliczał, ile mu zostanie na fryzjera, papierosy i dorożki. Ojciec w dalszym ciągu nic mu nie przysyłał, a jedynymi pieniędzmi, jakie mieli poza jego pensją, były owe 500 franków francuskich, które Tatko Kossak wysyłał miesięcznie na

ręce zięcia. Należy zaznaczyć, że uposa-

żenia urzędników zagranicznych placówek były bardzo niskie i obliczone 59

na to, że do dyplomacji idą jedynie ludzie posiadający duże majątki. Nie chce się wprost wierzyć, że ta młoda żona polskiego dyplomaty nie posiadała porządnego zimowego płaszcza i że mogła chodzić po Bukareszcie ubrana tak, jak to pisze w jednym ze swoich listów do Mamidła: *Ponieważ moje krótkie futerko jest już zupełnie wykończzone więc chodzę ubrana w ten sposób: letni kostium na to letni płaszcz na to stary zniszczony niebieski lis - a na to mróz 22 stopnie!*

Mamidło, mocno tym listem strapione, idzie po pomoc finansową do Taty, który kupuje biednej córce wspaniałego puszystego białego lisa i posyła go przez kuriera dyplomatycznego do Bukaresztu. Madzia jest w siódmym niebie i nawet pisze o aniołach:

Jesteście aniołami i w ogóle nie mam słów! Biały lis zapanował w mym sercu niepodzielnie. Inaczej teraz wyglądam i snobki mnie też inaczej traktują. Jest dalej mróz ale taka pogoda że aż słońce świeci.

U księżnej Sutzo jest im na razie zupełnie znośnie. Madzia urządziła sobie salonik na wschodnią modłę: dywany na tapczanie i ścianach oraz porozwieszane batikowane makaty jej roboty. Tureckie pufy i małe in-krustowane stoliki dopełniały tego przytulnego, chociaż bardzo banalnego w Rumunii urządzenia. Księżna Sutzo nie kradnie wprawdzie, ale za to czyta całą Madzi korespondencję i wykręca z ich lamp silniejsze żarówki, aby za dużo światła nie wypalali. Głodzi ich też odpowiednio: daje im na kolację potrawę ubogich, czyli *mamaligutza cu smentana* -

mamałygę ze śmietaną. Ponieważ jednak co drugi dzień są gdzieś proszeni wieczorem, więc nie robią o 10 żadnych kwestii. Ta księżna Sutzo to zabawny typek. Malutka, drobnutka, ściśnięta w pasie gorsetem, cała obwieszona staroświecką biżuterią - robi wrażenie jakiejś starej laleczki, która długo leżała w pudle z paczulą lub lawendą wśród starych koronek i wstążek. Twarz ma mocno upudrowaną różowym pudrem i oczy podmalowane henną. Musiała być ongiś bardzo piękna. O swoich siwych, wysoko upiętych lokach opowiada, iż pewnego wojennego poranka obudziła się zupełnie posrebrzona - było to wówczas, kiedy otrzymała 60

wiadomość o śmierci na froncie swojego ukochanego bratanka. Ci, któ-

rzy ją dawniej znali, mówią, iż po tej wiadomości przestała się nagle...

tlenić. Opowiadają również, iż podczas wielkiej wojny miała młodego Niemca, który był na jej utrzymaniu. Księżna niby jakaś wschodnia księżniczka ma całe kasetki biżuterii, skrzynie starych cennych koronek, a inne naładowane drogocennymi futrami, których nie nosi. Ze srebrnym lichtarzem w ręce prowadzi Madzię do schowka zamykanego na klucz, gdzie stoją te wszystkie skarby. Otwiera kufry, grzebie zartretyzowanymi palcami w koronkach, wiesz na szyi Madzi jakieś złote łańcuchy, obroże z ametystów, sznury koralu i bursztynów. Gdy się nacieszyła ich widokiem, zdejmuje je i chowa z powrotem do skrzyń.

- Wszystko to jest moje! - mówi chełpliwie zadzierając rasową siwą głowę do góry.

Czasem, gdy Madzia wybierała się na bal, stara dama zmuszała ją, aby zarzuciła na gołe ramiona jakąś krótką pelerynkę z wyleniałych gronostajów albo szal ze starej poźółkłej koronki. Aby jej nie robić przykro-

ści, brała to od niej, a potem zostawiała w garderobie.

- Weź ten wachlarz, nosiła go jeszcze moja babka, kiedy była w twoim wieku! Prawdziwy szylkret i prawdziwe koronki!

- Ale przecież takich rzeczy teraz nie noszą...

- Nie noszą, bo nie mają. Bierz, skoro ci pożyczam. Nie każdemu powierzyłabym taki skarb, ale ciebie znam i wiem, że mi go zwrócisz.

Kiedyś, w jakiś majowy wieczór, siedziały obie z księżną na balkonie.

Na ulicy oparta o mur stała młoda, wynędzniała dziewczyna uliczna.

Księżna Sutzo schwyciła Madzię za rękę, ściskając ją mocno.

- Słuchaj, wiesz... oddałabym cały mój majątek, wszystkie te skarby, które mam w kufrach, aby tylko móc być teraz nią, dziewczyną uliczną...

Stara księżna nie uznawała obecnego dworu królewskiego i nigdy nie bywała na żadnych dworskich balach, mimo iż ze względu na swoje uro-dzenie mogła być zapraszana.

61

- Nie cierpię tej Angielki i tego jej starego ramola, Ferdynanda.

Królowa Carmen Sylva i książę Karol to byli prawdziwi królowie. Gdzie im do tamtych!

Co uderzało Madzię u przedstawicieli starych rumuńskich rodów, to wielka sympatia dla Niemców (Carmen Sylva była księżniczką niemiecką - Zu Wied Neuwied), a wyraźna niechęć, do Anglii. O pięknej królowej Marii mówili z niechęcią: „*cette Anglaise*” albo „*l'étrangère*”.

W Bukareszcie językiem obiegowym był język niemiecki i w każdym, nawet najmniejszym sklepiku można się było nim porozumieć. Arystokracja mówiła ze sobą po francusku, mieszczaństwo z obcych języków znało dobrze tylko hiemiecki, a po angielsku nie mówił prawie nikt i napis *english spoken* widniał tylko na witrynach kilku najelegantszych magazynów. Królowa Maria musiała czuć się bardzo obco i nieswojo w tym kraju, gdzie uwielbiano przy tym kulturę latyńską, a żywiono głęboką sympatię do Niemców. Robiła zresztą w swoim pojęciu wszystko, aby być kochaną i popularną, ubierała się w strój rumuński, naśladowując w tym swoją poprzedniczkę Carmen Sylwę, popierała sztukę i przemysł

ludowy i nawet, próbując iść w ślady tamtej, zajmowała się literaturą: pisywała opowiadania, nowelki, a jej pamiętniki tłumaczone były na wiele obcych języków. Poślubiona brzydkiemu,

koślawemu i bardzo mało atrakcyjnemu ks. Ferdynandowi, była z początku bardzo nieszcze-

śliwa, ale szybko doszedłszy do przekonania, że pięknym królowym wszystko wolno, nie pozostała mu długo wierna.

Księżna Sutzo posiadała własne auto, jakąś obszerną staroświecką landarę, którym chętnie woziła na spacer za miasto swoich lokatorów.

Kiedyś zaproponowała im, aby pojechać zwiedzić jeden z najstarszych monasterów w okolicy Bukaresztu. Oczywiście przyjęli ten projekt z entuzjazmem. Na tę wycieczkę zaprosiła również attache polskiego poselstwa, Tola Czerwińskiego. Monaster, częściowo w romańskim, czę-

ściowo w bizantyńskim stylu zachowany, z wielkim dziedzińcem pełnym arkad i krużganków, był niesłychanie ciekawym zabytkiem. Czarni mnisi w kapturach na głowach, z rękami wtulonymi w obszerne rękawy, 62

dreptali wokoło zwiedzających gości, pokazując im, w nadziei sutego bakszyszu, wszystkie zabytki i curiosa starego klasztoru. Obchodząc starożytną budowlę stanęli przed zakratowanym piwnicznym okienkiem i tu przedstawił się oczom Madzi widok, którego nigdy nie mogła zapomnieć, prześladujący ją jak jakiś koszmarny sen: cała piwnica załadowana była aż po samo zakratowane okienko ściętymi i zabalsamowanymi głowami zmarłych w różnych epokach mnichów. Głowy te leżały jedne na drugich jak główki kapusty. Był to widocznie prastary obyczaj owego klasztoru, aby w ten sposób przechowywać świątobliwe szczątki, coś jak w słynnej Ławrze Peczerskiej w Kijowie, tylko że tam w niszach stoją całe postacie zabalsamowanych mnichów, a tu leżały jedynie ich ścięte po śmierci głowy. Dlaczego leżały w takim nieładzie i porzucone z kompletnym brakiem religijnego szacunku - Madzia zapomniała się zapytać.

Wśród tych głów sterczał olbrzymi, nadnaturalnej wielkości łeb okryty białym turbanem; widocznie świątobliwy mnich, pochodzenia tureckiego, który go kiedyś na swoich barkach nosił, miał wodogłowie albo cierpiał na *elephantiasis* - Madzia krzyknęła i zasłoniła twarz rękami.

- Czego się drzesz, mała! - ofuknęła ją księżna. - Nie widziałaś nigdy świętych relikwii? - Po czym oznajmiła, że jest zmęczona, i poszła spocząć w swoim aucie, gdzie miała czekać na resztę towarzystwa. Tolo Czerwiński wziął wówczas na bok jednego z mnichów i zaczął mu coś łamanym rumuńskim językiem tłumaczyć. Madzia widziała, jak mnich przecząco kiwał głową i rozkładał ręce, wtedy młodzieniec sięgnął do portfela i wręczył mnichowi bakszysz, ten skinął głową na znak zgody i obydwaj zniknęli w bramie klasztoru. Po kilku minutach wrócili. Tolo z uśmiechem radości na twarzy pokazał swoim przyjaciółom okrągły przedmiot zapakowany w starą gazetę.

- Przehandlowałem z mnichem jedną z tych główek - rzekł wesolutko. - Postawię ją sobie na biurku w formie oryginalnego przycisku. Wiecie, jakie to robi wrażenie na damach, które odwiedzają moją garsonierę?

- Jak to! - wykrzyknęła Madzia oburzona. - On śmiał sprzedać taką świętą dla nich relikwię?

- Przecież dla Rumunów nie ma nic świętego - zaśmiał się młodzieniec - jedyna ich świętość to bakszysz.

- Co pan niesie w tej brudnej gazecie - zapytała księżna siedząca w aucie pod parasolką - *faites voir?*

- Eee, to nic takiego... drobiazg...

- Proszę mi natychmiast pokazać!

- Doprawdy że nie warto... wziąłem to sobie jako maskotkę.

Księżna wyrwała mu paczkę z ręki, gazeta przedarła się i oczom wszystkich ukazała się znumifikowana głowa jednego ze święto-bliwych mnichów, z ohydny uśmiechem śmierci na czymś, co było kiedyś twarzą.

- Jeśli pan to chce zabrać ze sobą, to w każdym razie nie moim autem!

- Ale dlaczego, droga księżno, skoro mi tę głowę jeden z mnichów przehandlował, to widocznie nie jest to dla nich żadna świętość...

- Że oni są dranie spod ciemnej gwiazdy, to nie racja, abym ja się miała narażać na zemstę z za grobu tego biednego nieboszczyka! Niech pan im to natychmiast odda, bo inaczej pojedziemy bez pana!

Czerwiński z zalem poszedł spełnić jej rozkaz i na tym skończyła się historia oryginalnego przycisku na biurko, otrzymanego za odpowiedni bakszysz.

OPERETKA

Ci, którzy nie znają monarchistycznego ustroju, nie wyobrażają sobie, że taki dwór królewski to istna „Księżniczka Czardasza” albo w najlepszym razie słynna komedia Scribe'a „Szkłanka wody”. Pompa, etykie-ta, blichtr i jakaś rozczulająca staroświecczyzna, która jednocześnie i drażni, i śmieszy. Ach, ci dygnitarze, te operetkowe galowe mundury, orderzy i gwiazdy przypięte do boku, pióropusze na głowach i dolmany podbite purpurą! Na różnych uroczystościach i galowych imprezach było na co patrzeć i co podziwiać. Oczy trzeba było mrużyć od blasku tych 64

świecidełek, tych złotych epoletów z frędzelkami, od jaskrawych odcieni szafranu, cynobru i błękitu. Leibgwardziści w czerwono-czarnych mundurach i wielkich bermycach wyglądali jak żołnierzyki z cyny. świeżo dostarczone z fabryki zabawek. Cały Bukareszt szykował się do wielkiej uroczystości odsłonięcia pomnika Nieznanego Żołnierza, jakiej patro-nowała sama królowa Maria. Na placu Trajana ustawiono obszerne trybuny. Królewska loża: do której prowadziły schody zasłane pluszowymi karmazynowymi chodnikami, ozdobiona była perskimi dywanami i purpurą. Niedaleko loży dworskiej znajdowały się loże przeznaczone dla korpusu dyplomatycznego, tak że Madzia mogła dobrze obserwować przebieg tej całej wystawnej operetki.

Dwór rumuński wystąpił w całym splendorze i okazałości. Publiczność przywitała głównych aktorów operetki gorącymi oklaskami. Królo-wa matka miała na sobie długą białą szatę z miękkiego atlasu, na

głowie biały kokosznik, spod którego spływały rześiste sznury pereł, okalające jej piękną twarz. Wyglądała trochę jak primabalerina rosyjskiego baletu z czasów carskich. Obok niej następczyni tronu, księżna Helena, też w białej szacie i gronostajowej pelerynie. Królowa grecka była w długiej błękitnej sukni, a do tego nosiła bolerko haftowane perłami. Najbardziej teatralnie wyglądała jedenastoletnia księżniczka Ileana, miała na sobie sztywną, długą do kostek szatę ze złotej lamy, z szerokimi rękawami, a na długich czarnych lokach złotą opaskę nisko na czoło nasuniętą. Przypominała złoczone postacie świętych bizantyjskich na starych ikonach.

Przedstawienie rozpoczęło się hymnem narodowym rumuńskim. Po czym zagrano *God save the King* na cześć królowej. Ona, białoperłowa i szalenie królewska, zeszła z trybuny z damami dworu, w towarzystwie córek i asyście archidiakona w biblijnej tiarze oraz całego prawosławnego kleru, i złożyła wieniec róż na odsłoniętym pomniku Nieznanego Żołnierza. Był to dopiero prolog tego, tak świetnie reżyserowanego wi-dowiska, bo prawie jednocześnie z tłumu wyszła jakaś kobiecina czarno ubrana, w chustce na głowie, i złożyła skromną wiązanek polnych kwiatów obok królewskiego wieńca. Tak zwane frenetyczne oklaski tłumu 65

uwieńczyły tę wzruszającą scenę. Ale to nie był koniec, ponieważ królowa Maria, nie wiadomo czy spontanicznie, czy też mając to z góry ułożone, padła w objęcia owej matki czy wdowy wojennej. W tym momencie publiczność ogarnął istny szał. Trybuny trzęsły się od oklasków. Damy dworu obcierały łezki wcale nie ukradkiem. Tylko minister Bratianu z ironicznym uśmieszkiem obserwował tę wzruszającą scenę.

CORAZ GORĘCEJ

Im dalej na wschód, tym - jak wiadomo - klimat jest cieplejszy. Ale nie tylko klimat... ludzie są też gorętsi, mają inne spojrzenia, pałające oczy. mowa ich pełna jest czułych i ognistych komplementów, które prawią kobietom. Jadąc do Bukaresztu przez Lwów-Śniatyn. widzi się tę olbrzymią różnicę w klimacie: na granicy Rumunii wsiadają ludzie-czarni, namiętni i... natrętni. Pory roku nie mają dla nich znaczenia, zimy w Rumunii bywają takie ostre i mroźne jak w Rosji, ale oni. mając w sobie taką ilość kalorii, tyle słońca, tych mrozów nie czują. Piją dużo dobrego wina. jedzą potrawy pieprzone i paprykowane, a do tych ostrych potraw popijają jeszcze wódkę pędzoną na ślinkach, czyli tak zwaną „cojkę”. Moc witamin dają im winnice, położone na południowych górskich stokach, i sady, późnym latem fioletowe od śliwek w róż-

nych odmianach. Jako zakąskę do kieliszka cojki używają zielonych oli-wek, które są wspaniałym antidotum na działanie alkoholu. Morze Czarne dostarcza im ryb. Wszystko to razem konserwuje ich erotyzm do późnej starości i czyni dla kobiet zachodnich niebezpiecznymi.

Madzia miała u Rumunów, ogromne powodzenie dzięki niebieskim oczom, które się u ich kobiet nigdy nie zdarzają. Miewały oczy koloru różnego gatunku winogron - od zielonkawo-bursztynowych do tak czarnych, że aż granatowych - ale niebieskich nie miewały nigdy. Madzia uchodziła u Rumunów za blondynkę (choć była raczej szatynką), a to im zupełnie wystarczało, aby tracić dla niej głowę.

- Och, te szafirowe oczy! - wzdychali jej adoratorzy - i te włosy blond!

- Nigdy nie byłam blondynką.

- Kobieta, którą kocham, musi być blondynką.

Słowo „kocham” znaczyło zresztą u Rumunów po prostu: „chciałbym cię mieć” - i jej rumuńscy przyjaciele, panowie Vladesçu, Filipescu lub Dumidescu, proponowali jej miłość jak zaproszenie do tańca.

- *Écoutez, Madeleine...* proszę pamiętać, że jak pani będzie chciała zdradzić męża, to wpierw ze mną. Zamawiam sobie pierwszeństwo.

Madzi wychowanej na wierszach jej siostry, gdzie całe słowo MI-

ŁOŚĆ było pisane wielkimi literami, te propozycje wydawały się bardzo cyniczne i obraźliwe.

Księżnie Sutzo nie mogło się w głowie pomieścić, że Madzia nie zdradza swojego męża, i wciąż ją o to podejrzewała. Gdy wracała z miasta dopiero na kolację, księżna, siedząca przy stole naprzeciwko niej, przyglądała się jej badawczo przez złote *pince-nez*.

- Masz dziwnie podkrążone oczy, *ma chérie...*

- Czuję się trochę zmęczona.

- Pewnie, jak się włóczysz Bóg wie gdzie całe popołudnie...

- Byłam u krawcowej.

- O. lalla! Mogłabyś coś oryginalniejszego wymyślić. Mnie na to nie nabierzesz.

- Proszę się zapytać pani Luizy.

- W każdym razie, *mon cher Jean*, powinien pan żony więcej pilnować.

Nic tak łatwo nie kiełkuje jak ziarnko podejrzewania. Po takich powie-dzeniach doświadczonej starej damy Jaś zaczynał się bawić w sędziego śledczego.

- Gdzie byłaś tyle godzin?

- U fryzjera.

- Nie widać tego po twojej głowie.

- No to spójrz mi w oczy.

Madzia na razie nie zdradzała męża, a raczej zdradzała go, ale z własną 67

rodziną, dla której w tajemnicy przed mężem gromadziła drobne pre-zenciki pod łóżkiem w kufierku.

W Bukareszcie wszystkie żony zdradzały swoich mężów, a oni wynajmowali detektywów, którzy niepostrzeżenie śledzili ich kroki i póź-

niej składali mężom relacje, gdzie i u kogo wiarołomne małżonki spę-

dzwały popołudnia. Czasem sami pragnęli rozwodu i w ten sposób mieli wyraźny do tego powód, a koszty procesu musiały wówczas ponosić ich żony. W eleganckim bukareszteńskim towarzystwie nie istniały długotrwałe małżeństwa, rozwody były na porządku dziennym i każda z tamtejszych piękności szczyliła się posiadaniem trzech lub czterech mężów, z którymi spotykała się nieraz na wspólnych balach i przyjęciach.

Wracając kiedyś z Krakowa do Bukaresztu zimą. Madzia poznała w pociągu olbrzymiego wzrostu Rumuna, z szeroką, rudą brodą, typowego bojara w zasobnym futrze do ziemi i wielkiej futrzanej czapie. Zagadał

do niej po francusku. Pociąg z powodu zasp śnieżnych spóźnił się o kilka godzin i oboje przesiadywali w wagonie restauracyjnym, aby podróż w jakiś sposób skrócić. Rumun, prowadząc rozmowę „na wyższym poziomie”, nie spuszczał z Madzi lepkiego wzroku i wciąż oblizywał tłuste, pełne wargi. Co chwila kładł wielką, białą, wypielęgnowaną łapę z palcami pełnymi kosztownych pierścieni na jej rękę. gdy ją cofała, przyciskał twarde jak drewniane bale nogi do jej kolan. Był jak olbrzymi na-chalny pies. który człowiekowi nie daje jeść spokojnie. Gdyby nie było w pociągu innych pasażerów, byłby z pewnością jak wielki brytan rzucił się na nią i schrupał. Madzię - czującą się bezpiecznie wśród pasażerów -

bawiła trochę ta sytuacja. Namiętny rudobrody dyszał, pożądał, ale wszystko na nic. Wszędzie naokoło - ludzie.

- Niech pani poda mi swój adres w Bukareszcie - zamruczał.

- A po co?

- *Je vous aime...* - i przymknął w rozmarzeniu wylupiate oczy koloru cojki.

- Nie dowie się pan nigdy mojego adresu.

- Zobaczymy...

68

Na stacji, zmarznięty do kości, zły z powodu długiego czekania, stał

mąż Madzi, chuchając w ręce i przytupując na miejscu.

- No. jesteś nareszcie! - zawołał i złożył na jej rozgrzanych policzkach zamrożony pocałunek.

W kilka dni później, gdy Madzia po południu siedziała zupełnie sama w całej willi, ponieważ nawet księżna Sutzo wyjechała do miasta, coś zatupało i zadudniło na werandzie, po czym wielki i groźny, w futrzanej szubie do, kostek, wtargnął do saloniku ów rudobrody Rumun. Wyglą-

dał jak stare wizerunki mołdawskich bojarów. Ruda broda migotała metalicznym blaskiem w świetle zachodzącego słońca, na rzęsach miał

szron, na ustach obleśny uśmiech. Bez słowa przywitania porwał ją w swoje niedźwiedzie ramiona, przyciskając mocno. Zdołała mu się wyrwać i wówczas zaczęła się dzika gonitwa naokoło stołu. Już wielkie białe łapska miały ją dosięgnąć, ale jeszcze zdołała mu się wymknąć. Była blada i naprawdę przerażona, bo to nie był już człowiek, ale jakiś straszliwy mechaniczny golem. Nagle zazgrzytał klucz w drzwiach wchodo-wych. To Jaś, jedyny w tej chwili ratunek, wracał z jakiejś konferencji.

- Mój mąż przyszedł! - krzyknęła przez stół.

Olbrzym momentalnie uspokoił się. widocznie przyzwyczajony do te-go rodzaju sytuacji, odsapnął i ciężko usiadł na krześle.

Żaden mąż. ujrawszy obcego jegomościa w futrze i czapie na głowie, w towarzystwie swojej żony, nie może doznać żadnego innego uczucia jak tylko zdumienia. Patrząc na niego ze zdumieniem, nie dostrzegł bladej twarzy żony i jej rozburzonej fryzury.

Rudowłosy wstał i przedstawił mu się.

- Poznałem pańską żonę kilka dni temu w pociągu jadącym do Bukaresztu. Miała cały czas migrenę i bardzo źle się czuła. Przyszedłem zapytać o jej zdrowie.

- A skąd pan znał nasz adres? Czy żona panu podała?

- Nie. Pańska żona mi tego nie powiedziała... Ale są inne sposoby, a ja jestem człowiekiem upartym - w tym miejscu pokazał w uśmiechu ostre wilcze zęby. - Wy, cudzoziemcy, macie na policji swoje kartoteki.

Opisałem im dokładnie pańską żonę, dałem bakszysz i w ten sposób dowiedziałem się adresu państwa.

69

- Ale że panu się chciało zadawać sobie tyle fatygi... - (Niedomyśl-ność mężów polega zwykle na tym, iż nie wierzą, aby ich żony mogły się komuś do tego stopnia spodobać. Jest to jak gdyby skromność wynalaz-cy).

- Czegóż się nie robi dla pięknych dam. z którymi się tak miło podczas podróży gawędzi...

- Mam nadzieję - rzekł uprzejmie mąż Madzi - że nas pan jeszcze kiedyś odwiedzi?

- Mieszkam na wsi, gdzie mam swój majątek. Rzadko do Bukaresztu przyjeżdżam. Ale postaram się

kiedyś do państwa wpaść.

Gdy wyszedł, Jaś rzekł do żony:

- Wiesz, Madziatko, bardzo mi się spodobał ten rudobrody bojar.

Wyjątkowo dobrze wychowany pan...

Jedyni mężczyźni w Bukareszcie, z którymi można było bezpiecznie pozostawić młodą kobietę, to byli bukareszteńscy dorożkarze, czyli tak zwani *birzar*. Nosili oni ciężkie welwetowe żupany do kostek, marszczone suto i w pasie ściągnięte paskiem z klamrą. Te żupany były jednako-wego niebieskogranatowego koloru, na głowę wkładali rosyjskie czapki z daszkiem. Madzia nie mogła się nadziwić, dlaczego wszyscy bez wyjątku mieli olbrzymie brzuchy, które im się chygotały pod welwetowym okryciem, i opasłe babskie twarze. Dopiero któryś z Rumunów wytłumaczył

jej, że wszyscy oni są... eunuchami.

- Jak to możliwe? - zapytała Magdusia naiwnie. - Tak z dziada...

pradziada?

- No, nie całkiem - odparł Rumun ze śmiechem. - Ci birzar są z pochodzenia Rosjanami, należeli oni do takiej sekty, która nakazywała im kastrować się po urodzeniu pierwszego syna. Wyrzuceni z Rosji, przenieśli się tutaj, gdzie dalej trzymają się swoich obrządków, a ponieważ zawód dorożkarski jest najłatwiejszy, więc uprawiają go od lat.

- Biedni ludzie - westchnęła Madzia litościwie.

- Wcale nie biedni, dobrze zarabiają i nie mają tych kłopotów i zawodów miłosnych, co normalni mężczyźni. My zresztą jesteśmy bardzo zadowoleni z ich religijnych obyczajów, ponieważ możemy nasze kobiety bezpiecznie zostawić pod ich opieką - a gdyby było inaczej... Przecież 70

pani zna Rumunów i wie, co to za dziki naród.

Język rumuński, szalenie dziwna mieszanina łatyńsko-słowiańska.

był źródłem nieustannej zabawy figlarnej Madzi. Tak lubiane przez Polaków czteroliterowe słowo oznacza po rumuńsku „po”, „za” albo „we-dług” i na zakładach krawieckich widniał dużymi literami napis: CRO-ITURA DUPA MAZURA, czyli: ubrania według miary. Gdy nasza humorystka chciała jednemu z tych opasłych dorożkarzy powiedzieć, aby stanął koło Ministerstwa Finansów, obok którego znajdowała się dawna polska legacja, mówiła do niego w ten sposób: - Birzar, merdzea la Calea Victoriei d u p a la Casa del Ministeriul dei Finanz! - i dorożkarz bez żadnego zdziwienia ani też uśmiechu ruszał z miejsca. Te słowa wypowiedziała ze specjalnym smakiem, kiedy koło niej siedział poseł Wielowieyski.

BAL W ANGIELSKIEJ AMBASADZIE

Gdy żona mówi, że nie ma się w co ubrać, to mężowie wzruszają ramionami i zwykle wcale się tym nie przejmują - tak mówią kobiety, które

re mają szafy pełne rzeczy, jak również i te, które mają szafy puste - ale kiedy ta żona jest małżonką dyplomaty i ma iść na bal kostiumowy do ambasady angielskiej, na którym ma być obecny Jego Wysokość Książę Yorku, takie narzekania nabierają wagi i znaczenia.

- Ale co ja na siebie włożę? - desperowała biedna Madzia. - Przecież nie mogę iść w zwykłej balowej sukni, jak wszyscy będą porzebierani.

Jaś byłby żonie chętnie przychylił nieba, ale nie mógł jej przychylić kieszeni, ponieważ była stale pusta.

- Może księżna ma jakiś kostium dla ciebie odpowiedni...

- Ech, niemądry jesteś. Przecież ona jest bardzo niskiego wzrostu.

Nagle przyszła jej wspaniała myśl do głowy: przecież w którymś z kufrów na strychu Kossakówki leży przepiękna suknia biedermeier 71

wraz z pantofelkami i sztucznymi lokami, w której Lilka jako panna występowała na balu kostiumowym „Pod Baranami”. W owej sukni z tafty seledynowej ozdobionej liliową gazą, z lokami zwisającymi po obu stronach twarzy wyglądała jak zjawisko i była nawet w tym stroju fotografowana. Był to kostium skopiowany ze starego portreciku ich pra-babki - Marylskiej. gdy jeszcze była młodą wiochną, malowanego przez jakiegoś nieznanego malarza.

Przyslijcie mi natychmiast błagam prababkowską suknię Lilki wraz z lokami - pisała Madzia do Mamy.

Siostry miały na szczęście podobny kolor włosów, więc loki, które według mody z 1830 roku miały zwisać po obu stronach twarzy - wykonane z przyciętych warkoczy starszej siostry - mogły doskonale pasować do odcienia włosów młodszej.

Piękna stylowa suknia została natychmiast wysłana z Krakowa do Bukaresztu. Mamidło dołączyło jeszcze do tego antyczny wachlarz z kości słoniowej, malowany w miniatury, oraz stylowe czarne ciżemki wiązane w kostce czarną tasiemką i zupełnie pozbawione obcasów. Madzia, przymierzając ową piękną szatę, poczuła się istotą ponętą i godną zachwyty. Wyglądała w niej jak jedna z bohaterek „Domku trzech dziewcząt” Schuberta. Suknia ta, szczerze dekolowana, odsłaniała wszystko to, co młoda, okrągła kobietka powinna bezinteresownie ofiarowywać męskim oczom. Jak reklama dobrze zaopatrzonego magazynu.

Pani Starzewska dowiedziała się pobocznie, że piękny major Witold Morawski, *attache militaire* poselstwa; wystąpi w kostiumie z tej samej epoki co ona. Z Morawskim łączyła ją długoletnia antypatia, która datowała się jeszcze z czasów, gdy jako dzieci - bawili się na plaży w Świ-noujściu. Starszy od niej Witoldek zabawiał się w ten sposób, że sześćo-letniej dziewczynce sypał piasek przez dziurki jej ażurowej sukienki, pod którą nic nie nosiła. Nie widziała go od tej pory i ujrzała

dopiero jako dorodnego *attaché* w poselstwie polskim. Nie uczyniła na nim najmniej-szego wrażenia. Był to wielki, nieubłagany snob. któremu nie mogła się podobać kobieta nie będąca nawet prostą hrabiną. Tacy jak on, mający 72

podobno romansik z królową Marią, nie mogli dostrzegać osób tak skromnych jak pani Starzewska.

W dniu kostiumowego balu w angielskiej ambasadzie przyszedł do domu fryzjer uczesać Magdalenę według starej ryciny. Włosy upiął jej na czubku głowy w wysoki kok. przewiązany starą koronką, w którą wpięło się kwiatek, loki z popielatoorzechowych włosów Lilki zwisały po obu bokach jej drobnej twarzyczki, dodając romantycznego wdzięku.

Wprawdzie księżna Sutz. ujrzawszy ją w tym uczesaniu, zawołała:

- Ach. moja droga, przypominasz mi teraz zupełnie mojego psa spaniela, który zginął podczas wojny!
- ale zaraz potem pobiegła do swojego skarbczyka i przyniosła stamtąd piękny czarny medalion, grawero-wany w złote znaki Koranu, który na aksamitce powiesiła jej na szyi.

Przyjrzała jej się przez swoje *pince-nez* i orzekła, że dopiero teraz jest do ładnych kobiet podobna. Madzia czuła się piękną uwodzicielką i stanąwszy przed lustrem miała ochotę zaśpiewać jak Mignon w operze: „Czym naprawdę taka ładna? - Prześliczna jak żadna!”

- No - rzekła patrząc z tryumfem na swojego męża - jeśli dziś nie zrobię jakiejś wielkiej konkiety. to już chyba nigdy!

- Ach, *ma chère petite* - westchnęła księżna - czy ty wiesz, jakie tam będą stroje, jakie autentyczne kostiumy z rozmaitych epok. jaka biżuteria?! A pamiętaj, abys przed księciem Yorku zrobiła jeden głęboki dyg.

czekając aż on ci raczy podać rękę na przywitanie.

- Nie będę dygała przed bubkiem - odparła mała buntowniczką -

tego się po mnie nie spodziewajcie!

- Ależ Madziatko - zląkł się Starzewski - przecież wszystkie najstar-sze matrony będą przed nim dygały. Niece, tego wstydu mi nie zrobisz!

- Ona jest niemożliwa, ta mała - zachnęła się księżna. - Jakieś nowe obyczaje do dyplomacji chce wprowadzać. Masz robić to. co wszyscy, i koniec!

Sala przyjęć w ambasadzie angielskiej wyglądała tego wieczoru jak kolorowy sztych. W kandelabrach paliły się woskowe świece, rzucając łagodne miękkie światło na twarze i odmładzając je niebywale. Królowa 73

Maria, w rumuńskim stroju ludowym haftowanym złotem, ze sznurami pereł okalającymi twarz, piękna była jak dobra wróżka. Siedziała na wzniesieniu, białe ręce w długich, szerokich rękawach ułożywszy na poręczach rzeźbionego chippendala. Obok niej stał młody bardzo przystojny mężczyzna

w stroju rumuńskiego chłopca. Miał na sobie białe płó-

cienne portki i białą koszulę haftowaną przy szyi i rękawach, na stopach łapcie z łyka, przewiązane czerwonymi tasiemkami. Madzia domyśliła się, że to jest książę Yorku, bo tylko on mógł sobie pozwolić na to, aby przywdziać tak skromny strój. Ustawiono korowód, który miał przejść dookoła salę i zatrzymać się, bijąc pokłony, przed panującymi persona-mi. Madzia zbliżyła się do Witolda Morawskiego:

- My chyba będziemy w jednej parze - zaproponowała - ponieważ mamy kostiumy z tej samej epoki.- Wszyscy ustawiają się według podobnych lub zbliżonych do siebie kostiumów...

- Pani wybaczy - rzekł chłodno piękny major - ale ja już mam swoją partnerkę: księżnę Bibescu.

Magdaleny wziął pod ramię jakiś starszy pan w stroju markiza i cały korowód ruszył po chwili przy dźwiękach muzyki, która zagrała marsza.

Wszystkie epoki i kostiumy wszystkich narodowości przesuwały się przed oczyma królowej. Były tam piękne „perły haremu”, choć niektóre, jak się zdawało, za długo się wieszały na sułtańskich szyjach, mahara-dżowie w turbanach spiętych drogocennymi kamieniami. Były panie Pompadour i Récamier w olbrzymich pudrowanych perukach, z czarnymi aksamitnymi muszkami, przylepionymi do uróżowanych policzków. Przesuwały się ogniste Hiszpanki w koronkowych mantylach, trze-piące wachlarzykami pod nosem prowadzących je toreadorów. Wdzię-

czyły się pasterki z obrazów Watteau i chmurzyli się stateczni Beduini z czarnymi brodami. Wszystkie kostiumy wykonane były z naj-drogocenniejszych materiałów, a biżuteria prawdziwa. Pary, dobrane kostiumami, kroczyły wolno, jak gdyby przesuając się przed obiektywem fotograficznym, starając się robić „przyjemny wyraz twarzy”. Tylko Madzia, uwieszona u ramienia starego markiza, i Morawski, w stroju

„incroyable”. wyglądali, jak gdyby dla nich jednych zabrakło odpowiednich partnerów. Pani Starzewska spoglądała zgorszona, jak stare 74

damy, o niemiłosiernie ściśniętych i do góry pod windowanych biustach, w gronostajowych pelerynkach i piórach na głowie, robiły przed księ-

ciem Yorku głęboki dyg, nieomal przyklękając na jedno kolano jak konie w cyrku. On skromnie i grzecznie podawał im rękę, mówiąc: „*How do you do?*” - jak każdy przeciętny Anglik, przygotowując w ustach te nie-skomplikowane słowa dla następnych par. Gdy przyszła kolej na Magdaleny, ta wykonała przed królową trzy przepisowe dygi, unosząc wdzięcznie szeroką i długą suknię, po czym bez żadnego dygania stanęła przed księciem Yorku. Spojrzał na nią z uśmiechniętym grzecznie zdziwieniem, szybko podał jej rękę, mówiąc: „*How do you do?*” (Jeśli ta mała idiotka odpowie mu na to: *And how are you?* - to ja chyba rozwiódę się z nią! - pomyślał przyglądając się tej scenie Starzewski). - Mały szmerek niezadowolenia dobiegł do jej uszu.

- Pani zapomniała zrobić ukłon przed księciem Yorku - zauważył jej partner.

- Wcale nie zapomniałam, tylko uważam, że kobiecie nie wypada dygać przed bubkiem, nawet, gdyby ten bubek był z panującego rodu.

Ku zdziwieniu i niezadowoleniu innych kobiet na sali, książątko, przetańczywszy pierwszy taniec z panią domu, podeszło do Magdaleny, która stała w gronie innych młodych kobiet.

- *Will you have a dance?* - zapytał znowu tak samo jak każdy młody, przeciętny Anglik.

Madzia, czerwona z zadowolenia, że wszystkie tamte pękną z zazdro-

ści, zaczęła z nim tańczyć walca.

- Przepraszam, że tak źle tańczę, ale mi okropnie niewygodnie tań-

czyć w tych pantofelkach bez obcasów... - rzekła po chwili.

Przyszły król angielski (czego oczywiście nikt wówczas nie przypuszczał) z widoczną satysfakcją podjął tę rozmowę.

- Ach - rzekł - mnie również bardzo źle się tańczy w tych słomianych sandałach bez obcasów. Mam wrażenie, że mi się przylepiają do podłogi.

- Tym bardziej - rzekła Madzia uprzejmie, że Jego Wysokość przy-zwyczajona jest do najlepszych butów na świecie. Anglia słynie z nich.

75

Mój ojciec, na przykład, będąc w Londynie zostawił miarę i odlew swojej nogi u jednego z tamtejszych szewców i listownie zamawia sobie u niego buciki.

- Ciekaw jestem, u którego szewca? - rozmowa o butach najwidoczniej odpowiadała Jego Księżęcej Mości.

Madzia wymieniła nazwę znanej londyńskiej firmy.

- Tak, to doskonały szewc - rzekł z uznaniem.

Orkiestra zrobiła przerwę, więc tancerz odprowadził ją w stronę, gdzie koło drzwi bufetu stał szpaler barwnych kostiumów oraz kolorowych fraków. Wszyscy spoglądali na tę małą panią w biedermeierow-skim kostiumie z uznaniem i szacunkiem, coś widocznie w niej musi być, kiedy książę Yorku wybrał ją spośród wielu innych i nawet zaszczycił rozmową. Po jakimś czasie znów Madzię poprosił do tańca.

- Dziwię się - rzekł zaraz na wstępie - dlaczego pani ojciec zamawia sobie buty u londyńskiego szewca, kiedy przecież u was w Warszawie są, jak słyszałem, równie dobrzy?

Madzia aż poczerwieniała z narodowej dumy.

- Rzeczywiście mamy doskonałych szewców, ale mój ojciec to istny maniak na punkcie butów i ubrania...

W tym momencie ugryzła się w język, uprzytamniając sobie, że osoba jej Ojca na pewno nic nie obchodzi księcia Yorku. Pamiętała, jak ją to nudziło i totalnie nic nie obchodziło, gdy manikiurzystka. przychodząca do nich do domu. wspominała o swojej rodzinie: „Szwagier, proszę pani.

to taki maniak na punkcie pierogów” albo „Mój ojciec, proszę pani. ma w towarzystwie duże wzięcie, pani rozumie - S o k ó ł!” Spojrzała więc z pewnym niepokojem w oczy przystojnego tancerza, którego nie miała zamiaru nudzić, ale jego ciemne źrenice spoglądały na nią z taką samą pocziwą łagodnością jak poprzednio.

- Pani ojciec - odparł uprzejmie - ma podobne zamiłowania jak każdy szanujący się Anglik.

Madzia czuła się kopciuszką, który zwrócił na siebie uwagę króle-wicza. Bajki nieraz zdarzają się i w życiu i wówczas właśnie tak wygląda-ją. Szklany pantofelek kopciuszka tutaj okazał się czarnym pantofelkiem 76

bez obcasa, a królewicz zwykłym, przeciętnym Angliczkiem, bardzo dobrze wychowanym, który miał po drugim tańcu zapomnieć na wieki o swojej przygodnej tancerce. W jakiejś chwili podszedł do Madzi uśmiechnięty Morawski prosząc ją do kotyliona.

- Przepraszam pana bardzo - rzekła wachlując rozgrzaną twarzyczkę - ale tyle się natańczyłam z księciem Yorku, że muszę trochę odpocząć. Pójdę do bufetu czymś się orzeźwić...

Jaś Starzewski czułym wzrokiem obejmował swoją żonę. Ból. który zadała mu. nie dygnawszy przed księciem krwi, poszedł w zapomnienie dzięki sukcesom, jakie osiągnęła:

- Powiedz, mi. moje Madziatko, o czymżeście tak dużo rozmawiali z księciem Yorku? Obserwowałem was cały czas i dosłownie usta wam się nie zamykały!

- O czymże można rozmawiać z Anglikiem, jak nie o sportach lub o butach? - roześmiała się figlarka.
- A ponieważ o sportach się nie zgada-

ło, więc rozmawiałam z nim o butach...

LA SOIREE DES SARDINES

Anglicy są, jak wiadomo, chłodni jak ryby. Wprawdzie węgorze przyplływają do nas na tarło podobno aż z Zatoki Meksykańskiej, ale niemniej są zimnokrwiste. Anglicy jako sportowcy i zawołani podróżnicy też by raczej godów miłosnych szukali gdzieś w dalekich krajach, ale u siebie w Anglii wolą sporty. Angielki zaś nie są Anglikami i w przeciwieństwie do swoich samców odznaczają się wybujałym temperamentem i gorącą krwią. Pasjonują je przede wszystkim takie miłosne przygody, które by nie naruszały spokoju ich kochanego *home'u*.

Taką właśnie istotą lubiącą namiętnie flirty i miłosne przygody, a bę-

dającą również oddaną swojemu domowi i rodzinie, była żona radcy angielskiej ambasady, pani Hopkins. Bardzo biała, bardzo ruda i szalenie zgrabna, miała żywy temperament i była chodzącym przeciwieństwem swojego wysokiego, przystojnego męża - Anglika; jego przede wszystkim interesowały polowania, golf, konna jazda, no i własne, trzyletnie 77

baby, do którego był szalenie przywiązany. Lubił też bardzo pyszne angielskie buty, których całe półki stały wyprostowane na prawidłach w jego szafie. Ten poczciwy, spokojny Anglik był niesłychanie pogodnego usposobienia i lubił się śmiać z byle czego. Kiedyś na przykład przyniósł

swojemu dziecku drewnianego pajaca, ruszającego za pociągnięciem sznurków rękami, nogami i głową. Pokazując przy gościach tę zabawkę, aż się splotał ze śmiechu.

- Z czego pan się tak śmieje? - zapytał ktoś z jego znajomych.

- Jak to z czego? - wybełkotał przez łzy. - Przecież ten pajac rusza się jak żywy!

Jego cienkiej sarenkowatej, rudej żony wcale ta zabawka nie śmieszyła, niebieskimi zwężonymi oczami wpatrywała się w jakiegoś przystojnego Rumuna i nieznacznie ścisnąwszy go za rękę, szepnęła namiętnie:

- *Will you have a drink?*

Gdy jej poczciwy, dobroduszny mąż pojechał do Anglii na urlop, postanowiła zrobić u siebie przyjęcie. Cały elegancki Bukareszt mówił ze specyficznym uśmiechem o tym, że Mrs. Hopkins ma urządzić u siebie *la soiree des sardines*.

Państwo Starzewscy również otrzymali zaproszenie. Jaś cierpiał w tym okresie na silne migreny i był szczęśliwy, gdy się mógł od jakiegoś przyjęcia wykręcić. .

- Ja im dam znać, że nie przyjdę - rzekł - ale ty, moje - Madziątko, idź, zabawisz się...

- Nie radziłabym na taki wieczór do pani Hopkins puszczać żony samej - rzekła surowo księżna Sutz. - Bóg raczy wiedzieć, co się pod tym kryje... To bardzo zepsuta kobieta.

- Jak to, co się kryje... - zdziwił się naiwnie Starzewski. - Przecież sama nazwa wskazuje, że będzie to wieczór poświęcony spożywaniu sardynek i oczywiście picciu cocktaili.

- Och, jaki pan jest naiwny! - wykrzyknęła księżna. - Już samo to, że ta ruda wariatka zaprasza tylko samych młodych, a rodzicom pańien nie przysyła zaproszeń, dowodzi, że coś w tym jest podejrzanego.

78

- Nie przypuszczam - odparł Starzewski - aby Anglicy mogli zrobić coś takiego, co nie byłoby całkiem *comme il faut*.

- Anglicy - tak, ale nie Angielki! - warknęła księżna. - To całkiem inny naród.

Mimo tych ostrzeżeń starej księżny Jaś, oddawszy Madzię pod opiekę żony radcy belgijskiego poselstwa sam z kompresem na głowie położył

się do łóżka.

Wszedłszy do znanego już apartamentu pp. Hopkinsów. Madzia mia-

ła wrażenie, że wstąpiła w progi jakiegoś bardzo podejrzanego nocnego lokalu. Całe mieszkanie poprzedzielane było parawanami na małe, przytulne kąciki, w których stały kanapki wielkości indyka, co to dla jednego za duży - a dla dwóch za mały. Światła w mieszkaniu były kompletnie zgaszone i tylko w przedpokoju świeciły się świece w kandelabrach. Z kącików zasłoniętych parawanami wydobywały się stłumione szepty i nerwowe chichoty. Zdumioną i kompletnie ogłupiałą Madzię schwycili za ręce jej dobrzy przyjaciele. Francuzi z poselstwa, i wciągnęli do jednego z owych zacisznych zakątków. Kanapka, przeznaczona na jedną czułą parkę, była o wiele za ciasna na trzy osoby, tak że pani Starzewska siedziała na przemian to na kolanach jednego, to drugiego.

Francuzi zaczęli opowiadać, zawiesziste anegdotki, w czym im Madzia, porwana nastrojem, pomagała z zapalem.

- A teraz - rzekł jeden z nich - bądźmy cicho i posłuchajmy, co się dzieje obok. Pierwszorzędna zabawa!

Po chwili ktoś dyskretnie zapukał w jedną ze ścian parawanu. Był to lokaj, który roznosił na tacy szklanki whisky, bez wody sodowej, i san-dwicze.

- Nie widzę tych zapowiadanych sardynek - rzekła Madzia.

- Jak to. więc pani się nie domyśla, że sardynki to my, a raczej te wszystkie parki, które się ściskają po kątach? Najzabawniejsze - dodał -

są te ciemności i przez nie przypadkowe skojarzenia parki. Żony mają doskonałe wytłumaczenie przed swoimi mężami, iż nie miały pojęcia, z kim je los na jednej kanapce posadził. Doprawdy, że pomysłowość pani domu osiągnęła w tym wypadku granice, których by jej Paryż mógł pozazdrościć. Angielki to bajeczne kobiety.

79

- A co powie o tej zabawie jej mąż. gdy powróci z urlopu?

- On? Pójdzie na pociechę zagrać w golfa z księciem Karolem.

Madzia nigdy jeszcze nie piła whisky szklankami, i to bez wody sodowej, więc poszło jej to szalenie do głowy. Całowała się to z jednym do z drugim Francuzem i opowiadała niemożliwe kawały. Gdy na niebie za-częły gasnąć gwiazdy, „sardynki” poczęły się wysuwać ze swoich pudełeczek i znikać dyskretnie.

Rezultaty tej doskonałej zabawy po ciemku dały się od razu odczuć.

Kilka rozwodów było w toku. kilka zaręczonych par zaczęło bywać oficjalnie, a pewna, dotychczas wierna żona uciekła z jakimś Amerykani-nem w świat i słuch o niej zaginął. Zamieszanie było jak w shakerze cocktailowym. Tylko ruda pani Hopkins zachowywała się tak, jak gdyby to wszystko wcale się nie u niej odbyło. Bywała dalej w obcych posel-stwach i u rumuńskich arystokratów, a gdy przyjechał jej mąż z urlopu, pokazywała się z rozpromienioną twarzą.

- Tak się cieszę, że mój mąż przyjechał - mawiała wokoło. - Szalenie się za nim stęskniłam i *baby* też. - A on mało się nie rozpłakał ze wzruszenia, jak się dowiedział, że dziecku drugi ząbek przez ten czas wyrósł.

Stara księżna tryumfowała. -

- A mówiłam, aby pan żony samej na tę przeklętą *soiree des sardines* nie puszczał! Przysiąc bym mogła, że pana wówczas zdradziła. Poza tym wszyscy, którzy w tej zabawie brali udział, nie będą przez porządne rumuńskie domy przyjmowani. Zobacz pan!

Rozdział IV

KONSTANTYNOPOL

- Będzie najlepiej, jeśli teraz ulotnię się na jakiś czas - rzekła Madzia do męża w kilka dni po owej, słynnej wieczorynce. - Wprawdzie cała bukareszteńska śmietanka jest skompromitowana przez udział w tej zabawie, ale lepiej będzie zejść z oczu tym wszystkim starym plotkar-skim jędzom z naszą księżną na czele.

Jaś brał wszystko pod kątem swojej kariery i w tym wypadku nie bardzo wiedział, jak będzie lepiej. - Może Madziątko miało rację, może lepiej będzie, jeśli wyjedzie do Polski na jakiś czas. Bo gdyby miała naprawdę przestać być zapraszana... - W ten sposób chytra Madzia otrzymała od męża zezwolenie na wyjazd do ukochanej rodziny. Radość w domu z powodu nagłego przyjazdu młodszej córki była nieopisana. Tatko z autem czekał na nią na stacji, a w domu: Mamidło. Lilka, *Fräulein* i malutka Reksia oraz cudowna kolacja pod starym świecznikiem-lampą z kiwającymi się kryształkami, które uderzając o siebie, wydawały znany domowy dźwięk.

Lilka w tym czasie bardzo zajmowała się kabałą i miała specjalne karty, na których porobiła sobie napisy: „dentysta”, „wschód słońca”, „po-prawa losu”, „praca bez wytchnienia”. „pech na całej linii”, „duża forsa”,

„nowy amant”, „miłość bez granic”, „sto procent pustki” etc. Między owymi kartami, którymi stawiała kabałę sobie i siostrze, była także jedna z napisem „teatr”. Ta karta wciąż u niej wychodziła na pierwszym miejscu, ale co było dziwniejsze, że w kabale, jaką stawiała siostrze, również się ona ukazywała.

- Widocznie będziemy dużo razem chodziły do teatru - rzekła Madzia niezbyt inteligentnie.

- Nie - odparła Lilka poważnie - to znaczy coś całkiem innego. Znaczy, że ja będę pisywała do teatru

sztuki... już o tym nieraz myślałam.

- No dobrze, ale dlaczego też i mnie ta karta wciąż wychodzi?...
- Bo pójdziesz do teatru na premierę mojej sztuki, co będzie dla ciebie wielkim wydarzeniem.
- Ani mi się śni! Ja też napiszę sztukę - i to jaką! Zobaczysz!
- A cóż ty myślisz, moje ciele, że ty potrafisz pisać sztuki teatralne?!
- Naturalnie. Jeśli ty potrafisz, to ja też!
- Spróbuj, głupia idiotko!
- Naturalnie, że spróbuję i będzie lepsza od twojej!

Pokłóciły się okropnie, potem się długo przepraszały i całowały, a w kilka dni później obie zabrały się do pisania komedii. Tylko że Lilka uczyniła to w jeden dzień. Był piękny letni poranek, Lilusia wzięła do ogrodu gruby zeszyt, pióro i dużą miskę bobu, za którym przepadała, i który, zawierając duży ładunek fosforu, pomagał jej w pracy. Pisała bez przerwy, nie przyszedłszy na obiad, i wieczorem cała trzyaktowa kome-dyjka pod tytułem „Szofer Archibald” była gotowa. O godzinie dwunastej (cała rodzina nigdy nie kładła się spać wcześniej jak o pierwszej w nocy) Lilka, dumna i szczęśliwa, zabrała się do czytania głośno swojego pierwszego utworu scenicznego. Komedyjka o dość frywolnej treści, wzoro-wana na bulwarowych francuskich sztuczkach, wywołała zachwyt rodziny. Wprawdzie Mamidło było troszeczkę zaniepokojone dość dwuznacz-nymi sytuacjami, które ta sztuka zawierała, ale Lilka miała u niej taki kredyt, że jej nawet takie rzeczy darowywała. Tatko płakał do łez z doskonałych dowcipów w dialogach, a Madzia, zdumiona, że ta niezwykle starsza siostra potrafiła przez jeden dzień napisać taką prawdziwą komedię do grania w teatrze, siedziała zasłuchana i oczarowana, nie rezygnując jednak wcale z napisania czegoś dobrego i zabawnego. Całą noc wówczas nie spała, myśląc nad tematem do swojej komedyjki, bo przecież skoro w kabale jej również wychodziła karta z napisem „teatr”, to 82

znaczyło, że i ona wkrótce zabłyśnie jako wielki talent komediopisarski.

Podczas owej nie przespanej nocy postanowiła wziąć sobie za temat świątek krakowskich malarzy, tak dobrze jej znany. W Krakowie rozwija się futurystyczny prąd. Moda kubizmu przyszła z Paryża i polscy malarze rzucili się na nią - jak przed wojną piękne damy na *jupe-culotty*.

Temu nowemu prądowi hołdują: Czyżewski, Pronaszko, Leon Chwistek, którego wspaniała „kubistyczno-streficzna” kompozycja „Pojedynynek” (reminiscencja własnych przeżyć paryskich, kiedy Leon pojedynkował

się o swoją przyszłą żonę, piękną Olgę) wzbudza zachwyt entuzjastów nowych kierunków malarskich. Madzię, wychowaną na normalnych

„ludzkich” koniach Dziadka i Ojca, nie zachwycają te nowości, śmieje -

się z nich wraz z Tatką, którego takie malarstwo przejmuje zupełnie zrozumiałą odrazą. Jest to według niego profanacja sztuki. Znosi się sarkastycznym śmiechem, oglądając reprodukcje Picassa i Kokoschki.

Główna postać jej komedyjki pod tytułem „Malowana żona”, malarz futurysta Pawik - trochę Chwistek, a trochę zdolny i sympatyczny Leon-hard-rubacha - mówi w sztuce słowami tego artysty: „Czyś pan widział

piersi mojej żony? Nie - no toś nic nie widział!” Żona Pawika, której mąż nic nie zarabia, stara się go nakłonić, aby malował bardziej „po ludzku”, bardziej handlowo - na co on wykrzykuje w ten sposób: „Taak, chciała-byś, abym malował aniołki w chmurkach i Żmurkach albo Madonny suszące bieliznę na sznurkach jak Stachiewicz! Zamiast nudzić, usiądź, popozujesz mi do martwej natury albo lepiej do pejzażu, tylko błagam cię, nie ruszaj się przez chwilę. Tytuł tego pejzażu będzie - Prowincja”.

W tej farsie jest równie zabawna postać mistrza Kwalifikowskiego, tak zwanego „mydlarza”, malarza starego typu, który otrząsa się na widok dzieł Pawika. Ponieważ obie siostry biorą wzory nawet z własnej rodziny, więc mistrz Kwalifikowski mówi nieraz słowami Tatki, odpowiednio skarykaturowanymi. Sztuczka jest zbiorem zabawnych i bardzo niecenzuralnych scenek, ale ze sztuką teatralną nie ma nic wspólnego.

Wśród epizodycznych postaci jest też wzięta z życia postać wujka z prowincji, przybyłego w odwiedziny do młodego wówczas Wojtka, który go 83

zaprowadził do warszawskiej Zachęty. Wsiok z głębokiej prowincji stawał przed tym lub owym dziełem starych mistrzów, cmokał i mówił:

„No, ten to sobie umiał wybrać kopersztych!” Przy innych obrazach krzywił się mówiąc: „Ale ten to sobie, panie, nie umiał wybrać!” Przed obrazem Siemiradzkiego, przedstawiającym igrzyska Nerona, stał długo kiwając głową: „Ten, panie, to sobie umiał wybrać kopersztych!” Zdumiony Wojtek pyta go: - Wuju, co wuj przez to rozumie: „umiał

sobie wybrać albo nie umiał sobie wybrać?”

- Jak to, to ty nie wiesz? Każdy malarz wybiera sobie, panie, kopersztych i według niego odmalowuje obraz.

- A one... niby te kopersztychy. to skąd się wzięły?

- Jak to skąd! Zawsze były i są!

Madzia czyta siostrze poszczególne scenki. Lilka chwilami śmieje się, ale od czasu do czasu szepcze:

- Idiotyczne... - Potem namyśla się i mó-

wi...

- Słuchaj, z dwojga złego wolę ci to poprawić, niż mieć siostrę grafomankę. Tylko musisz mnie ślepo słuchać.

Madzia ma ambicje autorskie, ale na szczęście również dużą dozę samokrytycyzmu, godzi się więc na ten układ, proponując siostrze uczciwie połowę zarobków, o ile sztukę jakiś teatr przyjmie - na co Lilka godzi się, ponieważ tylko grafomani, jak wiadomo, piszą dla samej rozkoszy pisania. Komedyjka idzie na warsztat starszej siostry. Lilka, uczciwy współnik, stara się utrzymać, ile się da styl Samozwańczy. Skre-

śla młodszej siostrze najślabsze dowcipy, które ta oplakuje gorzkimi łzami, targując się o każdy z nich. Raz dochodzi nawet między nimi do

„krwawej” sceny, ponieważ Lilka w swoim pokoju, oddzielonym od Ma-dzinego oszklonymi drzwiami, udaje, iż chce spalić cały manuskrypt

„Malowanej żony”. Zamyka drzwi na klucz, otwiera drzwiczki od pieca.

Madzia za drzwiami szaleje, w końcu rozbija pięścią oszklone drzwi, przecina sobie rękę w paskudny sposób i, brocząc krwią, wpada do pokoju, gdzie dowcipna siostra pali tylko stare gazety. Widząc ją tak poka-leczoną. Lilka blednie, prowadzi nieszczęsną autorkę do miednicy z zimną wodą, która momentalnie napełnia się Samozwańczą krwią po 84

brzezi. Przeprasza ją i przysięga, że jej już nic nie skreśli. Bandażuje skaleczoną rękę, jak potrafi najumiejtniej, i ofiarowuje jej swój nowy kapelusz, pocieszając Madzię, że sztuka, w ten sposób skropiona krwią

„serdeczną”, będzie miała na pewno olbrzymie powodzenie. Blizna na ręce pozostała jednak na długie lata. Madzi jakiś wydawca proponuje wznowienie „Na ustach grzechu”; oczywiście sprzedaje mu je natychmiast. W tym czasie otrzymuje od męża list, że chciałby, aby na lato pojechała nad Morze Czarne do Konstancy. Siostry postanawiają razem spędzić lato. Jaś Pawlikowski daje Lilce na ten cel odpowiednie fundusze i obie wyjeżdżają *sleepingiem via* Lwów do Bukaresztu. Starzewski, powiadomiony o przyjeździe starszej siostry, tym razem jest z tego zadowolony, ponieważ jego Madziątko będzie przynajmniej pod jakąś opieką. Po przyjeździe do mężowskiego domu zastaje w szafie piękną białą, jedwabną paryską suknię, naszywaną czarnymi paciorkami. Jej mąż, pełen poświęcenia, jak chodziło o zrobienie przyjemności żonie, przez półtora miesiąca jadał w jakiejś taniej garkuchni, aby zaoszczędzić na kupno tej kosztownej szaty. Palił również najtańsze papierosy i ani razu nie wziął dorożki. Madzia jest wzruszona do łez.

- Widzisz. Lilusiu - mówi do siostry - jakiego mam dobrego męża!

Ze świecą takiego szukać!

Lilka uśmiecha się kwaśno jednym kącikiem ust. Docenia Starzewskiego. ale go bardzo nie lubi, sama nawet nie wie dlaczego, chyba tylko dlatego, że jej zabrał z domu siostrę, tę jej ukochaną laleczkę - przyjaciela i powiernika. A czasem niewolnika pokornego, bo czegoż ta Madzia nie byłaby dla siostry zrobiła? Lilka na przykład lubiła, aby do snu Madzia kołysała ją swoją paplaniną, zupełnie jak pewien szach perski, który nie potrafił zasnąć, gdy mu jakiś dworzanin nie opowiadał bajek.

- Madziusiu. ja już leżę w łóżku, proszę, przyjdź ze mną pogadać...

- Kiedy ja właśnie piszę, mam natchnienie! - woła Madzia z drugiego pokoju.

- A czy ty wiesz, że tylko grafomani ciągle piszą!? Masz w tej chwili przyjść, skoro ci każę!

85

Madzia wzdycha, odsuwa maszynę do pisania i idzie do pokoju siostry. Lilka leży w koronkach i atlasach. Śliczna ówczesna moda (która nie wiadomo dlaczego zanikła) każe nosić na głowie urocze czepeczki całe z koronek z kolorowymi wstążkami. Są różnych fasonów, jedne jak staroświeckie czepece dawnych białogłów, inne w formie kapturków ho-lenderskich. Lilka w takim stroiku na głowie wygląda jak jakaś rokoko-wa piękność.

- Opowiedz mi coś ciekawego - prosi kładąc rękę pod głowę. Madzia zaczyna opowiadać jej różne ploteczki i historyjki o wspólnych znajomych. Lilka przymyka oczęta.,

- Tylko nie mów tak głośno, Madziusiu...

A po chwili z jej ust wydobywa się ciche pochrapywanie i pogwizdy.

- Wołałaś mnie na rozmowę i zasypiasz!

- Mów, mów dalej... ja wszystko słyszę... chrr... chrr...

Starzewski zamawia dla obu sióstr pokój w najlepszym hotelu w Konstancy, który stoi na skarpie tuż nad morzem. W hotelu tym jest dużo cudzoziemców i dobra restauracja z widokiem na morze. Jest też hotelowa praczka, nie mówi ona ani słowa po francusku lub niemiecku i wraz z bielizną obu sióstr przynosi im również męskie kołnierzyki i ko-szule, za które żąda zapłaty. Siostry nie mogą jej wytłumaczyć, że nie mają żadnego mężczyzny ze sobą, bo ich nie rozumie. Wołają portiera, robi się awantura, ale na przyszły tydzień znów im przynosi dla odmiany męskie kalessony i nie chce wyjść z pokoju, póki za nie nie zapłacą. Gdy Madzi przez okno wylatuje kiedyś jakaś ładna jedwabna kombinacja, momentalnie, w jej oczach, przechodząca podwórkiem kobieta podnosi ją i chowa do swojej torby.

Wieczorem obie siostry chodzą na plac Owidiusza, gdzie stoi posąg rzymskiego poety, ongiś tu zesłanego przez cesarza Augusta.

Wokoło pełno kawiarni i knajp, gdzie pijani marynarze wabią portowe syreny. W restauracjach siedzą elegancy Rumuni, Francuzi i trochę emigrantek rosyjskich, pięknych i wiotkich jak bohaterki powieści Toł-

stoją. Uwagę wszystkich zwraca sympatyczny kolos w baskijskiej czapeczce, którego pierś obwieszona jest baretkami. Siedzi naprzeciwko 86

obu siostrzyczek i oczu od nich nie odrywa. W końcu przedstawia im się.

Jest to Belg - Marcel de Moor. Między dobrodusznym kolosem o twarzy zdrowego dziecka a obu siostrami nawiązuje się przyjaźń. Mają teraz opiekuna, z którym mogą bezpiecznie wychodzić wieczorami. W Konstancy nie ma plaży, na plażę jedzie się do Mamai pół godziny bydlęcymi wagonami. Jak sama nazwa wskazuje, plaża ta przeznaczona jest przede wszystkim dla matek z dziećmi. Na szczęście mężczyźni też spacerują po niej. Plaża jest olbrzymia i czystości niepokalanej, a Morze Czarne groź-

ne i granatowe. Lilka zaraz mówi, że „wygląda jak granatowy jedwab w białe desenie, wciąż zwijany, podrzucany do góry niewidzialnymi rękami subiektów - olbrzymów. Ale jakżeż łatwo jest udusić się w zwojach tego boskiego, płynnego jedwabiu...” Madzia jednak, pływak nieustraszony, rzuca się głową naprzód w te płynne zwoje. Woda jest tak ciężka od na-gromadzonej w niej soli, że sama człowieka unosi, trzeba być jednak odważnym i nie bać się tych przepaści, które się nagle tworzą, i tych spiętrzonych granatowych zwałów nad głową. Madzia czuje się najzupełniej szczęśliwa. Bo czyż może być większe szczęście jak to, że się jest młodą ładną kobietą i tak świetnie skonstruowaną maszynką, która sprawnie i bezbłędnie pruje groźne fale z równą beztróską jak ślizgowiec... A do tego jeszcze bezustanna gorąca pieszczota słońca! Jedno, co ją niepokoi, to ta Lilka, która wciąż kokietuje mężczyzn. Leży w tak zwanej „niedbałej” pozie na piasku, cała prawie przykryta popielatoorze-chowymi włosami, i niby to czyta książkę, ale w gruncie rzeczy „robi oko” do co przystojniejszych Rumunów. O, już się do niej przysiadł jakiś plażowicz i wszczął rozmowę. Trzeba szybko porzucić morską kąpiel i podejść do nich, bo nie wiadomo, co to za typek. Madzia czuje się w obowiązku opiekować starszą siostrą. Kilka dni temu miały bardzo niemiłą przygodę: przysiadło się do nich na plaży dwóch rumuńskich oficerów i z początku cacy, cacy - komplementy, galanterie - a potem namó-

wili je, aby z nimi pojechały do Tatai. Nie wiedziały, bo i skąd miały wiedzieć, że owa Tataja to plaża przeznaczona jedynie dla kawalerów i dam lekkiego autoramentu. Kto pojechał do Tatai, mógł być narażony na wszystko. Ledwo się wówczas wyrwały z objęć gorących młodzieńców i 87

pędem biegnąc z owego miejsca rozpusty, dopadły stojącego na stacyjce pociągu. Oficerowie byli pijani i to je uratowało: Wieczorem opowiedziały tę przygodę swojemu dużemu przyjacielowi.

- Ach, *mes chères petites*, trzeba było mnie zapytać o radę. Kto jedzie na plażę do Tatai, to tak, jak gdyby odwiedził domek publiczny...

Trzeba znać tutejsze obyczaje.

Obie siostry zlekceważyły formalności paszportowe i teraz miały związane z tym przykrości.

- Chodźcie ze mną - rzekł Marcel - ja wam to załatwię. Tylko stańcie z daleka od okienka, a ja sobie z szefem tutejszej policji pogadam. - Siostry widziały, jak Marcel wyciągnął z portfela jakiś dokument, pokazał

go i jak szef policji skłonił przed nim głowę. Po chwili wrócił, wręczając siostrą pisemne pozwolenie na pozostanie w Konstancy tak długo, jak będą chciały.

- Co pan mu pokazał za dokument? - zapytała Madzia.

- A mam taki papierek, bardzo pożyteczny papierek - roześmiał się.

- Ale co to jest takiego?

- A co was to obchodzi, moje dzieci? W każdym razie gdybyście kiedykolwiek miały jakieś zatargi z policją, to tylko do mnie się zwróćcie

- ja mogę wszystko załatwić...

Kimże był ów tajemniczy Marcel de Moor? Siostry przypuszczały, że.

szefem tajnej policji. Był z urodzenia Belgiem, a zatem belgijskiej policji.

Wszędzie, gdziekolwiek się zjawiał i pokazywał swój dokument, wszystkie drzwi się przed nim otwierały, o czym się później jeszcze miały przekonać. Posiadał przy sobie pliki banknotów i książeczkę czekową na Bank Lyoński i wciąż obu siostronom chciał pożyczać pieniądze. Kiedyś, jadąc z nimi pociągiem, usłyszał, jak Madzia powiedziała do Lilki, że trzeba uważać, bo im się forsa kończy, natychmiast podpisał im dwa czeki po tysiąc franków na okaziciela, a gdy „dumne Polki” odrzuciły bezapelacyjnie tę ofertę, nie przedał czeków, tylko z pasją wyrzucił przez okno.

88

- Co pan robi?! - wykrzyknęła Madzia.

- Nie chciałyście ich wziąć, to się przydadzą komu innemu. Ja mam pieniędzy po uszy.

Nie lubił jednak, aby go naciągano, i był oburzony historią, która go spotkała na dansingu w Konstancy, gdzie uwagę jego zwróciła jakaś wytworna piękność.

- Kto jest ta pani? - zapytał kogoś ze znajomych.

- To żona rumuńskiego generała, pana takiego i takiego...

Nie śmiał więc do niej podejść i tylko z daleka posyłał jej zachwycone i ogniste spojrzenia. Nazajutrz otrzymał od tejże damy liścik tej treści: *Jeśli pan pragnie się ze mną poznać, to proszę być w kawiarni na placu Owidiusza dziś o piątej po południu i proszę przygotować trzy tysiące lei.*

Marcel, wzburzony do głębi, biegał z owym bilecikim i pokazywał go znajomym.

- Co? - oburzył się młody książę Ghika - trzy tysiące lei?! Przecież za taką sumę mógłby pan mieć *la reine de Roumanie!*

Reakcja Rumunów była zupełnie inna niż pocziwego Belga, toteż otworzył tylko usta ze zdziwienia i zaraz poszedł to opowiedzieć obu Polkom.

Gdy Lilka wracała z Bukaresztu do Polski, poznała w sleepingu bardzo elegancką młodą Rumunkę. Lilka, chcąc ją zabawić, opowiedziała jej z uśmiechem tę historię o rumuńskiej generałowej. Ku jej

zdziwieniu dama wcale się nie roześmiała, tylko rzekła zupełnie poważnie:

- Rzeczywiście, że ta generałowa była nietaktowna, bo przecież dżentelmen wie sam, ile ma dać kobiecie.

Madzię kiedyś na plaży w Mamai ugryzła w nogę jakaś jadowita mucha. Nie zwracała uwagi na tę ranę, która jadziła się w sposób niepokojący. Chodziła na dansingi z siostrą i Marcelem i któregoś wieczoru poczuła nagle, że pod stołem nie ma nogi, tylko ciężką kłodę. Noga była sina i puchła coraz wyżej. Lilka przestraszyła się bardzo i poszła szukać lekarza. Przyszedł stary doktor Francuz z długą, siwą brodą. Najpierw 89

zmierzył Madzi gorączkę, spojrzął na termometr i pokiwał głową. Na termometrze było trzydzieści dziewięć stopni.

- Zakażenie krwi - rzekł ze spokojem właściwym lekarzom - zdaje się, że trzeba będzie pani nóżkę amputować.

Młodzi mają dziwną pogardę życia, przywiązanie do niego przychodzi dopiero z latami, i ku zdumieniu lekarza Madzia rzekła kategorycznie, że woli umrzeć, niż dać sobie nogę obciąć.

- Będziemy wobec tego robić, co się da, aby gangrenę wstrzymać -

odparł lekarz - ale nie ręczę za rezultat. Przede wszystkim nogę trzeba dać na wyciąg, poza tym kąpać kilkanaście razy dziennie w roztworze sublimatu. Zupełna dieta - wolno pani pić tylko soki owocowe.

Marcel okazał się prawdziwym przyjacielem w tym nieszczęściu. Po-mógł obandażować Madzią nogę i zawiesić na wyciągu. Całą noc siedział przy niej i co kilka godzin zdejmował ową nieszczęsną siną nogę i wkładał do wiaderka z roztworem sublimatu. Gorączka wciąż podnosiła się. Lilka opanowana, ale blada, pocieszała siostrę i dodawała jej otuchy.

Madzia najwięcej martwiła się tym, że za trzy dni miał przyjechać Jaś i zabrać je do Konstantynopola. Pisał, że kupił już bilety na statek kursujący między Konstancą a Konstantynopolem, ponieważ jednak stateczki te kursowały dość nieregularnie, więc nie przyjeżdżał jeszcze, bo musiałby kilka dni przesiedzieć z nimi w Konstancy, na co nie posiadał odpowiednich funduszków. Trzeba było znać Karasia, był to człowiek ra-chunkowy, który żył z ołówkiem w ręku i notesikiem i zapisywał w nim wszystkie wydatki bieżące i przewidywane. Choroby nie były wliczone w ten jego budżet. Prowadził kasę i Madzi wyliczał dziennie drobną sumkę na słodycze i papierosy.

Gdy rano Lilka z przerażeniem ujrzała na termometrze tę samą temperaturę co wieczorem, zaczęła działać. Przede wszystkim wyrzuciła przez okno mały srebrny ryngraf z Matką Boską, który im w tę podróż dała Mama.

- Koło świętości bardzo często diabeł się kręci - tak jak koło krzyża na rozstajnych drogach - rzekła z całą powagą. - Matka Boska się nie obrazi, jeśli ten ryngraf wyrzucę. Już dawno zauważyłam, że on straszego pecha przynosi...

Potem poszła do meczetu, gdzie zażądała widzenia się z imamem. Po godzinie wróciła rozpromieniona niosąc w ręce jakąś grubą kopertę zawiniętą w bibułkę.

- Imam sprzedał mi za drobną opłatą ten talizman. Pod żadnym warunkiem nie wolno zaglądać, co się wewnątrz tej koperty znajduje.

Masz włożyć go pod poduszkę - rzekła wręczając Madzi kopertę - i trzymać tak długo, dopóki nie wyzdrowiejesz. Powiedział, że do wieczora gorączka powinna opaść i że do trzech dni noga wyzdrowieje.

Madzia wzięła kopertę, na której wymalowane były znaki Koranu, i z bladym uśmiechem włożyła ją pod poduszkę. Wieczorem, raczej pod wpływem mądrej kuracji niż pod działaniem tajemniczego talizmanu, gorączka zaczęła opadać, a opuchlizna maleć. Lekarz skonstatował dużą poprawę i orzekł, iż niebezpieczeństwo minęło, ale kurację trzeba dalej prowadzić.

- Za trzy dni - rzekła Madzia - muszę jechać do Konstantynopola, przyjedzie mój mąż, który ma już bilety zakupione na statek.

Lekarz roześmiał się.

- To musi sobie pani wybić z główki, w tym stanie podróżować -

wykluczone! .

Noga pomału wracała do normalnego stanu, gorączka minęła, ale o stąpieniu nie było jeszcze mowy. W dwa dni później, wieczorem, wszedł

nagle do pokoju Starzewski z kuferkami, właśnie w momencie, kiedy Marcel trzymał na kolanach nogę Madzi, bandażując ją po dezynfekcyjnej kąpieli.

- Co to ma znaczyć? - zapytał surowo. - Co wy tu wyprawiacie?

Marcel położył nogę Madzi na łóżku, wstał i przedstawił mu się.

Pochmurny, z pewnym niedowierzaniem wysłuchał całej historii o jadowitym ukąszeniu muchy i o gangrenie. Na poczciwego opiekuna swojej żony spoglądał spode łba.

- Powinieneś, mój Jasiu - rzekła Lilka - serdecznie podziękować panu de Moor za pomoc, jaką nam w tym nieszczęściu okazał. Był naprawdę nadzwyczajny i pełen poświęcenia.

- Oczywiście, że jestem panu bardzo zobowiązany - odparł oschle. -

Ale, moje Madziatko, musisz się jutro przemóc, wstać i jechać do Konstantynopola, bo inaczej

przepadną nam bilety.

- Przecież ona nie może stąpnąć na tę nogę, ładny mąż z ciebie!

- Niech Lilka się do nas nie wtrąca. Jeśli Lilka nie chce. to może z nami nie jechać... Ja będę Madziątko prowadził, mogę ją nawet, jeśli będzie trzeba, wziąć na ręce - ale jechać musi.

- Ty byś ją udźwignął? - zarechotała Lilka ironicznie.

- Słuchajcie - odezwał się de Moor - mnie jest wszystko jedno, gdzie pojedę i gdzie spędzę resztę mojego urlopu. Mogę jechać z wami do Konstantynopola.

- Och, cudownie! - zawołała Madzia i zaczerwieniła się pod surowym wzrokiem męża.

- Pojadę w roli pielęgniarza *Madelon*, będę ją nosił na rękach i bandażował jej nóżkę, która wymaga jeszcze pielęgnacji. Lekarz powiedział, że to bardzo ryzykowne, aby jechała w tym stanie... no, ale skoro bilety na statek mają przepaść... - dodał z lekka ironicznie.

Jaś był bardzo kochającym mężem, ale jeśli chodziło o choroby, to on miał na nie w tym małżeństwie monopol i nie wierzył, aby Madziątku kiedykolwiek mogło coś grozić. Otaksowawszy wielką i solidną postać Belga dodatnio, nic już nie rzekł i tylko w zdenerwowaniu przygryzał

wargi.

- Nie wiem - rzekł po chwili - czy pan dostanie jeszcze bilet na ju-trzejszą jazdę do Konstantynopola. Miejsce na tych stateczkach są ograniczone i trzeba je zamawiać tydzień naprzód.

- Ja zawsze i wszędzie otrzymam bilety - rzekł Belg z uśmiechem, po czym wstał, pożegnał się i wyszedł.

Nazajutrz wieczorem ujrzano wychodzącą z hotelu dość oryginalną kompanię. Na przedzie szedł olbrzym niosąc na ręku młodą kobietę z obandażowaną nogą. Za nim młody człowiek objuczony walizkami i piękna dama w białym, dużym kapeluszu słomkowym, z którego spływał

koronkowy woal. Całe to towarzystwo załadowało się do dwóch dorożek 92

i pojechało w stronę portu. Na statku ułożono młodą inwalidkę w kajucie na łóżeczku, po czym olbrzym zaczął odwijać jej nogę, położywszy ją sobie na kolanach, i bandażować na nowo. O świcie zaczął się ruch na stateczku, bo oto wjeżdżano w Bosfor. Jak żółtko z obślonek białka wy-

łoniło się słońce i zaczęło rozlewać złotą ciecz na ten najpiękniejszy ka-nał świata. Madzia, kuśtykając na jednej nodze i podpierając się laską, wyszła na pokład. Lilka już tam leżała na leżaku, milcząca i rozmarzona.

Po chwili zjawili się Starzewski i de Moor. Jaś wyciągnął z kieszeni Baedekera i rzeczowo objaśniał reszcie kompanii, z jakiej epoki pochodzą ruiny starej warowni, widniejącej na jednym z brzegów, lub resztki starego zamku.

- Te tureckie fortece: Rumeli Hissar i Anadolu Hissar - mówił tonem profesorka - pochodzą jeszcze z czasów, kiedy Mahomet Drugi po-

łożył kres Bizancjum, zdobywając w roku tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim Konstantynopol. A tam powinny się znajdować - mówił znów zaglądając do Baedekera - ruiny greckiej Akropolis.

Madzia wzdychała niecierpliwie. Wcale nie chciała się uczyć, tylko patrzeć i wchłaniać w siebie te niezwykle widoki, jak stare kolorowe sztychy, które się przed jej oczami przesuwały. Karaś nie odczuwał tego piękna, był zupełnie jak Anglicy, którzy w podróży chcą wszystko widzieć dokładnie i bez przewodnika nie ruszają się.

- Popatrz. Madziątko. tutaj resztki murów obronnych z czasów bizantyjskich.

- *Mais c'est un raseur, votre Jean* (Ależ to nudziarz, ten Jan) -

mruknął do Madzi Marcel, który z lornetką przy oczach przyglądał się czarodziejskim brzegom Bosforu. - Czy on nie potrafi patrzeć i nic nie mówić?...

- A czy wiesz - mówił w dalszym ciągu Starzewski - co to dosłownie znaczy „Bosfor”? - Wołowy bród... Są dwie wersje pochodzenia owej nazwy. Jedna od mitologicznego byka, który, jak ci wiadomo, porwał

Europę - a druga, i o tym właśnie tu piszą, że, jak twierdzi legenda, piękna Jo została przemieniona w krowę i...

93

- Mój Jasiu - przerwała mu zniecierpliwiona Lilka - my chcemy spokojnie patrzeć, a nie słuchać wykładów...

- Ja się do Lilki nie odzywam - odparł cierpko Starzewski. - Chcę, aby Madziątko się czegoś dowiedziało i nauczyło.

Czarodziejskie brzegi Bosforu zmieniały się jak przesuwane kolorowe obrazki w fotoplastykonie. Przejeżdżano koło przepysznych ogrodów, z których strzelały w górę ciemnozielone świece cyprysów, koło gajów oliwnych i winnic. Wypoczynkowe miejscowości, takie jak najelegant-sze letnisko Terapia, dokąd na lato wyjeżdżała miejscowa arystokracja oraz korpusy dyplomatyczne, błyskały w słońcu bielą luksusowych willi i pałacyków. Gdy słońce zaczęło zachodzić, stateczek wjechał w Zatokę Złotego Rogu. Już z daleka widać było stare mury Stambułu, a nad nim górujące dawne pałace sułtańskie - Stary Seraj, złożony z całego kompleksu pałaców i pałacyków. Zieloność i kwiecistość sułtańskich ogrodów pięła się na stare mury, wypychała się na zewnątrz, spadała w dół

po kamieniach różano-zielonymi kaskadami. Samo słowo „seraj” przypominało już Lilce baśnię z „Tysiąca i jednej nocy” i te wszystkie zaczarowane nazwy, które Jaś wyczytywał głośno ze swojego Baedekera: Aja Sofia, meczet Walide, świątynia Islamu Sulejmanije i groźny meczet Mahometa Zdobywcy - Lilka rozmarzona stała oparta o poręcz burty.

Czy te czarodziejskie nazwy nie przyniosą jej jakiegoś niezwykłego,, wschodniego przeżycia? - „Po cóż jechać do Turcji?” - pisała leżąc w ogrodzie na Kossakówce:

Kule z puchu wśród trawy błyskają jak świece, i ogród drży marzeniem od haszyszu chorem.

Po cóż jechać do Turcji? Pachnie bez turecki, półksiężyc blade wschodzi tak jak nad Bosforem.

Tureckiego Khediva dym w kłębach się waha

i zapachniał do rymu ciemny kwiat nasturcji.

Milczenie jest tureckie, obce. - Na Attacha!

Po cóż jechać do Turcji? Do dalekiej Turcji?

Pisała to nie wiedząc wówczas, że tu się nagle znajdzie. Nawet nie pragnęła o tym zamarzyć. Allah jest wielki! Sprowadził ją tutaj, aby jej pokazać, że warto było pojechać do Turcji. „Do dalekiej Turcji”... Ale 94

komu to powiedzieć? Komu, ze łzami wzruszenia w niebieskich oczach, uścisnąć mocno rękę w niemym podziwieniu? Madzia, oparta łokciem o łokieć grubego Marcela, flirtuje, aż jej uszy goreją. Jaś - profesorek stateczny - czyta półgłosem z przewodnika czarodziejskie słowa, które ona jedna rozumie... Jakżeż bardzo jest samotna w tym towarzystwie zwykłych, przeciętnych ludzi.

- Widzisz. Madziatko - mówi Jaś, zwracając się do żony i wskazując jej ręką rozsypane wokół małe wysepki - to są Wyspy Książęce, też jedno z curiosów Konstantynopola. Tutaj piszą w Baedekerze: „zwiedzenia godne”. A tam, na przeciwnym brzegu, duże miasto osmańskie, - Skuta-ri. Weź do ręki lornetkę!

- A czy wiecie - odzywa się Marcel - że w okresie wojny światowej Niemcy przebywający w Konstantynopolu zarządzili oczyszczenie miasta z bezdomnych psów. wywożąc je na jedną z tych mniejszych i nie zaludnionych wyseppek? Ponieważ Koran zabrania zabijania zwierząt, więc pozostawiono je tam własnemu losowi.

- I co? - pyta „dowcipna” Madzia - wygryzły się co do nogi?

- To straszne! - mówi Lilka i już swoją malarską wyobraźnią widzi nieszczęsne psy. rzucające się na siebie i pożerające się z głodu na strasznej, piaskowego koloru, wyschniętej wysepce.

- Podobno - ciągnie dalej Belg - ich wycie dochodziło jeszcze dłuż-

szy czas do uszu mieszkańców Konstantynopola, a kości biednych psów bieleją do dzisiejszego dnia.

- Ale dlaczego postąpili z nimi w tak okrutny sposób?

- Psów było za wiele na terenie miasta, włączyły się głodne i ulegały wściekliwości. Trzeba było coś z nimi zrobić... oczywiście nie w taki barbarzyński sposób...

Obie siostry posmutniały i wypatrują, ślizgając się wzrokiem po wy-sepkach, która z nich może być ową straszną wyspą głodowej śmierci przyjaciela człowieka...

- A oto, widzicie, z daleka zarysowują się niezliczone kopuły największego meczetu Aja Sofia - objaśnia niestrudzony Starzewski. -

95

Dawny kościół Mądrości Bożej (Aja Sofia) zbudowany w roku pięćset trzydziestym siódmym przez Antemiusza z Tralles i Izydora z Miletu.

Pójdziemy go zwiedzić jutro rano...

- Popatrz - mówi Lilka do Madzi - czy ten meczet z tą olbrzymią ilo-

ścią mniejszych i większych kopuł nie wygląda jak nasze miseczki z my-dlinami, kiedyśmy puszczały bańki do środka i robił się taki konglome-rat tęczowych baniek, jedno na drugich?

- Ach. zupełnie tak samo! - przytakuje Madzia i z radości szarpie siostrę za rękaw.

- A te minarety jak ręce, o długich spiczastych palcach, złożone do modlitwy.

- Lileczko. jakie ty masz wspaniałe porównania!

Jaś odchodzi na bok pochmurny, ta Lilka ze swoimi przesadzonymi porównaniami zawsze go musi w oczach Madzi zdystansować... patrzy w nią jak w tęczę, a jemu nawet nie podziękuje za te wszystkie ściśle wiadomości, których jej dostarcza. Belg rozmarzony znów przysuwa się do młodszej z sióstr.

- Słuchaj. *Madelon* - szepcze - jeśli kiedykolwiek będziesz chciała zdradzić *votre Jean, votre mari*, proszę pamiętać o mnie...

- Widzę, że pan chce popsuć naszą przyjaźń.

- Nie... ja tylko tak... na wszelki wypadek... a jeśli nie, to i tak zawsze pozostanę pani najwierniejszym przyjacielem.

Konstantynopol wznosi się i opada. Widoczny jest cały. podobnie jak na obrazach starych włoskich mistrzów, którzy nie znali jeszcze perspek-tywy. Niby choinka zakończony jest błyszczącą iglicą wieży Seraskiera, położonej na najwyższym punkcie miasta...

Port z daleka pstrzy się wszystkimi kolorami jak klomb z kwiatami.

Głowy Turków w czerwonych fezach przypominają maki: Przeważa kolor czerwony, błękitny i piękna zieleń Proroka, a od czasu do czasu jak makówka wystrzela ciemna, krótko ostrzyżona głowa jakiegoś Murzyna.

Bielą się zawoje Arabów i zielenią turbany pielgrzymów udających się do Mekki. Klomb z

kwiatami, gdy się człowiek nań dostanie, zmienia się w klatkę z papugami. Wrzask, zgiełk nie do opisania. Wśród tego egzo-tycznego tłumu, złożonego z Greków, Turków. Armeńczyków, Żydów i 96

Arabów, spacerują z tym swoim niedbałym, a jednocześnie najlepszym szykiem na świecie angielscy oficerowie. Płaskie czapki z daszkiem mają nasunięte na jedno oko, fajkę w zębach, wspaniale skrojone bryczesy i wysokie, sznurowane, żółte buty. Wymachują laseczkami ze skórzaną rączką, jak gdyby się opędzali nimi od tej całej egzotycznej hałasty.

- Skąd oni się tu wzięli? - pyta Madzia.

- To jest część wojsk sprzymierzonych, którzy chwilowo okupują Turcję, tak samo jak Francuzi i Amerykanie.

- Ale właściwie po co?

- Prawdopodobnie, aby utrzymać porządek, w Armenii niedawno były krwawe rozruchy, poza tym korzystają z tego, aby jak zwykle handlować narkotykami...

Gdy statek dobił do portu, na wysiadających podróżnych poczęli się rzucać jak sfora ujadających psów handlarze i agenci hoteli i hotelików.

Nasi znajomi wyrwali się z trudem z ich rąk, znaleźli dwie samochodowe dorożki i kazali się zawieźć do europejskiej dzielnicy Pera, gdzie znajdowało się poselstwo polskie. Z portu do miasta jechało się przez długi most nad Złotym Rogiem. Cały przepych miasta znajdował się w górze, a niżej był Konstantynopol dla ubogich - biedny, nędzny, śmierdzący, od czasu do czasu wypuczony kopułą jakiegoś meczetu. Dzielnica europejska Pera była znów zupełnie odrębnym miastem: tramwaje, pełno samochodów, luksusowe hotele, białe kamienice, dużo europejskich sklepów i eleganckich Europejczyków. Wśród nich przesuwali się czarne i granatowe cienie tureckich *hanum*, zakwefionych jeszcze wówczas, ciemno ubranych, ukazujących tylko olbrzymie, mocno „kohlem” podmalowane oczy. Było to na początku panowania Khemala Paszy i obie siostry miały jeszcze okazję uchwycić Konstantynopol z czasów Pierre Lotiego, pełen starodawnych obyczajów i pogardy dla kobiety jako dla istoty „nieczystej”, której nie wolno było wejść do meczetu inaczej jak na galerię, gdzie siadywała wraz z innymi kobietami za rzeźbioną drewnianą kratą; nie wolno jej było ujrzeć swojego przyszłego męża inaczej jak dopiero w dzień ślubu, a w mieszkaniu męża przebywała w części 97

przeznaczonej dla kobiet, czyli w haremie. Nawet w konstantynopolitań-

skim tramwaju znajdował się „przedział dla kobiet”, gdzie za czerwoną firaneczką gnieździły się zawoalowane piękności. Czasem, gdy szły same.

a naprzeciwko nich szedł jakiś przystojny cudzoziemiec, ukradkiem podnosiły zasłonę, ukazując tę swoją najnieprzyzwoitszą część ciała: twarze ich, nie poddane działaniu promieni słonecznych, były przezroczysto-białe, rozświetlone tymi ich najpiękniejszymi na świecie oczami, które czasami miewały niebieskiego koloru. Były przeważnie małe, okrą-

glutkie, drobne i można rzec, że całe mieściły się tylko w oczach, które miały łagodny i melancholijny wyraz. Wyglądały na istoty dobre, miłe i niesłychanie potulne. W tramwajach nigdy się ze sobą nie sprzeczały, nic mówiły do siebie „ta cholera”, tylko przez nie dociągniętą firankę spoglądały na mężczyzn wzrokiem namiętym i pełnym tęsknoty.

W poselstwie polskim nie zastali posła, był nim wówczas jeden z mę-

zów Zofii Nałkowskiej - Baranowski. Wyjechał na urlop, został tylko *attaché militaire*, który, powiadomiony o przyjeździe państwa Starzewskich, przyjął ich uprzejmie i wskazał pokoje. Na drugim piętrze był

rodzaj kawalerki - dwa pokoiki z łazienką, a poza tym tylko reprezentacyjne salony poselstwa, pełne perskich i tureckich dywanów i fałszywych ludwików. Jaś od razu postanowił, że oni z żoną zajmą apartamencik na górze, a Lilkę wpakują do dużego salonu, gdzie była wygodna otomana, a poza tym dwa olbrzymiej wielkości wazony chińskie, stojące na dywanie koło wysokiego zakratowanego okna.

- A gdzie jest toaleta albo coś w tym rodzaju? - zapytała Lilka z niepokojem.

- Tylko na górze - na dolnych piętrach nic ma nic poza salonami i biurami..

- Będę się tu, bała spać sama - westchnęła poetka.

- Trudno, przecież nie może Lilka zamieszkać z nami razem... - odparł oziębło Starzewski.

De Moor ulokował się w luksusowym hotelu Pera-Palace i miał nazajutrz rano spotkać się z nimi przed hotelem. Po kolacji wyszli wszyscy troje na taras przyległy do apartamenciku zajmowanego przez 98

Starzewskich. Była granatowa, ciepła noc i tu przedstawił im się widok, którego siostry się nie spodziewały: oto na dachu jakiegoś luksusowego hotelu odbywał się dansing na świeżym powietrzu. Jazzowa orkiestra, złożona z samych Murzynów w czerwonych frakach, waliła w swoje najgłośniejsze i najdziksze instrumenty. Czarne sylwetki fraków złączone z jasnymi sukniami tancerek charlestonowały w rytm muzyki. Nad tym europejskim widowiskiem rozpięty na granatowym niebie wisiał symbol państwa osmańskiego - srebrny półksiężyc z małą srebrną gwiazdką pod spodem.

- Popatrz, Madziusiu - rzekła Lilka wzruszonym głosem - emblemat państwa tureckiego... To niesłychane! I że ta gwiazdka tak właśnie pod nim się ukazała! Takiego półksiężycyca nigdy nie widywało się w Krakowie.

Gdyby rue ów turecki półksiężyc i donośny, wysoki głos muezina.

który wpadł nagle w orkiestrę jazzową niby głos bolesnego wyrzutu, można było przypuścić, że się nie jest w Turcji, ale w Paryżu lub New Yorku.

- Jak diabły - szepnęła Lilka - które wpadły tutaj ze swoją piekielną muzyką i stepem, aby zmącić tę piękną harmonię Allacha.

Jaś, wcale nie przejęty owym niezwykłym widokiem, robił plany wy-cieczek po Konstantynopolu na następne dni: - Musimy zwiedzić po kolei wszystkie meczety - rzekł. - Ale najpierw zwiedzimy Aja Sofia, a potem pójdziemy do Wielkiego Bazaru - rozwinął przed sobą mapkę i zaczął studiować plan miasta.

Na niebie rozwinął się świetlny napis: *On s'amuse à Beikos!*

- Co to może być? - zainteresowała się Madzia.

Jaś-mądrała wiedział już wszystko o Konstantynopolu i jego okolicach: - To jedna z Wysp Książęcych, gdzie jest prawdopodobnie jakiś słynny dansing.

- Och. musimy tam pojechać!

- Powinniśmy pamiętać, moje Madziatko, że mamy bardzo niewiele pieniędzy i że musi nam na wszystko wystarczyć, tym bardziej że później pojedziemy jeszcze do Sofii do posła Grabowskiego, który nas bardzo serdecznie do siebie zaprasza.

99

Lilka pożegnała się z nimi i ze świecą w lichtarzu - elektryka na schodach nie działała - zeszła na dół do swojego wspaniałego i pustego salonu, gdzie pachniało zakurzonymi dywanami. Było jej bardzo smutno i samotnie na duszy.

Należy oddać sprawiedliwość Starzewskiemu, że miał bardzo szybką orientację i od razu wiedział, jaki tramwaj może ich zawieźć tam, dokąd chciał. De Moor, różowy i domyty olbrzym, stał przed hotelem wypatrując swoich przyjaciół. Z daleka już ujrzał *Madelon* sztykutającą wolno i opartą na ramieniu męża. Z jej nogą było coraz lepiej, mimo iż forsowała ją beztróska. Czarodziejski talizman ze znakami Koranu nosiła wciąż na piersiach pod kombinacją. Tramwaj, do którego wsiedli, miał, jakeśmy to już wspomnieli, przedział dla kobiet, który jednak nie obowiązywał

cudzoziemek. Turcy, w czarnych ubraniach, białych koszulach, czerwonych fezach na głowach, nie odrywali oczu od dwóch młodych kobiet, których twarze odsłonięte były b e z w s t y d n i e . Aby uchronić się od grzesznych myśli, obracali wciąż mechanicznie różaniec z drzewa sanda-

łowego, który nosili okręcony wokoło dłoni. Był to widok jedyny w swoim rodzaju, gdy taki turecki zażywny *bon-viveur* wpijał ognisty wzrok czarnych oczu w twarze obu sióstr, a jednocześnie jego zmysłowe grube wargi szeptały wersety z Koranu. Szkoda, że tego nigdy nie ujrzą, chociażby żyli jak najdłużej, warszawscy chuligani tramwajowi... Po drodze wysiedli na placu Hippodromu, gdzie stał wysoki egipski obelisk. Panowie poszli kupić w sklepiku coś bardzo męskiego, jak sznurowadła czy pastę do butów, a obie siostry przysiadły na stopniach obelisku. Ze szko-

ły, która się koło placu znajdowała, wysypało się kilka tureckich uczen-nic, miały na sobie normalne, granatowe sukienki i czarne fartuszki, włosy splecione w warkoczyki. Obsiadły obie siostry, pytając po turecku, jakiej są narodowości. Lilka domyśliła się, o co im chodzi, i powiedziała: - Lechistan. - Na to małe Turczynki rzuciły im się na szyję, powtarzając z entuzjazmem: - Lechistan, Lechistan! -

Było w tym coś pięknie wzruszającego. Widocznie uczyły się w szkole o wspaniałym geście Wielkiej Porty, która nigdy nie chciała uznać rozbioru Polski.

100

Słynna świątynia Aja Sofia to było też nie lada przeżycie. Kupuła wielkiej bazyliki, wsparta na czterech gigantycznych filarach, kapala od złocen i złoconych wersetów Koranu. Bizantyńskie anioły na murach zamalowane były z wyjątkiem skrzydeł, które, skrzyżowane, tworzyły dziwną i niesamowitą ornamentykę. W ścianach zostały wnęki po dawnych ołtarzach, w których wisiały modlitewniki tureckie. Te ołtarze bez świątków, z miejscem jakby zarezerwowanym dla boskiego tchnienia, robiły wielkie wrażenie i Lilka zaraz szepnęła Madzi do ucha, że tylko przed takim pustym ołtarzem będzie mogła się naprawdę modlić. Przed jednym z nich klęczał jakiś wierny i bił głową o dywan, wstał, wykonał

kilka głębokich ukłonów, co Madzi żywo przypominało „system Mullera” uprawiany wraz z Tatą co dzień rano - po czym ze zgorszeniem i oburzeniem spojrział na „nieczyste stworzenia”, które śmiały wtargnąć do miejsca przeznaczonego tylko dla mężczyzn! Na chórze obie siostry dojrzały szereg kobiet z zasłonami na twarzach; spoglądały w dół poprzez drewniane rzeźbione kraty, tak jak Żydówki w bóżnicach. Siostry - stropione okropnym wrażeniem, jakie tu robiły na wiernych - wyszły z uczuciem, że popełniły jakieś świętokradztwo. Koło Meczetu ujrzały sadzawkę.

Przed tą sadzawką pielgrzymi i żebracy, w biblijnych szatach i wielkich turbanach na głowach, zdejmowali sandały, kąpali nogi w wodzie i dopiero z umyтыми nogami, na które nakładali sukienne papucie, wchodzili do świątyni. Gdy przechodzili koło obu sióstr udając, że ich nie dostrzegają, wionęło od nich zapachem olejku różanego i olejku sandałowego. O

tym zapachu „dziadów” pisała później Madzia w swoich wspomnieniach z Konstantynopola w miesięczniku „Pani”:

„Dziady” tutaj pachną tak pięknie olejkiem różanym lub sandałowym, że miałyby się ochotę włożyć ich niby saszetki między czysta bieliznę...

Stojąc przed meczetem i czekając na swoich towarzyszy, ujrzały coś, co znów замуrowało je na moment, bo oto z bocznej, ulicy biegł galo-pem kondukt pogrzebowy. Kilku mężczyzn niosło na kijach duże czarne pudło; gdy dobiegli do szerokich drzwi meczetu, wszyscy razem 101

wraz z trumną zrobili głęboki ukłon i popędzili ze swoim makabrycznym ciężarem dalej. Madzia zapytała Belga - co to ma znaczyć?

- Religia Wschodu - odparł Marcel, który wszystko wiedział, mimo iż nie zaglądał do Baedekera - uważa nieboszczyka za rzecz „nieczystą”, która nie ma prawa wstąpić w progi świątyni, a tylko może jej oddać głęboki ukłon.

- Wspaniała religia - rzekła Lilka - bo cóż to jest ciało po śmierci, jak nie zużyta i potargana szata, którą się w momencie skonu zrzuca z siebie. Nasza religia, która czci i składa hołdy ciału zmarłego, zaprzecza tym samym istnieniu duszy.

- A jednak i ich religia - odparł Moor - nie jest pozbawiona czci, którą składa zmarłym, czego najlepszym dowodem są wspaniałe mauzolea sułtanów, które same zobaczycie.

Z meczetu Aja Sofia całe towarzystwo poszło piechotą do Wielkiego Bazaru. Jaś miał polecenie zakupu kilku cennych dywanów dla poselstwa polskiego w Bukareszcie, inaczej byłby bał się wprowadzić swoją żonę w tę krainę największych pokus. Tu dopiero wstępowało się w sam środek bajki z „Tysiaca i jednej nocy”. Każdy kramik obwieszony był

perskimi i tureckimi dywanami, niekiedy rzadkiej i niezwyklej piękno-

ści. Ich wzory, w kolorach starych witraży, oświetlone „były z góry wschodnimi latarniami o barwnych szybkach, w każdym kramie znajdował się w tyle mały pokoik, w którym przyjmowało się klientów. Stał

tam miniaturowy stolik, inkrustowany masą perłową, i leżały stosy skó-

rzanych haftowanych poduszek, na których się gości sadzało. Momentalnie zjawiały się na stoliku miedziane kubki z wrzącą kawą po turecku, karafka z wodą i konfitury. Gościnność tureckich handlarzy była wręcz niespotykana, można było przerzucić cały kram, targować się pół godziny, wypić kawę, zjeść cały słoik konfitur, wyjść nic nie zakupiwszy i nigdy człowiek nie był narażony na jakieś nieuprzejme słowo lub przynajmniej zagniewany wyraz twarzy kupca. Wznosił w górę ręce, zaklinał

się na Allacha, że za proponowaną cenę nie może sprzedać dywanu, ale gdy klienci mieli już całkiem na serio odchodzić, załamywał się, wybiegał

102

za nimi, wciągał ich z powrotem do kramiku, i wzdychając ciężko, sprzedawał im towar za ćwierć wymienionej na początku sumy. Idąc wzdłuż tej zaczarowanej, uroczej krainy kobierców, gdzie oprócz dywanów były też różne okropne kicze *made in Germany*, gdzie po drodze potykał się człowiek o siedzących w kuczki handlarzy wonności, którzy za kilka piastrów sprzedawali w małych pudełeczkach: ambrę, olejek sandałowy i różany, natknęli się na urzędnika polskiego konsulatu, pana Lityńskiego, znanego Starzewskiemu z Bukaresztu. Ten pan Lityński, elegancik w za krótkich spodniach i za wysokich obcasach, dystyngowanie łysiejący, zgrywał „Polaka na Wschodzie”, który - jako dobrze obeznany z obyczajami tego kraju - czuł się w obowiązku pouczać turystów z Polski, w jaki sposób mają się zachowywać wobec tej tureckiej h o ł o t y . Na każdy *Sziraz*, *Karamani* czy inny *Gardes* i *Tebris* spoglądał krzywiąc wąskie usta i. trącąc w bok Starzewskiego. ciągnął ich w inne miejsce:

- Zostawcie już mnie wybór dywanów dla poselstwa, bo ja się przynajmniej na tym znam. Ta hołota wpakuje wam byle co za wygórowaną cenę, trzeba ich znać tak, jak ja ich znam.. - Z handlarzami rozprawiał

po turecku, rzucał w kąt kramiku skórzane pufy, które Madzia chciała koniecznie kupić, wrywał Lilce z ręki różańce z drzewa sandałowego, pięknie rzeźbione.

- Nie kupujcie, panie, tych paskudztw, to przecież nic niewarte, szkoda pieniędzy!

Lilce, która miała artystyczne oko. spodobała się bardzo stara hafto-wana makatka; kupiec chciał za nią dziesięć funtów. Lityński ocenił ją okiem znawcy.

- To może pani kupić, tylko trzeba się potargować...

- Zaproponuję mu funta.

- Nie, to znowu śmieszne... to jest stara makatka, warta kilkanaście funtów. Niech mu pani zaproponuje siedem...

- Nie dam mu więcej jak jednego funta - upierała się Lilusia.

- Gdyby ją oddał za pięć, to sam bym ją nabył.

Całe towarzystwo wraz ze „znawcą” Wschodu poszło naprzód, a Lilka zatrzymała się przy upatrzonej makatce. Nie wiadomo, jak przemówiła do handlarza, czy zaczarowała go swoimi wielkimi, niebieskimi oczami, dość że oddał jej tę makatkę za funta, tak jak od początku postanowiła.

103

Lityński był wściekły i rozgoryczony - przedmiot, który Lilka nabyła prawie darmo, przedstawiał dużą wartość.

- To niesłychane! Jak pani to zrobiła? Przecież gdybym był wiedział...

Lilka wobec ludzi skromnych była od nich jeszcze bardziej przyciszo-na i skromna ale, wobec pyszałków była pełna dumy i pychy.

- O, proszę pana - rzekła wydymając malutkie usta w kształcie ser-duszka - nie takich mężczyzn się zdobywało, jak ten Turek i nie takie rzeczy jak ta makatka, może pan być pewien.

Od tego czasu pan Lityński poczuł do niej głęboką antypatię. Bardzo wiele osób nie lubiło Lilki, byli to zwykle ludzie drobniejszego kalibru, którzy nie mogli znieść tego, że im ktoś imponuje i nad nimi góruje, wcale tego nie chcąc i nawet starając się w ich towarzystwie maskować swoją odrębność i niezwykłość, jak to Lilka nieraz czyniła. Skarżyła się na to Madzi, którą znów wszyscy bez wyjątku adorowali.

- Mnie ludzie na ogół nie lubią, bo ja jestem typem astenicznym, a ciebie lubią, bo jesteś pyknikiem. Żebyś mogła dojść do twojej wagi i zmienić typ na pykniczny, tobym miała u przeciętnych ludzi o wiele więcej sympatii.

Wszyscy ci trzej panowie kręcili się więc koło tłusciutkiej Madzi, prawiąc jej komplementy i kupując kwiatki, a Lilka szła obok - bajecznie samotna, ze swoją piękną duszą pod ramię. Powodzenie miała tylko u obcych przechodniów w czerwonych fezach, którzy, ocierając się o nią w tłumie, szeptali jej jakieś czułe słowa - znaczenia ich domyślała się po intonacji głosu - i oglądali się

za jej niezwykłą urodą, poetyczną i po-wiewną, jaką akcentowała długimi szalami, opadającymi z kapelusza woalami koronkowymi i pelerynami jasnego koloru, w które lubiła się otulać.

Obu siostronom przyszła ochota, aby któregoś wieczoru pojechać do starej dzielnicy Konstantynopola, Galaty.

- Nie radzę państwu - ostrzegali ich „Polak na Wschodzie” pan Lityń-

ski. - Nic łatwiejszego jak zostać tam dźgniętym nożem albo wciągniętym 104

do bramy jakiegoś starego domu i obrabowanym doszczętnie. Poza tym nie wiem, czy wam wiadomo, że to jest dzielnica zamieszkała w pierwszym rzędzie przez dziewczęta uliczne...

- Właśnie, właśnie... my chcemy to zobaczyć! - pisnęła Madzia.

- Ze mną nie potrzebujecie się niczego obawiać - zaśmiał się Belg.

wypinając swoją atletyczną pierś. - Niechby kto spróbował was zaczepić, miazga by z niego została.

Każdy, kto spojrzał na de Moora, wiedział, że to nie żadne czcze prze-chwałki. Ten poczciwy samiec, o sylwetce pieca albo szafy, miał przy tym i odpowiednie mięśnie.

Postanowili więc wybrać się któregoś wieczoru do Galaty wraz z Li-tyńskim jako przewodnikiem. Po eleganckiej, jasno oświetlonej Perze -

ta stara dzielnica z walącymi się drewnianymi domkami przypominała żydowskie miasteczka ze wschodnich stron Polski i gdyby nie resztki bizantyjskich murów, jakaś tajemnicza brama z niepokojąco rozdzia-wioną gębą, można było przypuszczać, że się zwiedza polskie Kresy, a nie Istambuł. Z otwartych drzwi knajp buchało żółte, mętne światło i dochodziły pijackie krzyki.

- Trzymajcie się mnie mocno z obu stron - rzekł Marcel do siostrzyczek - nie wiadomo, co może wyskoczyć z tych zaułków. Na wszelki wypadek wziąłem ze sobą nabity browning.

Lityński - bardzo ważny i czując się tutaj niezastąpiony - robił starego bywalca tych okolic i objaśniał reszcie towarzystwa, w który zaułek mają skręcić, aby się dostać do dzielnicy dziewcząt publicznych. Mylił się i prowadził ich nie tam, gdzie chciał, ale w końcu doszli do celu. Zaułek składał się z samych jednopiętrowych, starych domków drewnianych, z których niejedne waliły się; w oknach siedziały kobiety na sprzedaż, starając się swoim wyglądem zwabić klientów. Jedna ułożyła na parape-cie okna wielkie białe piersi, niby oskubany drób. Inna, siedząc tyłem do ulicy, wabiła gołymi plecami. W jednym z okienek siedziała, oparta łok-ciami o parapet jak o poręcz łoża, piękna blada dziewczyna w jedwabnej sukni, z włosami wysoko upiętymi, w których tkwiła pąsowa róża.

tami znajdowały się też Arabki w cekinach na głowie, o oczach długich, podmalowanych czarną kreską jak u kobiet na egipskich freskach. Z

jakiegoś okienka spoglądała na ulicę mała dziewczynka z dużą kokardą we włosach.

- Jak to, ona też. ta malutka... - z przerażeniem wyszeptała Madzia.

- Amatorska dziewczynka, co? - zaśmiał się Lityński. - Tu gdzieś obok jest cała uliczka takich dzieci... dla starszych panów.

Wszystkie spoglądały ponuro i ze złością na te dwie cudzoziemki, które przysły je tu podglądać. Jedna plunęła w ich stronę, a druga wy-ciągnęła język wyraźnie w kierunku Lilki.

- Niech panie nie zwracają na nie uwagi - rzekł Lityński - bo obrzucą was najordynarniejszymi wyrazami.

Na przyzbie każdego z tych sklepików z żywym mięsem siedziały w kuczki, jak rozdeptane ropuchy, stare wiedźmy, właścicielki owych drobnych przedsiębiorstw. Koło nich, przy każdym z domków, stało w kolejce kilku wojskowych, przeważnie Anglików i Amerykanów. Czekali, kopząc fajeczki lub paląc tureckie papierosy, jak przed publicznymi sza-letami. Anglicy, wysocy, piękni w swoich świetnie skrojonych mundurach, wciskali babce w suche szpony jakieś monety i znikali w czelu-

ściach cuchnącej sionki. Po kilku minutach wracali, zapinając beztrosko spodnie. Na ich miejsce szli następni.

Lilka ze zgrozą spoglądała na to ponure widowisko oświetlone łożo-wymi świeczkami, które stały w każdym okienku. Poetka miłości prze-

żywała takie uczucia jak pobożna karmelitanka bosa. którą by ktoś zmu-sił, aby przyglądała się czarnej mszy.

Obie siostry nie chciały już iść oglądać kramików z małymi dziew-czynkami na sprzedaż. Miały zupełnie dosyć tego, co tutaj widziały. W

powrotnej drodze usłyszały nagle zgiełk, wrzask i tupot pędzących nóg.

Biegący tłum ludzi zepchnął je na bok. To, co ujrzały na jezdni, przeszło wszystko, co dotychczas widziały, bo oto środkiem uliczki biegło kilkunastu nagich młodzieńców, mających jedynie opaski na biodrach.

Na ich głowach zieleniły się wielkie wieńce z liści. Krzycząc głośno, pchali przed sobą na kółkach olbrzymią beczkę. Cóż to mogło oznaczać?

Pochód na cześć bożka Bachusa, zachowany jeszcze z czasów greckich 106

- czy jakaś ludowa maskarada?

- To jest tutejsza pożarna straż ochotnicza - objaśnił im Lityński -

starodawny obyczaj każe im w ten sposób przystrajać głowy wieńcami i biec pędem z beczką wody na miejsce pożaru, który tu zdarza się na porządku dziennym.

- No dobrze, ale dlaczego są prawie całkiem nadzy?

- Nie wiadomo - może, aby nie osłabnąć z gorąca przy gaszeniu ognia...

Lilka po powrocie do swojego ponurego, pustego salonu nie spała do rana. To, co widziała tego wieczoru, przeszło wszelkie jej oczekiwania.

„Po cóż jechać do Turcji?” - właśnie po to, po taką porcję silnych wrażeń.

Starzewski co dzień rano pędził swoją kompanię, aby szła zwiedzać meczety.

- Dziś zwiedzimy meczet Bajazeta - a jutro meczet Soli-mana - mó-

wił przeglądając swojego Beadekera. - Musimy jeszcze zobaczyć meczet

„Achmeta i Mahometa Zdobywcy. „Polecenia godny” jest również, jak chodzi o zabytek, ten najstarszy, jeszcze przez Arabów zbudowany, Arab-Dżami...

Któregoś dnia Madzia zbuntowała się.

- Nie chcę więcej oglądać meczetów! Przecież jak się zwiedziło jeden albo dwa, to ma się zupełnie dosyć, wszystkie są przeważnie jednakowe.

Jaś bardzo się obraził i poszedł sam.

Siostry postanowiły bez panów powłóczyć się po Konstantynopolu.

Oglądały piękne mauzolea sułtanów, te pałace wykładane mozaiką i malowanymi w roślinne motywy kaflami, po których promienie słońca, przedostające się przez zakratowane okna, spacerowały jak złote pajęczki. Straszna cisza panowała wśród tych wielkich czarnych pudeł - sarkofagów, na których u wezłowania leżały turbany zmarłych władców. Na obu siostrach duże wrażenie zrobiło jedno mauzoleum, gdzie obok wielkich sarkofagów stały mniejsze, coraz mniejsze, aż do zupełnie małych, ozdobionych coraz drobniejszymi turbanami. W tej sali pachniało mor-dem.

Siostry wzięły dorożkę samochodową i kazały się zawieźć na cmentarz Eyub. Ten cmentarz, położony na wysokim zielonym wzgórzu, przypominał żydowskie kirkuty: białe, kamienne płyty, z napisami datującymi się od wieków, stały jedne przy drugich, wyglądając z daleka jak ciągnące w górę widma umarłych. Męskie grobowce miały na płytach wyrzeźbiony turban lub fez, a kobiece bukiet róż

w koszyczku lub wazo-nie.

- Jakie to poetyczne - szeptała Lilka - symbol kobiecości - kwiaty!...

Usiadły na najwyższym punkcie na ławeczce, skąd widać było cały.

Konstantynopol i morze Marmara, j Książęce Wyspy wyglądające z góry jak gąbki leżące na niebieskiej miednicy. Z pobliskiego minaretu odezwał się zawodzący głos muezina odmawiającego wieczorną modlitwę...

- No i co z twoim Belgiem - zapytała nagle Lilka - kocha się w tobie?

- Ach, to wszystko nie to - jęknęła Madzia. - Wiesz, Lilusiu, mam wrażenie, że byłam czystą piałą kartką, na której mali chłopcy zaczęli gryzmolić jakieś bzdury... pokreślili, pogryzmolili całą kartkę tak, że nie ma już czystego miejsca.

Madzia pamięta, że Lilka wówczas pochwaliła ją za to trafne porównanie i dodała, aby się nie martwiła, bo przyjdzie na nią jeszcze prawdziwa miłość, która zetrze wszystkie gryzmoły, jak guma do wycierania.

Dziwna rzecz, jak każdy cmentarz nastraja młodych do myślenia i mó-

wienia o miłości. Jest to chwilowy tryumf życia nad śmiercią, w ten sposób się objawiający. Siostry, przytulone do siebie, mówiły jeszcze chwilę o wielkich uczuciach i namiętnościach. Koło nich przechylona na bok stała płyta kamienna z wyrzeźbionym bukietem róż. *Hanum*, która pod tą płytą leżała, zmarła w 1652 roku. Lilka nagle zerwała się, robiąc wielkie, przerażone oczy.

- Madziusiu... zaleciało trupem... nie czujesz? Uciekajmy stąd!

Zwiedzanie Bachczyseraju, pałacu ostatnich sułtanów, zawiodło trochę obie siostry. Bogactwo Wschodu łączyło się tutaj w nieznośny 108

sposób z „kulturą” europejską. Przy wschodnich wazach i najcenniejszych dywanach stały krzesła secesyjne lub fałszywe ludwiki. Stąpając po najpiękniejszych tureckich i perskich kobiercach w papuciach, które się przy wejściu musiało nałożyć na nogi, miało się wrażenie, że nagle w jakiejś witrynce ujrzy się porcelanowy pantofel z napisem „Kopenhaga” albo na ścianie na bezcennej staroarabskiej makacie widoczek z Wenecji przedstawiający Rialto. Paskudna duszyczka ostatniego z sułtanów -

Abdul Hamida pływała w powietrzu, objawiając się jakąś zastrachaną kokieterią w stosunku do mocarstw europejskich. Siostry znalazły się w haremie sułtanek, wykładanym mozaiką i kolorowymi kafelkami, stamtąd wychodziło się na *patio* otoczone arkadami. Wyschnięta sadzawka, pewnie ongiś napełniana wodą różaną, spoglądała obojętnie martwym dnem. Całe *patio* obrośnięte było różami, akacje z ogródków sułtańskich pchały się do środka z nachalnością właściwą tym krzewom. Specjalna atmosfera pamiątek po niedobrych ludziach, których nikt z żywych nie żałuje, drgała w powietrzu, zabijając rzewną melancholię właściwą innym tego rodzaju zabytkom. W tych pałacach Seraju nie było nic wzruszającego, nic chwytającego za serce. Czulo się jak gdyby zapach krwi...

Toteż poetka nie chciała się tutaj dłużej zatrzymać, wołała przejść do pachnących ogrodów sułtańskich, gdzie bluszcze z różami pięły się po starych rozwalonych murach, tworząc na nich najpiękniejsze żywe ara-beski. Ciekawe, że cały ten niesamowity Konstantynopol, tak niepodobny do wszystkiego, co dotychczas Lilka widziała, nie natchnął jej do napisania całego cyklu wierszy o nim. Czy dlatego, że nie przeżyła tutaj żadnej wielkiej miłosnej przygody? Napisała cały cykl wierszy o Paryżu (jedne z najpiękniejszych), pisała o Grecji („Róże dla Sapho”). Komponowała wiersze o Tatrach, o Krakowie, do którego była tak bardzo przywiązana - a o Konstantynopolu ani strofki! A przecież do dziwne miasto nadawało się do tego, aby mu poświęcić cały tomik...

Do poselstwa polskiego przychodził często w odwiedziny mądry i mi-

ły Turek - radca tutejszego MSZ. Podczas wizyty nie zdejmował przez cały czas swojego fezu, co było właśnie oznaką szacunku. Mądrość ludzi 109

Wschodu może właśnie pochodziła stąd, iż nigdy nie zdejmowali nakrycia głowy. Kto wie, czy ciągle trzymanie mózgu w ciepłe nie sprzyjało koncentracji myśli? Przypomnijmy sobie mądrych rabinów, którzy również siedzieli z nakrytą głową, roztropnych starych Żydów w jarmułkach i myckach, Arabów w turbanach... Coś w tym musiało być. Juliusz Kossak nigdy do pracy nie zdejmował swojej małej, haftowanej bośniackiej czapeczki, a Wojciecha nikt inaczej nie widział malującego jak w kapeluszu. Przeczące starodawnym przepisom Wschodu rozporządzenie Khemala Paszy, aby Turkom odebrać fezy i turbany, było bardzo nieroztropne i Lilka, gdy po raz drugi - jadąc z wycieczką do Grecji - odwiedziła Konstantynopol i ujrzała Turków w kapeluszach europejskich, wróciła niezmiernie rozczarowana.

- Ach, to już nie ten Konstantynopol, Madziusiu! Tajemnicze dawniej, zawoalowane kobiety wyglądają mniej więcej jak nasze służące, a Turcy nie różnią się niczym od warszawskich żydowskich kupców i bankierów. W kramikach, gdzie dawniej sprzedawało się tylko różańce, naszyjniki i wonności, wiszą grube błyszczące pończochy *Bemberg!* Nie ma już po co tam jechać...

Odbiegliśmy od postaci sympatycznego Turka z MSZ, który zapalał

wielką sympatią do obu sióstr. Przychodził więc często na pogawędkę, prowadząc ją w języku francuskim, i kiedyś zaprosił je obie na obiad do tureckiej restauracji. Siostry bardzo się ucieszyły. Kuchnia w poselstwie była okropna. Jaś, aby nie chodzić do restauracji, co by przekraczało ich budżet, dawał kucharce poselstwa; pieniądze i ona gotowała im obiady i kolacje. Ta stara Turczynka podawała wszystko, z wyjątkiem zupy, na jednym półmisku: kura pieczona razem z kukurydzą, pilawem i kompo-tem oraz sałatą, tak że mięso trzeba było mądrze wyławiać z natłoku innych dań. Gdy weszli do tureckiej restauracji, miły Turek poprosił o kartę i sam skomponował obiadowe menu: więc najpierw oczywiście pilaw na słodko, w którym tkwiły wędzone ryby, rodzynki, migdały, kawałki mięsa i pomidory. Potem nastąpiło danie, które wprawiło obie siostry w szalone zakłopotanie.

Było ono tak kosztowne, że urzędnik ministerialny sam skromnie zamówił sobie coś innego. Jego możliwości finansowe nie wystarczały widocznie na tak duży wydatek. Zaznaczył, że jest to najlepsza

i najdroż-

sza ich potrawa narodowa i że jest najzupełniej pewny, że będzie im szalenie smakowała. Był to mus z mielonej kury, suto polany masłem i słodką bitą śmietaną. Kto nigdy nie jadł emetyku widelcem, ten nie mo-

że mieć wyobrażenia o smaku tego dania. Biedne Polki dziobały to paskudztwo, tracąc humor z każdym kęskiem. Turek, jedzący sam kawałek wędzonej baraniny, spoglądał na nie z zazdrością.

- Prawda, j a k i e to pyszne! - rzekł uśmiechając się dumnie.

- Nigdy w życiu nie jadłam nic lepszego - skłamała Lilka - ale tego jest tak dużo, że może pan będzie uprzejmy podzielić się ze mną.

Turek ceremoniował się, ale w końcu przystał. Za przykładem siostry to samo chciała uczynić i Madzia, ale Turek nie zgodził się. Założył ręce na piersiach, wznosił oczy w niebo i orzekł, że drugi raz nie przystanie na tego rodzaju poświęcenie. Jako napój kazał podać moszcz, jako że Koran zabrania wiernym picia prawdziwego wina, a na deser „bakławy”.

czyli ciastka francuskie oblane gęsto miodem. Tylko wielka siła woli wstrzymała obie Polki, aby nie zwróciły natychmiast tego kosztownego obiadu. Mocna czarna kawa. „po turecku”. którą Madzia zawsze piła *szeker-jok* (czyli bez cukru), uspokoiła trochę ich wzburzone żołądki.

Zaraz po tym obiadku poprosiły Turka, aby je odwiózł do domu. ponieważ się tak strasznie objadły, że nie są w stanie dłużej przebywać na mieście.

- Ach. tak bym chciała pojechać do Anatolu! - powtarzała Madzia. -

Już dosyć mam Konstantynopola...

- Uspokój się. moje Madziątko - tłumaczył Jaś. - Widziałas tyle pięknych zabytków, zwiedziłaś prawie wszystko, co było godne widzenia.

Kąpałaś się w morzu Marmara, byłaś dwa razy na Wyspach Książęcych -

czego ci się jeszcze zachciewa?

- Ja muszę być w Małej Azji!

111

- Skoro *Madelon* musi - wtrącił się Belg z uśmiechem - to powinni-

śmy spełnić jej żądanie.

Jaś wobec tego poszedł się dowiedzieć, jak przedstawia się sprawa otrzymania biletów na jazdę do Anatolu. Wrócił tryumfujący.

- Nic z tego - rzekł. - W Armenii jest jeszcze wciąż stan wojenny i nikogo z turystów tam nie puszczają, chyba ze specjalną misją.

- Zaręczam wam - rzekł de Moor - że ja otrzymam pozwolenie dla siebie i dla was.

- Dlaczego pan miałby otrzymać, skoro nikogo tam nie puszczają? - zdenerwował się Starzewski.

Tajemniczy Marcel przyszedł po godzinie z zakupionymi do Anatolu biletami. Otrzymał też od tureckiej policji glejt, aby wszędzie, gdziekolwiek się, zjawi wraz ze swoim towarzystwem, był otaczany specjalną opieką. Od tej chwili Jaś spoglądał na niego z podziwem i szacunkiem i tak samo jak Lilka i Madzia zadawał sobie pytanie, kim jest ten tęgi jegomość, z którym się tak wszędzie liczą? Był nie tylko tęgim jegomościem, ale również i jakąś „grubą rybą”. Słynna kolej bagdadzka.

której sama nazwa brzmiała tak fascynująco jak dla młodzieży

„Skarby Golcondy”. „Świątynia Salomona”. „Ofir”. „Królowa Saaba”. „Wielki Kalif” lub „Namioty Wezyra”, nie przedstawiała się zbyt imponująco. Skład pociągu był niewielki, wagony z przedziałami, do których się wprost wchodziło z peronu. Publiczności, na skutek wstrzymania ruchu między Konstantynopolem a Małą Azją. było bardzo niewiele. Madzię i Lilkę mimo to rozpieierała duma, że oto jadą koleją bagdadzka w stronę Dalekiego Wschodu. Kto wie, może ten pociąg się tak rozpędzi, że nie stanie w Anatolu, tylko polecą dalej, do samego Bagda-du?...

W pewnej chwili pociąg minął drogowskaz, na którym wielkimi literami

było

wypisane:

EUROPA-AZJA.

Siostry

z

wrażenia

ścisnęły się za ręce.

- Zupełnie jak koło majątku cioci Urszuli w Poznańskim - rzekła Madzia - gdzie na rozstajnych drogach napisano: Wągrowiec-Skoki.

Pamiętasz?

112

-

Azja - szepnęła rozmarzona Lilka - Azja...

Pociąg sunął wzdłuż bezludnych obszarów wyschniętych żółtych pól.

Na horyzoncie majaczyły góry kawowego koloru.

- Mapy szkolne nie kłamały - zauważyła Madzia. – Azja była na nich zawsze wymalowana w żółtym kolorze.

Wśród złotawej pustyni ujrzały nagle rzecz niespodziewaną i zdumiewającą. Był to olbrzymich rozmiarów bardzo naturalistyczny posąg żyrafy. Kto to dziwo postawił, w jakiej epoce i na jaką pamiątkę - nie dowiedziały się. Za oknami pociągu pejzaż zmienił się nagle, przeradzając się w jakąś orgię wybujałej flory - olbrzymie kwiaty, a potem okrągłe twarze melonów i arbuzów ocierały się o boki pociągu i zagłądały do okien. Nie wiadomo było, czy te rośliny rosły dziko, czy też sadiła je ludzka ręka, bo w dalszym ciągu nie widziało się wkoło żadnej ludzkiej istoty. Po kilku godzinach jazdy zaczęły się zarysowywać wysokie góry.

zielono-żółte. na krętych serpentynach pojawili się ludzie. Siostry ujrza-

ły jakąś kobietę jadącą na osiołku, owiniętą w błękitny burnus. Rumaka prowadził za uzdę pielgrzym z wielkim kijem z zakręconą rączką.

- Popatrz, Madzia! - wykrzyknęła Lilka. - Matka Boska ze świętym Józefem ze sztychów naszej starej Biblii!

Pociąg wtoczył się na małą stacyjkę. Była to Brussa - cel ich podróży.

Na stacji ujrzeli dwóch tureckich policjantów na koniach. Mieli na głowach białe fezy, nad ustami czarne wąsiska, a na czołach wypisaną powagę sytuacji. Zasalutowali Belgowi i oświadczyli, że, otrzymali instrukcję, aby eskortować ich aż do hotelu, ponieważ w mieście trwa jeszcze stan wojenny i cudzoziemcom grozi niebezpieczeństwo.

- No i widzisz, moje Madziątko - mruknął Starzewski. - Czy nie lepiej było siedzieć sobie spokojnie w Konstantynopolu?

- Nienawidzę s i e d z i e ć s o b i e , potrzebuję silnych prze-, żyć.

W całej Brussie był tylko jeden europejski hotel-pensjonat, prowadzony przez Niemkę, panią Bauer. Owa dama z początku nie chciała za nic otworzyć, dopiero gdy Marcel przez „judasza” pokazał jej swoje 113

dokumenty, wpuściła ich do środka. Była przerażona. Oświadczyła im,

że nie ma nic w domu do jedzenia, i mrużąc, że to nie jest pora na przyjazd turystów do Brusy, zaprowadziła ich do gościnnych pokoi.

Pani Bauer dała im na kolację herbaty i sucharków. Po zachodzie słońca nie wolno było wychodzić

na ulicę, co ogłoszono zakazem poli-cyjnym. Marcel powiedział, że ich to nie dotyczy i wszyscy troje, gdy się zupełnie ściemniło, wyszli na miasto.

- Weźmiemy się wszyscy razem pod rękę. tak będzie bezpieczniej

- zaproponował Marcel. Za nim w przyzwoitej odległości szło dwóch cywilów w fezach.

- Nie mamy się czego obawiać - rzekł uśmiechając się - jesteśmy pod dobrą opieką. - W tym samym momencie za ich plecami gruchnął

suchy strzał i natychmiast odezwał się gwizdek policyjny. Koło nich jak widmo przesunął się jakiś Grek czy Armeńczyk z wygolonym łbem. w długim białym burnusie. Do szerokiego rękawa błyskawicznym gestem wsunął błyszczący sztylet. Stanęli koło straganu z owocami, oświetlone-go blaskiem świeczki. Winogrona i figi były tam do nabycia za bezcen, za kilka piastrów. W żółtym świetle łojówki błyszczały wokół czarne oczy pod białymi turbanami, wyraz ich był okrutny, a zarazem beznadziejnie smutny - coś jak oczy misiów w zoo. Jakieś żółte suche ręce wyciągnęły się z niemą prośbą o kilka piastrów.

- Pilnujcie portfeli - rzekł Belg. - No. a teraz dość tej niebezpiecznej zabawy, wracamy do domu. - Musieli znów długo dobijać się do drzwi willi pani Bauer, nim jej zestrachana twarz ukazała się w „judaszu”. Siostry zajęły jeden wspólny pokój, panowie - drugi. Przypominał on go-

ścienne pokoje w dworach, na wsi u ciotek. Pachniał jabłkami, myszami, miał u okien kretonowe firaneczki. Przez zakratowane okno wpłynęło powietrze wschodniej nocy, przesiąknięte zapachem róż, jaśminów i wędzonego mięsa. Góry z księżycem nad nimi wyglądały jak teatralna dekoracja. Powietrze rozdarł nagle miłosny wrzask kota.

- Gdyby nie ten swojski głosik - rzekła Lilka – miałabym wrażenie, że to jakiś inny glob, na któryśmy się przypadkiem dostały.

114

- W każdym bądź razie jesteśmy w Azji! – rzekła Madzia. - Można pęknąć z dumy!

Nadszedł czas, kiedy według swojego planu Starzewscy mieli jechać do Sofii do poselstwa polskiego, gdzie ich zaprosił przyjaciel Jasia, poseł

Grabowski.

- Lilka chyba pojedzie z nami? - zatroszczyła się Madzia.

- Też pomysł! - odparł jej mąż. - Lilka nie jest wcale proszona i wróci sobie spokojnie do Bukaresztu.

- Jak to? sama?!

- Lilka nie jest dzieckiem i da sobie doskonale radę. Nie można Grabowskim przywozić jeszcze

jednej osoby, kiedy zaprosili tylko nas.

Im się nie przelewa i jedna osoba więcej może uczynić różnicę w ich budżecie.

- Przecież mogłaby zamieszkać w jakimś hotelu.

- Ciekaw jestem za co - odparł ironicznie. - Wiem, że Lilka ma już tylko pieniądze na powrotną drogę.

Madzia zamilkła strapiona. Była teraz typową osobą, o której pisało się w paszporcie: „przy mężu”. Nie śmierdziała groszem, pachniała tylko olejkiem sandałowym, który sobie kupowała w małych pudełeczkach od ulicznych sprzedawców.

Lilka miała ochotę jechać do Sofii, ale Jaś odparł jej oschle, że już zakupił dla niej na ten sam dzień, w którym oni mieli wyjechać, bilet okrę-

towy do Konstancy. Biedna Lilka liczyła na to, że de Moor zostanie z nią i że pojedą razem, ale Marcel oświadczył, że ma interes w Sofii i że stamtąd przez Bukareszt wróci do Belgii. Było rzeczą najprostszą, aby Lilka jechała z nimi razem do Sofii i tam przesiadła się na linię bukareszteń-

ską, ale Jaś urządził wszystko tak chytrze; aby „kochanka” Madzi, o któ-

rą był tak szalenie zazdrosny, przestała wreszcie zatruwać mu życie. Na dwa dni przed odjazdem wszyscy troje przenieśli się do hotelu, ponieważ w poselstwie miano przeprowadzać generalny remont., Madzia była bardzo niespokojna, jak ukochana siostra wróci sama do Bukaresztu, i na kilka godzin przed odjazdem poprosiła męża, aby zadzwonił do Towarzystwa Linii Okrętowej, czy stateczek z Konstancy już wyjechał i czy nie będzie miał jakiegoś opóźnienia. Starzewski posłusznie zadzwonił i 115

z uśmiechniętą twarzą zakomunikował siostrze, że statek wypłynął i że nazajutrz w południe stanie w Złotym Rogu.

Madzia miała łzy w oczach, żegnając się z siostrą, szczególnie że w jej źrenicach ujrzała smutek i lęk.

- Nie bój się najdroższa, Kura dzwoniła do Towarzystwa Okrętowego i powiedzieli, że statek już wypłynął z Konstancy. Przecież ja bym cię nigdy tak nie zostawiła samej, ale cóż, nie mam nic do gadania, jestem bez grosza i Kura o wszystkim decyduje...

- Prosiłem *attaché militaire*, żeby się Lilką do chwili wyjazdu opiekował - rzekł Starzewski - i żeby ją odwiózł do portu.

- Nie potrzebuję, dam sobie radę sama - rzekła Lilka wyniośle i chłodno pożegnała się ze szwagrem.

W pociągu Madzia siedziała milcząca i struta.

- Czy aby na pewno powiedzieli ci - spytała męża - że statek jest w drodze?

- Z całą pewnością, możesz być spokojna, a w ogóle mogłabyś na chwilę przestać wciąż mówić i myśleć o Lilce.

- A o kim mam myśleć, może o tobie? - odcięła się.

- *Voyons, Madeleine* - odezwał się Belg - trzeba być rozsądną, przecież Lilka nie jest dzieckiem, da sobie radę.

Wszyscy jej wciąż powtarzali, że „Lilka nie jest dzieckiem”. A ona przecież nieraz czuła się matką swojej niezwyklej siostry i jej odpowiedzialną opiekunką. Lilka była takim cudnym tchórzem: gdy ujrzała sta-do krów na szosie, chowała się przed nimi do rowu. W Konstantynopolu, gdy spotkała na schodach groźnego skorpiona, o mało że nie spadła ze stopni z wrażenia. Nie jadła ryb, ze strachu przed ośmi, i rydzów, bo wśród nich mogły być te trujące, kosmate. I takiego oto cudnego, delikatnego tchórze ona, jej opiekunka, musiała zostawić w groźnym, obcym Konstantynopolu, gdzie na każdym kroku młodą, ładną Europejkę mogło spotkać coś przerażającego. Łakome oczy, łakome łapy namiętych Turków! Pamięta przecież doskonale, jak kiedyś, gdy stała sama przed witryną jubilerską czekając na Marcela, jakiś tłusty Turek z czarnymi wąsami wziął ją pod ramię, przycisnął mocno do siebie i zaczął palcem

pokazywać jej kosztowności, dając do zrozumienia, że chciałby ją sobie za taką cenę kupić. Na szczęście w tym momencie nadszedł de Moor.

Jaś widział, że jego żona straciła humor i siedzi zamyślona, więc zaproponował, aby przeszli do wagonu restauracyjnego, przy kieliszku wina zapomniała o Lilce. Widoki, które oglądała teraz z okna wagonu, oderwały ją od tych ponurych rozmyślań. Pociąg przejeżdżał wzdłuż panoramy gór Bałkanu, które, puste, srogie, śmiertelnie poważne, przypominały Madzi powiększone zdjęcia z księżycowego globu. A potem zaczęły się pola różane sięgające daleko w horyzont - morze róż.

Po Lilkę przyszedł nazajutrz w południe uprzejmy *attache* i samochodem poselstwa zawiózł ją do portu, gdzie dowiedziała się rzeczy naj-straszniejszej, a mianowicie, że statek nie tylko że jeszcze nie wypłynął z Konstancy, ale nie wiadomo było, kiedy zawinie. Starzewski skłamał

więc paskudnie i zostawił ją świadomie bez pieniędzy i opieki w groź-

nym obcym mieście! Sytuacja była wręcz tragiczna. Lilka napisała do swojego męża, Pawlikowskiego, aby jej przysłał pieniądze do poselstwa w Bukareszcie: przy sobie miała zaledwie kilkanaście funtów. *Attaché*, zapowiedziawszy jej, że musi na tydzień wyjechać w góry na polowanie, cmoknął ją w rączkę, zsalutował i szybko zwiął bojąc się może, iż będzie chciała pożyczyć od niego pieniędzy.

- Musi pani co dzień telefonować do portu, czy statek nie przybył -

rzekł na pożegnania - Tu panują takie dzikie stosunki, że nigdy nie wiadomo, kiedy statek przybędzie. Może przyjść i za tydzień...

Lilka została więc zupełnie sama. Być samemu na obczyźnie z pieniędzmi -• to nic strasznego, ale

znaleźć się bez nich - to groza i niepokój, o czym nie mogą mieć pojęcia ci, którzy tego nie przeżyli.

Roztrzęsiona i rozgoryczona powróciła do hotelu. Postanowiła kazać sobie podać coś do jedzenia w pokoju, ponieważ sama nie byłaby się odważyła zejść do sali restauracyjnej. Zadzwoiła na kelnera, który po chwili zjawił się w numerze. Uśmiechając się uwodzicielsko, przyjął

117

skromne zamówienie i wcale nie myślał odejść, po czym zaproponował

jej spędzenie z nim razem nocy. Lilka zrzekła się skromnego posiłku, tłumacząc mu w różnych europejskich językach, że już jej się odechciało jeść i że pragnie tylko spoczynku i samotności. Turek „robił jednak Greka” i dopiero gdy Lilka zbliżyła się do dzwonka, znajdującego się przy drzwiach, zrozumiał, że chce zawezwać pomocy, i w końcu, wzruszając ramionami, wyszedł. Głodna położyła się do łóżka, zamknawszy drzwi na klucz. Nad ranem zbudziwszy się poczęła się zastanawiać nad sytuacją, która bynajmniej nie była wesoła. Bez pieniędzy można by doskonale wytrzymać, gdyby nie żołądek, który zupełnie jak pies w oznaczonych godzinach dopomina się o żarcie, i to bardzo gwałtownie, nie dając człowiekowi spokoju. Dla owego żołądka-psa trzeba było w jakiś sposób zdobyć pieniądze. Na szczęście miała brylantową broszkę (ślubny dar Mamidła) w formie półksiężycy. Poszczególne brylanty z owej broszki postanowiła sprzedać, ponieważ innej rady nie było. Dziwny był ten zbieg okoliczności, że właśnie w kraju, którego godłem był półksiężyc, broszka w kształcie półksiężycy miała ją uratować od głodu i nędzy. Czy przyszło jej to wówczas na myśl - nie wiemy. Ale za to możemy być pewni, iż pomyślała, że dobra Matka w ten sposób przysłała swojemu dziecku w tej tragicznej sytuacji na pomoc. Mamidło bardzo kochało tę broszkę.

którą dostało od Wojteczka, i pewno z wielkim poświęceniem oderwało ją sobie od piersi wówczas, kiedy poetka drugi raz wychodziła za mąż.

Lilka wydłubała jeden z większych brylantów i zadowolona ze swojego pomysłu wyszła na miasto. Kupiła sobie orzeszków, trochę cukierków i wstąpiła na kawę do jednej z tych małych tureckich kawiarenek, gdzie ze skrzyżowanymi nogami na poduszkach siedzieli, nie zwracając na nikogo uwagi, poważni brodaci prorocy w turbanach, odurzeni dymem z

„nargilów”, które przechodziły z rąk do rąk i z ust do ust bez żadnej obawy zakażenia. Miły szmer bulgocącego w karafkach narkotyku i mocna czarna kawa, oczywiście „po turecku”, podziały na nią rozweselająco i podniecająco. W dzielnicy Pera pełno było małych jubilerskich sklepów.

118

Do jednego z nich wstąpiła Lilusia z brylantem zawiniętym w bi-bułkę. Handlarz długo oglądał go przez lupę, w końcu ocenił kamień tak nisko, że Lilkę przeszedł dreszcz oburzenia. Poszła do innego sklepu, gdzie właściciel ocenił go jeszcze o kilka funtów mniej. Sprzedała więc brylant pierwszemu. Miała pieniądze na dwa dni pobytu w Konstantynopolu i na zapłacenie hotelu.

Co drugi dzień odbywało się to samo: rano Lilka wydłubywała z broszki następny brylant, szła z nim do handlarzy, którzy - zmówiwszy się między sobą - dawali jej ceny coraz to niższe. Do restauracji

nie chodziła wcale, żyła tylko owocami, kawą i słodyczami, które były bardzo tanie.

Chodziła co dzień do najbliższych meczetów, modląc się przed pustymi niszami, aby statek z Konstancy wreszcie przybył, co stało się w końcu, ale dopiero po t y g o d n i u. Na tym brudnym małym stateczku przyczepił się do niej jakiś policyjny agent, któremu ta samotna młoda cudzoziemka wydawała się mocno podejrzana, tym bardziej że pozwolenie na pobyt w Konstantynopolu nielegalnie przedłużyła sobie o tydzień, co skonstatował badając jej zagraniczny paszport. Na szczęście w Konstancy w porcie poznał ją jakiś urzędnik policji, który - widując obie siostry z de Moorem - zaświadczył, że ta młoda cudzoziemka nie jest żadnym szpiegiem, ale zwykłą turystką. Tylko dzięki temu Lilka została zwolniona spod niepokojącej opieki agenta.

Mamidło opowiadało później zrozpaczonej Madzi, że Lilka, wróciwszy do Krakowa po tych wszystkich przejściach, wyglądała niczym „pielgrzym z Dobromila”, była obdarta, wychudzona, spalona od słońca, a w oczach miała jeszcze żal i przestrasz. Brakowało jej tylko pielgrzymiej opończy, kostura i worka na plecach.

- Jakiście mogli z Jasiem zostawić ją samą w Konstantynopolu bez pieniędzy i bez opieki! - oburzali się rodzice.

- Przecież Jaś przysięgał mi, że statek z Konstancy jest już w drodze

- chlipała Madzia przez łzy.

- Ach, co za łotr i kłamca! - dosadnym wyrażeniem ulżył sobie Wojciech, przygryzając pięknego wąsa. - To samo już by mi wystarczyło, aby się z nim rozejść!

119

Po tym wypadku cała rodzina, z wyjątkiem „baranka, który łagodzi grzechy świata” - Mamidła, była zdania, że Madzia powinna jak najprę-

dziej rozwieść się ze swoim mężem, o czym i ona marzyła po kryjomu.

Wiedziała jednak, że to przestępstwo popełnione na Lilce wypływało wciąż z jego nieograniczonej miłości do żony, że powodowała nim zazdrość, która tak często zaćmiewa umysły, i że na pewno nie przypuszczał, aby statek mógł się opóźnić do tego stopnia. W każdym bądź razie jej przywiązanie do Starzewskiego zaczęło się pruć, a raczej pękać i puszczać oczka jak nylonowa pończocha; daje się ją wprawdzie do repa-sacji, ale wiadomo, że jak raz zacznie oczka puszczać, to już nie ma rady, wkrótce zrobi się „szeroka droga” i wtedy trzeba sobie kupić nową parę.

Rozdział V

OJCIEC I CÓRKI

Po Konstantynopolu Madzia siedziała całą jesień grzecznie w Bukareszcie przy mężu, nie mogąc mu jednak zapomnieć pozostawienia wówczas Lilki samej. Na święta Bożego Narodzenia mieli oboje przyjechać do Krakowa. Wigilia na Kossakówce była zawsze wielką uroczysto-

ścią, do której cały dom przygotowywał się już dwa tygodnie naprzód.

Rodzina badała siebie nawzajem, co by chciała za prezenty otrzymać na Gwiazdkę, po czym wyjawione życzenia szły zwykle w zapomnienie i otrzymywało się zupełnie coś innego. Dziewczynki, gdy były małe, dostawały stale od którejś z ciotek czy też od Babci „Pana Tadeusza” z ilu-stracjami Andriollego i miały tych jednakowych tomów po kilkanaście sztuk. Służba też dostawała prezenty, a w sklepach wystawiano specjalne podarki gwiazdkowe „dla plebsu”, które miały za zadanie rozjaśnić ich ciemny żywot, chociaż były zawsze w kolorach buropopielatych lub brą-

zowych. Jakżeż wesolutko powtarzało się słowa „frontem do szarego człowieka!” i... kupowało się służącym bure majtasy bawełniane, ciem-noszare rękawice, szpakowatego koloru szale. Panie w okresie przed-

świętecznym wchodziły do sklepów galanteryjnych, mówiąc: - Proszę mi pokazać coś taniego na prezent dla służącej - i wówczas usłużna sklepo-wa pokazywała to, co miała najlichszego i najmniej kolorowego.

Tylko Lilka, która zawsze postępowała inaczej niż wszyscy, kupowała służącym kolorowe jedwabne bluzki, kupony sztucznego jedwabiu w kolorowe desenie i barwne chusteczki na głowę.

- Jak ona będzie w tym wyglądała, moje dziecko?! - mówiła Manusia wzruszając ramionami. - W głowie jej chcesz przewrócić.

121

Każdego roku niezmiennie ta zacna matrona przygotowywała przed Wilią miski z „delikatesami” dla służby. Kładła do nich jabłka, orzechy, pierniki i figi. Daktyle, mandarynki i prasowane rodzynki-malaga były za kosztowne dla „drugiego stołu” i przeznaczano je tylko dla państwa.

Przed kolacją wigilijną Mamidło szło dzielić się opłatkiem ze swoim personelem, wręczając im owe siwoszpakowate prezenty owinięte w bibułkę. Służba doskonale w y t r e s o w a n a (jak to się wówczas mó-

wiło) pięknie dziękowała „jaśnie pani”, całowała w rączkę, pełna wdzięczności za pamięć i dobroć. Za nią wpadały wieczorowo ubrane panienki, całowały służące w białe czoła, wygotowane od kuchennej pary, wręczając swoje dary i łamiąc się z nimi opłatkiem. Największą jednak radość sprawiało w kuchni zjawienie się p a n a, który uznawał

tylko dary w formie brzęczącej. Tatko, który był samym ciepłem i samą serdecznością, obejmował każdą z niewiast służebnych i całował w policzki, gdy któraś z nich była młoda i przystojna, to przy okazji pod-szczypywał w okrągłejsze części ciała, śmiejąc się przy tym chwacko i junacko, na co Mamidło mówiło: - Mój Wojteczku *plus de tenue*. - Ma-ma bardzo pilnowała, aby do stołu wigilijnego zasiadało osób do pary, bo inaczej mógł ktoś z biesiadników w ciągu roku przenieść się do wieczności. Kiedyś na tym tle zdarzyła się zabawna historia. Było to wówczas, kiedy nagle i niespodziewanie zjechała na Kossakówkę przed samą Wigilią jakaś siostrzenica, młoda mężatka.

Gościnne Mamidło, nie mogąc jej z domu wyprosić postanowiło kolację wigilijną zjeść samo w swoim pokoju, aby mimo wszystko osób było do pary. Żadne namowy nie pomogły i Mama kazała sobie nakryć u siebie w pokoju. Po chwili wpadł do niej rozpromieniony Tatko.

- Manusia! - zawołał od progu. - Możesz śmiało usiąść z nami. Ja-dwinia przyznała mi się, że jest w poważnym stanie.

- Ale co to ma do rzeczy, mój Wojteczku?

- Jak to co - odparł Wojtek z całą powagą - przecież ona przedstawia teraz jak gdyby dwie osoby, więc jak ty przyjdiesz, to akurat będzie do pary, a gdybyś nie przyszła, to temu dziecku mogłoby przynieść pecha...

122

Na taki argument Mamidło, które było fanatyczną wielbicieleką dzie-tek, natychmiast wstało i uśmiechając się siadło na swoim zwykłym miejscu.

Na uroczystość wigilijną cała rodzina od najdawniejszych czasów ubierała się wieczorowo, a Tatko nakładał smoking, w którym wyglądał

najpiękniej.

Podczas drugiej wojny światowej bywał często na Kossakówce Artur Maria Swinarski, już dawniej z Madzią zaprzyjaźniony. Przez pierwszy rok wojny Arturek przychodził co środa na obiad do pani Kossakowej, która potrafiła i w tych ciężkich czasach skomponować dla tak miłego gościa obiad z czterech dań, z przystawką i leguminą.

Przed Wilią 1939 roku Wojciech rzekł do Artura: - Mam nadzieję, że pan przyjdzie do nas na Wilię, bardzo będziemy panu radzi.

Arturek, który uciekł z Gdyni w jednym ubraniu i jednym czerwonym swetrze, odparł, że trudno mu będzie przyjść na tę uroczystość, ponieważ ma tylko to ubranie, w którym ciągle chodzi.

- Ach, głupstwo! - wykrzyknął Wojciech. - Proszę sobie nic z tego nie robić.

Arturek, przyszedłszy tego wieczoru, ujrzał wszystkie panie wystrojone, ale za to pana domu w sportowym samodzielnym ubraniu, w pumpach i ciemnowiśniowym swetrze. Arturek nigdy mu tej subtelności nie zapomniał i chętnie o tym zdarzeniu nieraz opowiadał.

Tatko miał taką naturę, że gdy kogoś lubił - to prawie że go kochał, a gdy nie lubił - to go nieomal - nienawidził. Nie znał fałszu, dyplomacji, był w swoich uczuciach tak szczery i bezpośredni jak w swoim malarstwie. Starzewskiego od początku nie lubił, a teraz, po tym jak postąpił z Lilką w Konstantynopolu, prawie że znienawidził. Smutna i kwaśna była ta Wilia na Kossakówce w 1923 roku. Nie mogąc młodszej córce życzyć, aby się jak najprędzej rozstała ze swoim mężem, Tatko pocałował ją tylko w czołko bez słowa, po czym, zasiadłszy do stołu, od razu zasłonił

się świętym numerem IKC-a ku wielkiemu niezadowoleniu 123

Maniusi. Lilka siedziała chmurna, Jaś Starzewski, czując się w tej rodzinie obcy i niekochany, siedział smutny i jakiś zmięty mimo smokinga, tylko Madzia starała się zabawiać wszystkich swoimi kawałami, co jej się nie bardzo udawało. Nazajutrz rano przy śniadaniu Tatko rzekł do młodszej córki w ten sposób:

- Wiesz, Magdusiu, natknąłem się dziś przypadkowo na twojego mę-

ża w łazience i pomyślałem sobie: „Co ten obcy pan w piżamie robi właściwie w moim domu?”

Madzi na te słowa zrobiło się bardzo ciężko na duszy. Wychodząc za mąż za Karasia - wbrew woli swego Ojca - uczyniła jakiś wyłom w przyjętych na Kossakówce obyczajach. Przecież Tatko był domowym dyktatorem i zwykle robiło się tylko to, czego on sobie życzył. Nie cierpiał na przykład muzyki nowoczesnej, więc fokstroty puszczało się na gramofonie, dopiero gdy on wychodził z domu. Nie cierpiał tak zwanych „patara-fek”, do których włączał również fotografie rodzinne w ozdobnych ramkach - Mama zatem wynosiła posłusznie patarafrki z salonu do swojego pokoju.

Gdy skrytykował nową suknię którejś ze swoich córek, ta więcej jej na siebie nie kładła. Gdy spojrzawszy zza gazety rzekł nagle: - Nie podoba mi się twoje uczesanie! - Madzia lub Lilka natychmiast biegły prze-czesać się. Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jaki terror wywiera na nas człowiek, którego nade wszystko kochamy! Więc jak zrobić teraz z tym mężem, który się Tatce tak bardzo nie podoba? Zdjąć ze siebie jak suknię czy kapelusz i nigdy więcej nie włożyć? Ale jakie to trudne i ile siły woli, ile złego serca na to potrzeba! Popłakiwała więc biedna po kątach i modliła się do św. Antoniego, który - zajęty odnajdywaniem kluczy pani Kossakowej - nie miał czasu udzielać rad młodszej córce.

Ach, ten Tatko, cóż to była za straszna konkurencja dla tych wszystkich mężów i adoratorów jego córek. Bo któż mógł iść w porównanie z jego wdziękiem, dowcipem i musującą inteligencją? Któż potrafił z takim szykiem i elegancją nosić frak, ubranie sportowe albo starą, powa-łaną farbami bonzurkę? Kto potrafił z taką fantazją nosić kapelusz nasunięty na jedno oko i kto umiał pokazywać życie swoim córkom z takim 124

smakiem i taką zachętą w oczach, jak kelner podający gościowi wyszukaną zakąskę na wielkim półmisku? - Popatrz, Magdusiu, spójrz tylko na ten koloryt! - Panny, przestańcie kłapać i popatrzcie stąd na łańcuch ośnieżonych Tatr! - Czasem były to rzeczy zupełnie błahe, jak pies, który spał w słońcu, chociaż muchy mu chodziły po nosie, albo dwa wróble wydzierające sobie kawałek bułki. A czasem nawet... kiełbasa. - Popatrz, Magdusiu, czy widziałaś kiedyś coś podobnego! a powąchaj! - Wszystkiemu, co przynosił do domu, dodawał smaku, barwy i radości życia. -

Lilus, spójrz na to wino, popatrz na nie pod światło, teraz przeczytaj sobie datę. Cooo? Śniło ci się kiedy, że będziesz piła takie wino!? - Poza tym był żywą encyklopedią i pamięć miał niesłychaną. Gdy któraś z có-

rek chciała wiedzieć jakąś historyczną datę albo jak się kto ubierał w dawnej epoce, albo co jeszcze napisał pisarz, który ją zainteresował swoją książką - nie potrzebowały zaglądać do Larousse'a, tylko

biegły do Tatki, on wiedział wszystko najdokładniej w świecie. Ale też chyba nikt nie czytał tak dużo jak on, do końca swojego pięknego życia połykał

dziennie jedną książkę. Czytywał zresztą wciąż: przy śniadaniu, obiedzie, kolacji, w pociągu, przy gościach, a także wówczas, kiedy Manusia zanadto zaczynała głądzić. Gdy nie malował, nie widywało się Tatki inaczej jak z książką. Nie czytał tylko w teatrze, na wycieczkach górskich, które pasjami lubił, i... w czasie gdy był bardzo zajęty jakąś damą. Pamiętamy, jak kiedyś, przyjechawszy z młodszą córką do pewnego majątku ziemskiego w Wielkopolsce, od razu po przywitaniu poszedł do biblioteki, wyszukał tam sobie jakąś książkę, która go zainteresowała, i najspokojniej w świecie, jak gdyby był u siebie w domu, rozsiadł się w fotelu i zagłębił w lekturze, izolując się od całego świata. Goście zaproszeni, by poznać „mistrza” Kossaka, nie mogli zrozumieć, jak ten okrzyczany zdo-bywca serc i światowy bywalec może się w ten sposób zachowywać! Ten niezwykły człowiek miał różne swoje słabostki, między nimi tę, aby jego młodszą córką, po rozejściu się z pierwszym mężem, wyszła bogato za męża.

125

- Bo i co będzie z tą biedną Magdusią, jak ja oczy zamknę! Magdusia, Magdusia, ja truchleję na myśl, co ty poczniesz, gdy mnie zabrak-nie... Lilka ma swojego Pawlikowskiego... ale ty, biedne dziecko...

- Będę zarabiała piórem.

- Nonsens. Zosią Szczucką nie będziesz. A nie znasz powiedzenia

„głodny literat”?

- Przecież zarobiłam już nieźle kilka razy, chociażby na mojej pierwszej książce.

- Dziwne, że mimo to zawsze mnie naciągasz. Radzę ci dobrze się zastanowić, nim dasz kosza temu poczciwemu Stasiowi.-

- Kiedy on mi się wcale nie podoba, drogi tatko...

- Ja go wolę tysiąc razy od Starzewskiego, no a przy tym ten majątek.

Było to zresztą nastawienie wszystkich ojców w owej epoce i Tatko nie był żadnym wyjątkiem. Czy to był szlachcic, czy mieszczanin, czy chłop - każdy myślał podobnie. Mamidło było wręcz innego zdania i uważało, że w małżeństwie najważniejszą rzeczą jest obopólne uczucie.

- Dobrze Maniasi gadać - śmiał się Wojteczek - gdy złapała kurę, która jej co dzień znosi złote jajko.

- Ale wychodząc za ciebie za męża, nie wiedziałam, czy będziesz tak dobrze zarabiać...

- Miałaś nosa i już!

Tatko był przez szereg lat pod panowaniem swojego szofera Hieronima, który pochodząc ze wsi Balice, majątku Radziwiłłów, był uderzająco podobny do Janusza Radziwiłła. („My robimy ich, a oni robią nas” -

jak mawiał pewien hrabia). Hieronim naciągał Tatkę więcej niż najpiękniejsze flamy.

- Mam kłopot z Hieronimem - mówił Wojteczek - bo on nie życzy sobie, abyście tak często przyjeżdżały do mnie do Warszawy. Mówi, że robicie nieporządek i zalewacie łazienkę.

Podczas wspólnych jazd autem Hieronim decydował, czy podczas deszczu wolno podnosić budę od „Kadulaka” (jak nazywał auto marki

„Cadillac”), czy też należy poczekać, aż przestanie padać.

126

- Panie nie są z cukru, nic im się nie stanie. A to jest robota budę podnosić. Przejedziemy tę chmurę i będzie po krzyku.

Decydował również, w jakim miejscu auto zatrzymać, gdy któraś z córek chciała na chwilę zażyć samotności. Udawał wówczas, że jest esteta, który szuka pięknych widoków.

- Pani Madzia sobie poczeka, nie pali się. Jak wjedziemy na górę, to się zatrzymamy, tu brzydki pejzaż, a z góry będzie ładny widok na Tatry.

Czasem na „ładny pejzaż” czekało się i pół godziny, ale Hieronim był

twardy i nieustępliwy jak głąz. Tatko w ostatnich latach przed wojną mieszkał stale w Warszawie w „Bristolu”, gdzie, miał na piątym piętrze obszerną pracownię z kilkoma małymi pokoikami, za którą płacił dyrekcji „Bristolu” bajorąbką na owe czasy sumę 500 zł miesięcznie. Ponieważ

„pan” Hieronim nie chciał spełniać niższych posług, więc Tatko zmuszony był trzymać służącą. Służącą miała być obowiązkowo ładna i młoda i musiała przejść przez ręce pana Hieronima. Gdy mu była oporna, wyla-tywała ze służby na drugi dzień. Jedna z nich z płaczem skarżyła się Madzi, że pan szofer chciał ją zniewolić, a gdy mu się oparła, powiedział, że ją wydali, bo „o służbie nie ma pojęcia”.

Przez jedno lato Tatko z Hieronimem i Madzią, już wówczas rozwódką, jeździli „Kadulakiem” po całej Wielkopolsce, zatrzymując się w róż-

nych znajomych dworach. Ta trójka wszędzie była mile widziana, ponieważ po ich wyjeździe zawisał na ścianach starego dworu jakiś „ułan z dziewczyną” jako rewanż za kilkudniową gościnę. Zamożni obywatele zamawiali sobie u „mistrza” Kossaka swoje konterfekty naturalnej wielkości - przy koniu, na koniu albo na tle własnej stadniny. Wszystkie ziemiańskie damy kochały się w pięknym Wojciechu, a ich służące w jego wspinałym szoferze.

Jeżdżąc, jak to Wojciech mawiał, „rzemiennym dyszlem”, zajechali również do najpiękniejszego

majątku w Poznańskim, gdzie był olbrzymi zwierzynek pełen sarn i rogaczy oraz park, a w nim trzy poetyczne stawy, na których rosły lilie wodne i pływały łabędzie. Właściciel majątku, wdowiec około pięćdziesiątki, miał pięcioro dzieci i wielkie wystające zęby, które wciąż pokazywał w niepotrzebnym uśmiechu. Madzia - głaskana 127

wzrokiem starszego pana, karmiona szpakami, jarząbkami i kuropatwami, oblewana najlepszymi winami i nalewkami - tyła i pomалу prze-istaczała się w tłustą sahibę, bardzo smaczny kęs dla chudego i kości-stego pana domu, który - zresztą nie marząc jeszcze wówczas o tym, aby te przysmaki mogły mu przyspać w udziale - starał się jej dogadzać wspaniałą i wyszukaną kuchnią. Bezpieczne rozkosze stołu, z których co najwyżej można utyc, ale nie można mieć dzieci ani tych innych okropności, jakich się młode kobiety tak bardzo obawiały - odpowiadały Madzi chwilowo najbardziej. Leżała na leżaku wystawiając twarz do słońca i czekając, aż pieczone gołąbki same jej wpadną do gąbki, co też czyniły.

Największą przyjemnością w tych wielkopolskich dworach były pierwsze śniadania. O godzinie dziewiętej rano odzywało się dyskretne „puk puk” do drzwi.

- Proszę! - odpowiadało się na to trochę sennym, ale radosnym głosem, jak do kochanka. Do pokoju wchodziło czyściutkie dziewczę słu-

żebne, z długimi warkoczami, niosąc na srebrnej tacy wszystkie marzenia łakomczucha, a więc: dzbanuszek mocnej kawy i puchatą śmietankę w garnuszku, cieniutkie kromeczki chleba i domowej, bułki, różowe języki szynki westfalskiej, pasztet, dwa jajka na miękko, plasterki wspaniałej wiejskiej kiełbasy, serek z kminkiem lub szwajcarski, pęczek rzodkiewki dla ożywienia kolorytu tej żywej martwej natury i babkę droż-

dzową. Bardzo często dodawano do tego skrzydełko indyka na zimno lub kawałek pulardy. Tak było w pierwszych dwóch dniach.

Gdy pobyt gościa przedłużał się, z tacy zaczynało znikać to i owo. Gdy zostawała tylko szynka i wiejski chlebek oraz kawa, gość powinien był

zrozumieć, że jego pobyt w owym eldorado jest już przeciągnięty i przy obiedzie winien poprosić o rozkład kolejowy, a potem o konie na stację.

Gdy jednak nie potrafił tego zrozumieć, państwo domu rozpoczynali sami rozmowę o komunikacji i o tym, jakim pociągiem gość najlepiej dostanie się do miasta.

Kiedyś, gdy Madzia nie tknąwszy jeszcze śniadania podeszła do okna, aby zrobić kilka ćwiczeń oddechowych, usłyszała jakiś szmer. Obejrzała 128

się i ujrzała widok niezapomniany: koło jej śniadania kręciła się oswojona sarenka, wypita mleko z dzbanuszką, atlasowym pyszczkiem skubnę-

ła bułkę, uszczknęła kawałek kiełbasy. Madzia wstrzymała oddech, aby jej nie spłoszyć. Posiliwszy się sarenka krokiem baletnicy wybiegła z pokoju przez nie domknięte drzwi. Niełatwo było opuścić

dwór, gdzie była taka dobra kuchnia i gdzie zwierzęta przychodziły na śniadanie.

Hieronimowi również ze wszystkich zwiedzanych dotychczas majątków ziemskich spodobał się najbardziej ten, ponieważ tam były najlepsze polowania, a on był zaciekłym myśliwym. Dumał, dumał, jak by tu zrobić, aby pan dziedzic jak najdłużej ich zatrzymał, i w końcu wymyślił.

- Proszę pana profesora - rzekł do Tatki (zwykle tak go tytułował) -

ja uważam, cobyśmy tu zostali...

- Jak to Hieronim rozumie?

- Ano po prostu. Pani Madzia jest rozwódka - pan Konstanty wdowiec. A niechby się pobrali. Majątek, jest piękny, pan dziedzic - człowiek starszy, długo nie pociągnie, a nasza pani Madzia byłaby panią całą gęb-

ką. A jakie pan profesor by tu miał pejzaże, ho, ho, to nie to, co pod Warszawą! Ja bym sobie polował, jaśnie pan malował, fajno by było!

Wojciech najpierw bardzo się uśmieł, ale ziarenko zasiane przez Hieronima zaczęło pomału kiełkować. Właściwie to dlaczego nie - myślał

kochający Ojciec. - Magdusia miałyby do końca życia zapewniony do-brobyt, piękny dwór, zwierzyniec, łabędzie, no, a że on trochę dla niej za stary i trochę brzydka - to trudno, wszystkiego naraz mieć nie można.

Tylko że ja wcale nie zauważyłem, aby on się miał zamiar o nią starać...

Hieronim rozpoczął teraz dalszą akcję w izbie czeladnej:

- Wasz pan - tłumaczył licznie zgromadzonej służbie - powinien się ożenić. Dzieci nie ma kto wychowywać, tylko te marmozele, majątek pójdzie na marne, tu trzeba odpowiedniej baby, czyli dziedziczki!

- Słusznie mówicie, panie Hieronimie - odparła stara gospodyni. -

Nasz pan powinien się drugi raz ożenić. Ale z kim?

129

Jakoś mu dotychczas żadna nie przypadła do gustu po śmierci nie-boszczki. Taka jedna to aż konno do niego latową porą drałowała trzydzieści kilometrów, ale jakoś nic z tego nie wyszło...

- Ja bym powiedział - ciągnął wolno i z namysłem Hieronim - że moja pani toby do waszego pana rychtyczek pasowała. A wiecie, jaka to dobra pani i jak by wam z nią było dobrze? Niewymagająca, sprawiedli-wa, hojna. Wódkę sama lubi golnąć, to i wam by co dzień dawała, kieł-

basę też. To jest anioł, nie kobita!

Na drugi dzień po tym jego przemówieniu cała delegacja, z kucharzem na czele, poszła do kancelarii pana Konstantego.

- Proszę pana dziedzica – zaczął kucharz - my byśmy sobie życzyli, aby pan dziedzic wziął sobie za żonę tę panią, córkę pana Kossaka. My ją poznali, ona jest dobra jak anioł, o dzieci by dbała i o pana dziedzica też.

My ją wszyscy chcemy za panią!

- A skąd wiecie, czy ona by mnie zechciała? - zaśmiał się pan Konstanty.

- Panie dziedzicu, to się wie - taki majątek? Która by nie zechciała?

Od tego czasu stosunek pana Kocia do Madzi zmienił się z nad-skakującego na pełen adoracji. Ścinał dla niej co piękniejsze róże w swoim parku, a któregoś dnia przyniósł jej cały błam z lisów ustrzelonych w jego zwierzyńcu, z prośbą, aby go przyjęła na spód pod pelisę. Pokazał

jej łazienkę, jaką wymyślił dla przyszłej pani domu, całą z lustrzanych tafli z kryształową wanną, której na razie nikomu nie pozwalał używać, oraz sypialnię dla tej, którą chciał uszczęśliwić, gdzie było dowcipne urządzenie z dwiema elektrycznymi lampkami, za pociśnięciem guzika zaświecającymi się w sąsiedniej sypialni pana domu; zielone światełko miało oznaczać, że pani chce spać spokojnie - czerwone że... niespokojnie. Madzia bardzo się dziwiła, dlaczego jej właśnie to wszystko pokazuje, uśmiechając się przy tym obleśnie i świdrując ją wesołymi jur-nymi oczkami. W końcu oświadczył się jej mówiąc, że cała służba pragnie, aby się z nią ożenił.

- Przyszli do mnie, pani Madziu, z kucharzem na czele, i powiedzieli, że tylko panią chcą mieć za dziedziczkę, he, hi, he! Niech mi pani powie, co ja mam zrobić? I co pani na to?...

130

Madzia doprawdy nie wiedziała, jak ma zareagować. Przede wszystkim zaczęła się bardzo śmiać. Obrażać się nie było powodu, ponieważ wiadomo, że największy komplement, jaki mężczyzna może powiedzieć kobiecie, to oświadczyć się o jej rękę. Postanowiła pomówić o tym z Ojcem.

- Kocio mi się oświadczył! - zawołała wpadając do pokoju Tatki. -

Co ja mam z tym fantem zrobić?

- Wiesz, Magdusia - ja bym się na twoim miejscu zastanowił - rzekł

Wojteczek. - Pomyśl, taki piękny dwór, śliczny majątek... a pamiętajcie, że ja nie jestem wieczny.

- I tato naprawdę by sobie tego życzył? - przestraszyła się Magdusia.

- Dlaczego nie, moje drogie dziecko. Przynajmniej byłbym spokojny o twoją przyszłość.

Miłość Madzi do Ojca była tak wielka, że nawet przez kilka dni przezwyciężyła niechęć i zupełny brak uczucia do właściciela zwierzyńca.

Była dla niego bardzo milutka i dawała wymijające, kokietyjne odpowiedzi. We dworze i w okolicy zaczęto traktować ją niemal jak oficjalną narzeczoną, co ją po trochu bawiło, jako że była jeszcze głupią małą dziewczynką, mimo swoich dwudziestu ośmiu lat. Bawiła ją także myśl, że te rogacze, jelenie, łabędzie i ta oswojona sarenka, która do niej od czasu do czasu przybiegała na pierwsze śniadanie, będą jej własnością.

Dzieci były nieszkodliwe i krótko trzymane przez kilka wychowawczyń.

Ciemną plamą był tylko pan domu, bez którego nie można było osiągnąć tego wszystkiego.

Niezdecydowana powróciła z Ojcem do Poznania, gdzie właśnie z Gdyni przyjechała Lilka. Niepewnie i ostrożnie zaczęła starszej siostrze opowiadać o tych matrymonialnych projektach. Lilka, która pana Kocia знаła ze wspólnego pobytu w Gdyni w „Polskiej Riwierze”, roześmiała się ironicznie:

- Cóż ja ci mam powiedzieć, moja Madziu, potrafisz połknąć żabę to ją sobie połykaj!

Te słowa siostry-poetki zadecydowały o wszystkim. Madzia natychmiast pobiegła do Tatki:

- Tato! - zawołała rzucając mu się na szyję - ja nie potrafię połknąć żaby!

131

- Co ty pleciesz, Magdusia?

- Nie wyjdę za mąż za Kocia i to trzeba od razu dać mu do zrozumienia. W ogóle nie pojmuję, jak nam to mogło przyjść do głowy!

Tatko wcale się nie zmartwił:

- Może masz i rację, Magdusia, bo gdybyś miała być z nim nieszczę-

śliwa... Jeszcze ci się nie jeden taki trafi, a może młodszy i przystojniejszy. To wszystko ten głupi Hieronim narobił. Tylko trzeba tam jeszcze pojechać i wytłumaczyć mu, żeś się rozmyśliła. A za ten błąd lisów, któ-

ry ci ofiarował, wymaluję mu jego portret.

Tą zmianą projektów tylko szczerze zmartwiony był Hieronim i do końca swojego życia nie mógł pani Madzi darować, że pominęła okazję, aby on miał taki piękny majątek i takie fajne polowania.

Rozdział VI

WARSZAWSKIE PREMIERY

Lato roku 1924 znów sprowadziło Madzię do domu. Zaczęła miewać małe temperatury, stanowczo klimat bukareszteńsko-dyplomatyczny szkodził jej na zdrowiu. Jej mała córeczka miała już blisko dwa lata, a nie zaczęła jeszcze mówić, co ogromnie martwiło Madzię i Mamidła.

Kiedys jednak Madzia, pojechawszy na kilka dni do Warszawy, przywiozła stamtąd dziecku małą laleczkę z mydła. Ponieważ przyjechała wczesnym rankiem, więc zastała małą Renię śpiącą w swoim łóżeczku. Wyglądała jak skrzyżowanie jabłka z amorkiem. - Czemu - pomyślała przyglądając się dziecku - sen nigdy nie maluje dorosłym takich kolorków na twarzy? - Pocałowała ją delikatnie i podsunęła jej pod nos mydlaną laleczkę. Dziecko otwarło niebieskie oczy, trzepnęło stonogą jasnych rzęs -

i rzekło najwyraźniej w świecie: - TO MYDŁO! - Madzia z krzykiem radości poleciała do Mamidła.

- Mamo, mamó, Reksia umie mówić, powiedziała: „to mydło”! - Mamidło rozplakało się ze szczęścia, że jej wnuczka nie jest niemową. Od tego czasu gadała jak stary. Pokazało się, że już od dawna umiała wiele słów, tylko na złość udawała, że nie umie mówić. Ku radości rodziny, biegając koło stołu, krzyczała tubalnym głosem: - Bułę dać! Bułę dać! -

W nocy niestety gadała też przez sen i na jawie, tak że spanie z nią było męczarnią, przez którą można było wpaść w ciężką nerwową chorobę. A Mamidło było tak uparte, że absolutnie nie chciało, aby ktokolwiek inny spał z dzieckiem, tylko albo babka, albo matka. Mamidło od tych bez-sennych nocy chodziło blade, wychudzone i zapadnięte. Madzia próbowała ją zastąpić, ale po kilku takich eksperymentach zrezygnowała.

Reksunia poza tym, że spała głośno i niespokojnie, budziła się o szóstej lub piątej rano i szła do łóżka babci czy mamy na pieszczoszki, zupełnie 133

jak syjamski kotek. Madzia czuła się tak wycieńczona, że lekarz zalecił

jej dłuższy pobyt w Zakopanem. Jaś bardzo z tego niezadowolony, nigdy nie wierząc w jej choroby, pisze do niej gorzki list, że go dobrowolnie porzuca, że go nie kocha, a on swoją osobą nie da pomiać - „zanadto jestem kimś” - pisze dumnie. ..

Madzia odpisuje mu listem smutnym, ale szczerze w jej stylu: *Wszystko co piszesz to nieprawda właśnie że cię bardzo lubię resztkami sił... słońce w środku człowieka zgasiło radość życia przepadła już mi na niczym nie zależy... chyba na tym kapeluszu u pani „Karoliny”, Baudouin 3 II p. u p. Czyżewskiego...*

Jedzie do Zakopanego do „Mariloru”, gdzie w tym samym parku Tatko wynajmuje od pp. Szczeniowskich, właścicieli całej posiadłości, uroczy drewniany domek. Ma tam swoją pracownię, pełną dywanów, kilimów, tapczanów i poduszek, na tych poduszkach układa swoje modelki... damy z towarzystwa, które mu pozują do jego ognistego temperamentu. Madzia pisze stamtąd do Mamidła chaotyczny list: *Właśnie wracam od wyrwania zęba bo ból zębów to rzecz u mnie pewna i stała więc trzymam się za twarz i kuleję. Ale ten Kurak albo chory albo idiota nic nie pisze ani złamanego słowa. Co my mamy za mężów! Ale za to mamy Mamę i zęby w ogóle rodziców takich że*

tylko twarże lizać. Ale to jest jedyne co mamy no i te talenty. To cudownie że Szyfman był tylko Lilka gapa że go od razu nie poprosiła o zadę. Swoją drogą cicho siedzieć i Panu Bogu dziękować że przyjął tę moją bzdurę.

Mój odczyt odbędzie się we wtorek w Marilorze ale bilety źle idą bo są bardzo drogie - 6 zł. Przeczytam też parodię Grabińskiego z jego zbioru nowel. Stryjeński mówi że to lepsze od Konstantynopola.

Jak widzimy z tego listu, Szyfman przyjął Madzi bzdurę, czyli „Malowaną żonę”, i autorka chciałaby za nią otrzymać zaliczkę, czyli „zadę”.

Wieczór autorski, pierwszy w jej życiu, organizuje Karol Stryjeński. Madzia ma okropne emocje i sukienkę niebieską w popielatą kratkę. Na widowni siedzi miejscowy *high-life* i świat artystyczny, w którym ma samych przyjaciół. Oto Leon Chwistek, jej adorator, Staś Witkacy, Zbigniew Pronaszko, Tomasz Zan, wnuk tego znanego, Zofia Stryjeńska, 134

Tymon Niesiołowski, Wanda Kossecka. Sala wprawdzie nie jest przepel-

niona, ale za to gorąco oklaskuje młodą autorkę. Cały wieczór trwa raptem pół godziny. Madzia pisze o tym wydarzeniu list do męża, który mimo iż ją kocha, popełnia w stosunku do niej błąd za błędem, odpisuje jej, iż jest bardzo z tego niezadowolony i że na przyszłość wyprasza sobie, aby publicznie występowała. „To nie jest stosowne dla żony dyplomaty” - oświadcza kategorycznie. Konflikt bardzo zasadniczy. Jaś dotychczas wcale nie brał na serio wesołych pisanin Madzi i uważał to za chwilowy wybryk „damy z wielkiego świata”, a tu nagle jakieś publiczne występy, jakieś komedyjki, które mają grać w teatrze. To nie było wcale w jego życiowym planie i zupełnie się w nim nie mieściło. Ożenił się z panną Kossakówną, córką sławnego malarza, a nie z jakąś tam Magdaleną Samozwaniec. Między innymi gorzkimi słowami pisze do niej w ten oto sposób:

Za wielka mam siłę wewnętrzną, zanadto jestem mocarny, abym miał dać po sobie deptać. Nie pojechałaś do Zakopanego na kurację, ale dlatego, bo Lilka pojechała, bo chciała się zabawić...

W tym liście grozi jej, że o ile nie zmieni swojego do niego stosunku i będzie dalej lekceważyć sobie jego pracę i karierę, a poza tym będzie go wciąż opuszczała - to *ich stosunek musi i na zewnątrz stać się obcy*, czyli że będą musieli się rozstać...

Lilka i Tatko są uszczęśliwieni.

- Ależ naturalnie, Magdusia, skoro on sam tego chce... oczywiście, że powinniście się rozejść. To przecież nie jest odpowiedni mąż dla ciebie.

Ale Madzia myśli, że zna lepiej Karasia, że kocha ją, biedny, nad życie, że rozejście się z nią byłoby dla niej krwawym rozdarciem serca.

Stawia się tylko biedaczek jak gąsior, który syczy na przejeżdżające auto, ale przecież dobrowolnie nie opuściłby jej za nic. Jest bardzo młoda i szalenie wierzy w męskie uczucia.

- On by umarł beze mnie! - mówi ze łzami w oczach! Poza tym, szczerze mówiąc, żal by jej było

mimo wszystko tak całkiem opuścić ów śmieszny świat dyplomatyczny, przede wszystkim ze względu na zwie-dzanie obcych krajów. Dzisiaj Bukareszt - a jutro Jaś może być mianowany 135

radcą poselstwa w Chinach, Japonii lub w samym... Paryżu. Madzia odpisuje mu dość oschle, że nic by nie miała przeciwko rozstaniu, ale ze względu na dziecko nie powinni tego robić. Że raczej powinni starać się ustępować sobie w wielu rzeczach itd. Do Bukaresztu nie ma najmniej-szej ochoty powrócić. Zakochała się biedna w pewnym rumuńskim dy-plomacie, który jej „rozdarł serce”. Jest to pierwszy w jej życiu romansik i Madzię, jako zupełną nowicjuszkę, dziwi i boli zachowanie się amanta.

Nie może na przykład zrozumieć, że po miłosnych szalach można, jak gdyby nigdy nic, usiąść do nakrytego stolika, jeść, popijać wino i plotkować o znajomych. W książkach przecież „stało” wyraźnie, że taki pan klęczy przed ukochaną i ze łzami w oczach dziękuje za łaskę, której mu udzieliła. A tu nic z tego, żadnych podziękowań, żadnej wdzięczności za

„poświęcenie”, jakie z wielkiego uczucia dla niego popełniła. Ach, ten Daniłowski i Przybyszewski! cóż to byli za blagierzy! Po słynnej *soiree des sardines* u Anglików zazdrosny Rumun zerwał z nią raz na zawsze.

Powiedział: - Pani jest taką kobietką jak wszystkie kobietki, pomyliłem się - i i schronił się na wieś do swojego majątku. Dzisiaj domyślamy się, że po prostu miał dosyć sentymentalnej Poleczki, ale wówczas Madzia winę tego rozstania przypisywała tylko sobie. O tym romansiku nie wiedział nikt w Bukareszcie, ani Jaś, ani stara księżna, ani nikt ze świata dyplomatycznego. Rumun jak na Rumuna był szalenie dyskretny, po prostu bał się awantury z zazdrosnym mężem i na przyjęciach nawet się do Madzi nie zbliżał. Gonili się tylko wzrokiem i spotykali niby przypadkiem przy bufecie. Madzia, uważając to za swoją „pierwszą wielką mi-

łość”, mówi do Lilki, wzdychając: - Co ty i wy wszyscy wiecie o trage-diach miłosnych...

Wé wrześniu Szyfman zawiadamia obie siostry o mających się odbyć próbach ich obu komedii. Najpierw ma wystawić „Malowaną żonę”, a zaraz potem „Szofera Archibalda” Pawlikowskiej. Jedna siostra po drugiej, a więc dla Warszawy bomba i sensacja! Obie siostry pojechały do Warszawy do „Bristolu”, gdzie Tatko właśnie malował wielkie batalistyczne płótna dla Muzeum Wojska na zamówienie dyr. Gembarzew-skiego. Malował również portrety warszawskich pań, z czym miał moc 136

kłopotów, ponieważ chciały się wydać piękne jak marzenie... mężczyzny.

Z jedną z nich, bardzo bogatą i głupiutką mieszczańeczką, miał zabawną przygodę. Damulka ta przychodziła do pozowania z brwiami i rzęsami przesadnie uczerniorzonymi.

- Proszę pani - zażartował Wojciech - na oczy pani wyjdzie mi tyle czarnej farby, która jest bardzo droga, że mąż pani będzie mi musiał za to specjalnie dopłacić.

Nazajutrz dama przysłała bardzo zgnębiona, z oczami równie mocno uhennowanymi jak poprzednio.

- Mistrzu:- wyrzekła w końcu - mój mąż - w tym miejscu głos jej się załamał - powiedział, że ani grosza nie dopłaci panu za tę czarną farbę iii

- tu oczy jej spłynęły ciemnymi łzami – abym wobec tego przestała oczy malować...

Przez pracownię Tatki w „Bristolu” przesuwały się nie tylko piękne kobiety. Coraz to zjawiał się tam któryś z generałów, by zamówić sobie u mistrza Kossaka swój portret. Bywał tam częstym gościem Sosnkowski, Składkowski ze swoją śmieszna, umalowaną żoną, płk Sławek, Rydz-

Śmigły, który kiedyś był uczniem Kossaka w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, i wielu innych. Tatko jeździł też w parę lat po wypadkach majowych do Belwederu malować marszałka na kasztance.

Obie siostry chodziły do Teatru Małego na próby swoich komedii.

Reżyserem „Archibalda” był Karol Borowski, „Malowanej żony” nieoceniony Zelwer. Cudny był, gdy Madzię, siedzącą w pierwszym rzędzie, zapytał z całą powagą, czy jej się takie ujęcie postaci podoba, czy też wolałaby inne. Łagodnie, bez nacisku, radził, aby skreślić niektóre tanie dowcipy, jak na przykład: „idę do mojego kochanego fryzjera Niedziel-skiego, gdzie wiem, że mi włos z głowy nie spadnie” lub coś w tym rodzaju. Wesołe były te próby, podczas których reżyser, aktorzy i sama autorka co chwila wybuchali, można rzec, „nieutulonym” śmiechem. Aktorzy zamiast powiedzieć, jak to się nieraz zdarza, „położymy sztuczkę z bożą pomocą” - robili, co mogli, aby przyczynić się do sukcesu autorki debiutantki. Nieodżałowanej pamięci Mariusz Maszyński robił takie miny, takie śmieszne gesty, mówił Madzine bzdury tak zabawnym tonem, że 137

można było płakać ze śmiechu. To samo Grabowski i Orwid. Madzia trzęsa się z zimna na nie opalanej widowni (jesień tego roku była bardzo chłodna), ale nie opuściła żadnej z prób. Kiedyś wróciła do hotelu z bólem gardła. Miała szum w uszach i czuła się szalenie osłabiona. Lilka zmierzyła jej gorączkę. Termometr wskazywał trzydzieści dziewięć z kreskami. Jak zwykle zjawili się wieczorem ich przyjaciele: Słonimski, Iwaszkiewicz, Wierzyński, Lechoń, Stanisław Wasylewski. Któryś z kolegów skoczył po wódkę i aspirynę, jako że mężczyźni nie znają innych lekarstw. Nazajutrz gorączka podniosła się. Lilka była przerażona. Tatko był wówczas we Lwowie, gdzie urządzał swoją wystawę. A pieniędzy w torebkach obu sióstr - za grosz. Przyjaciele też nie wonili groszem, mieli za to przyjaciół lekarzy z nieprawdziwego zdarzenia, kibiców od literackiego stolika w „Ziemiańskiej”. Słonimski sprowadził jednego z nich, pediatrę, który zapisał Madzi większą dawkę... kalomelu. Leczyli ją jak za czasów Moliera. Jeden przepisał środki przeczyszczające, drugi pijawki. Pewna urocza pani doktor, osoba siedząca po uszy w „estetyce” i kulturze, opukała Madzię, pokiwała głową, po czym do strapionej siostry zatelefonowała w ten sposób:

- Pani Lilo, niech pani do mnie przyjdzie na herbatkę. Mieszkam tak ładnie w alei Róż... mam piękne sztychy, obrazy, angielską herbatę, koniak... Porozmawiamy sobie.

- O Madzi? - zapytała Lilka roztrzęsionym głosem.

- O pani Madzi też, ale przede wszystkim o poezji.

- Ja chcę tylko mówić o Madzi... czy, czy to są może galopujące su-choty?

- Och, mój Boże... to się tak nazywa, ale proszę się zanadto nie przejmować.

Lilka blada, bez słowa, odłożyła słuchawkę. Poszła zaraz do miasta i wróciła obładowana paczkami. Z wymuszonym uśmiechem rzuciła na łóżko siostry piękną krepdeszynową koszulę nocną z koronkami, prze-

śliczny czepeczek z wstążkami, duże pudełko czekoladek i wiązankę róż.

- Masz, masz, moje biedactwo kochane...

Po czym obróciła się do okna i wyciągnęła z kieszeni chusteczkę do nosa.

138

- Rozumiem - mruknęła chora - przyniosłaś mi to wszystko dlatego, żeby mi osłodzić o s t a t n i e c h w i l e , ale mnie się ani śni umierać!

Zatelegrafuj po Mamidło, Mamidło coś nam poradzi...

Słonimski, ten nadzwyczajny przyjaciel, nocował u Madzi na kanapce, w razie gdyby czegoś w nocy potrzebowała. Nieoczekiwana była u tego człowieka, który był na pozór chłodnym mózgowcem, ta troska o swoją „siostrzyczkę w humorze”. Bo gdybyż się jeszcze w niej kochał, ale wszystkim było wiadomo, że Antoni kocha się w dziwnej i zgoła niezwyklej deklamatorce, pani Morskiej (Knasterowej). Zresztą, cóż można wiedzieć o przepastnych krainach męskich serc - potrafią kochać się w kilku kobietach naraz, więc może i w tym wypadku było podobnie.

Słonimski wyglądał wtedy jak rodzony syn dzisiejszego Antoniego.

Ten sam nos, te same duże sympatyczne usta, czoło zajmujące większą część głowy, głos melodyjny i urzekający - wszystko to samo, tylko o trzydzieści lat młodsze. No i dowcip!

Leżał więc ten „mały” Słonimski skulony na hotelowej kanapce, pilnując, aby Madzi - kaszłającej wniebogłosy - podać w nocy lekarstwo, szklanek lemoniady lub termometr. Całą noc nie spał, zabawiając ją świetnymi powiedzonkami i paląc jednego papierosa po drugim.

Mamidło, wezwane przez Lilkę telegraficznie, zaanonsowało swój przyjazd na następny dzień. Madzia, powiadomiona o godzinie jej zjawienia się w „Bristolu”, przygotowała już dla niej makabryczną scenkę i gdy strapione Mamidło stanęło w drzwiach jej pokoju, zaczęła bredzić nieprzytomnie: - Co to? kto to? Gdzie ja jestem, co się ze mną dzieje!

Weźcie stąd tego starego pana z brodą! - i dopiero gdy przerażona Mama rozplakała się, niepoprawna figlarka zaczęła się śmiać zarzucając Mamie ramiona na szyję.

Mamidło sprowadziło do niej zaraz lekarza z prawdziwego zdarzenia.

Był to lekarz wojskowy, specjalista od chorób płucnych, jakaś wschodzą-

ca sława.

Wyciągnął Madzię z łóżka, kazał jej się rozebrać do naga jak rekruto-wi stojącemu do asenterunku, posadził ją przed oknem na krześle i za-czął badać skrupulatnie. Skonstatował zapalenie opłucnej, ostry bron-chit, osłabienie serca. Bojąc się, czy nie ma tbc, zarządził odpowiednie 139

badania. Gdy w dwa dni później nadszedł ich wynik, ani Mamidło, ani Lilka nie miały odwagi otworzyć koperty. Obie, drżąc ze strachu, namawiały jedna drugą, aby to uczyniła, zupełnie jak w wierszu „Dziad i baba” („Ty otwórz, ty kochanie - ty pierwszej - dość już tego!”). Koperta z wynikiem, na szczęście ujemnym, przeleżała się na stoliku hotelowym przez dwanaście godzin i dopiero lekarz otworzył ją. Kazał pacjentkę co wieczór owijać w mokre prześcieradła, dając jej jednocześnie pić kwiat li-powy na poty. Zabronił palić papierosy i zakazał palaczom przebywać w jej pokoju. Skończyły się więc wizyty kolegów i uroczne noce spędzane w towarzystwie Antoniego Słonimskiego, nieodmiennie warującego na hotelowej kanapce.

I znów dzielne Mamidło uratowało życie jednej z córek. Starszą -

wówczas w Konstantynopolu - brylantowym półksiężycem, młodszą -

sprowadzeniem mądrego lekarza. W tydzień później Madzia, interesują-

co blada, gorączkująca tylko w niektórych porach dnia, zjawiła się u

„Lija” na obiedzie. Starzewski, zaniepokojony brakiem wiadomości, wpadł nagle i niespodziewanie do Warszawy. Gdy Madzia ujrzała go w drzwiach swojego pokoju, o mało że z powrotem nie dostała czterdziestu stopni gorączki. Przekonała się w tym momencie nie tylko, że wcale nie jest do niego przywiązana, ale że nawet wzbudza w niej odrazę. Małżeń-

stwa bardzo często trzymają się przez miłość u jednej ze stron, a litość u drugiej - w pewnej chwili jednak litość raptem przemienia się w nienawiść i wówczas łańcuch małżeński pęka bezpowrotnie. Gdybyż ten biedny Jaś był wówczas zachował się inaczej, ale on, wściekły, że tu coś przeciwko niemu knują, zazgrzytał złymi słowy (bo zębami „zgrzytają” tylko grafomani) i zapytał brutalnie: - Masz w końcu zamiar powrócić do Bukaresztu czy nie? - wcale nie przejął się chorobą żony i, rozwaliwszy się w fotelu, zaczął kopcić papierosy.

Wówczas Mamidło łagodnie, lecz stanowczo poprosiło go, aby ze swoim papierosem wyszedł na korytarz, co wzmogło jeszcze jego wściekłość. Madzia z Lilką uknuły sobie wówczas projekt, że po premierze obu sztuk pojedą na Południe. Aby mąż Madzi na to się zgodził, trzeba było ordynacji lekarza.

140

- Panie doktorze - prosiła Madzia - niech pan powie mojemu mę-

żowi, że ja muszę jechać na Riwierę, inaczej wpadnę w gruźlicę.

Mądry lekarz uśmiechnął się i poważnym głosem oświadczył Starzewskiemu, że jego zdaniem pani Magdalena powinna na kilka miesięcy-

cy wyjechać na Południe. - Inaczej nie ręczę, czy nie rozwiną się u niej tuberkuły.

Jaś spojrzał na lekarza, jak gdyby go chciał zamordować. Więc nawet i ten przyzwoity na pozór człowiek był w mafii przeciwko niemu! A wszystko robota tej niegodziwej Lilki.

- Nie mamy pieniędzy na tego rodzaju eskapady - mruknął ponuro.

- Będę miała kupę pieniędzy z mojej sztuki - pisnęła Madzia - od ciebie nie potrzebuję ani grosza.

W jakiś czas później miał powiedzieć, że gdyby nie zarobki Madzi, to ich małżeństwo nigdy nie byłoby się rozleciało. - To było moje nieszczę-

ście! - dodał załamując ręce.

Po tym jego typowo mężowskim powiedzeniu możemy sobie wyobrazić, jakimi niewolnicami były ówczesne żony, z których niewiele pracowało zarobkowo. Ich posagami zazwyczaj rozporządzał mąż, żonie wydzielał z tego na dom i stroje odpowiednie kwoty i był panem jej życia i śmierci. Bo gdyby Madzia, nie mając swoich dochodów, wróciła wówczas z nim do Bukaresztu i hulala po balach dyplomatycznych w tamtej-szym karnawale, gorączkując dalej, to byłaby prawdopodobnie wpadła w gruźlicę.

Kompletnie zdruzgotany mąż po chłodnym pożegnaniu z żoną po-wrócił sam do Bukaresztu.

Data prapremiery „Malowanej żony” zbliżała się. Teraz był tylko kłopot z toaletą dla młodej debutantki. Rodzice, którzy wydali moc pieni-

dzy na kurację młodszej córki, niewiele jej mogli poradzić. Madzia po-szła więc po rozum do własnej głowy - potem po rozum do krawcowej i w tych dwóch głowach powstała niezwykła zaiste kreacja. Wierzch był z granatowej gazy, batikowanej przez Madzię własnoręcznie w żółte kwiaty i różowe motyle, spód z atłasu koloru złota. Okropna moda ówczesna nakazywała nosić stan poniżej bioder, a suknię długą do kostek. Była to 141

chyba najbrzydsza moda, jaką kiedykolwiek świat oglądał, i wszystkie kobiety, zatracając naturalne kształty, wyglądały, jak gdyby były w po-ważnym stanie.

Już po pierwszym akcie na premierowym wieczorze odezwały się na widowni tak „tubalne” oklaski, że aktorzy, wzięwszy za kulisami młodą autorkę pod rękę, wyprowadzili ją na widok publiczny. Bładziutka i wychudzona chorobą, wyglądała ha małą dziewczynkę, która nie wiadomo skąd i dlaczego znalazła się nagle na scenie pod gradem oklasków. Było wprost nie do wiary, że to ona, ta niewinna na pozór panienczka, napisała tyle tłustych, sprośnych dowcipów, które przed chwilą padły z ust znakomitych aktorów. Na scenę wniesiono kosze kwiatów tak wielkie, że nieomal zasłoniły drobną postać autorki. W fotelach w pierwszym rzę-

dzie siedzieli rodzice Madzi wraz z Lilką. Maszyński, Grabowski i Orwid wyładowywali z siebie

taki potencjał komizmu, że trudno było nie ryczeć ze śmiechu. Dodawali do tekstów Madzi jeszcze swoje dowcipy, tak że publiczność warszawska dawno już się tak nie bawiła. Rzęsiste oklaski przy podniesionej kurtynie otrzymały również dekoracje Drabika według projektów Madzi. Były one równie formalistyczne jak cała ta farsa, zupełnie do normalnych fars nie podobna. Makuszyński wydrukował w

„Kurierze Warszawskim” o „Malowanej żonie” uroczą recenzję, gdzie w ojcowski i delikatny sposób wytyka młodszej koleżance rubaszną wulgarność jej dowcipów, prosząc, aby na przyszłość starała się tego unikać.

Boy również napisał strofującą recenzję, kończąc jednak wesołym wykrzyknikiem: „A jednak zdolne bestie te Kossaki!” Publiczność warszawska, czytająca przede wszystkim krytyki teatralne Kornela i Boya, powiadomiona tymi recenzjami, że farsa obfituje w rubaszne dowcipy, wali tłumnie na każdy spektakl, tak że przez dziesięć dni „Malowana żona” idzie kompletami. Niestety, w pełni powodzenia musi zejść z afisza, ponieważ Szyfman, nie spodziewając się takiego sukcesu, a raczej przewidując klępkę, ma na teatralnym planie prapremierę drugiej siostry

- „Szofera Archibalda”, w której również gra Włodzio Grabowski.

Sztuczka Madzi, idąc jednak tygodniami na „porankach”, ustępuje miejsca komedii Pawlikowskiej.

142

Towarzystwo wielkiej wzajemnej przyjaźni trwa, przyjaźń ta objawia się i w recenzjach teatralnych, które przyjaciele piszą o debiutach obu sióstr. Leszek, czyli Lechoń, pisze o „Szoferze Archibaldzie” w „Wiadomościach Literackich” w ten sposób:

Pani Pawlikowska chciała napisać zwyczajną sztukę dla zwyczajnego teatru, chyba nie tylko złożyła egzamin, ale po prostu się popisa-

ła. Dała przede wszystkim naszym zawodowym dostawcom lekcję tego, jak się mówi o tym, „o czym się nie mówi”; teatralnie - komedia jej jest po męsku, a po Zapolskiej sądząc, można by powiedzieć - po kobiecemu celowa i na ogół ekonomiczna; a już jak ktoś zrobił ze sta-rzejącej się panny nie farsowego koczkodana, tylko żywą kobietę, zabawną, ale prawie poetyczną - to mi żaden kolega pani Pawlikowskiej ze Związku Autorów Dramatycznych nie wytłumaczy, żeby to nie znaczyło mieć talent pisarski.

Antoni Słonimski w nader pochlebnych słowach wyraża się o farsie Magdaleny „Malowana żona”:

Groteska Magdaleny Samozwaniec - znakomitej autorki „Na ustach grzechu” - nosi wszelkie cechy jej wybitnego humorystycznego talentu.

Magdalena Samozwaniec nie jest satyrykiem: zarówno „Na ustach grzechu” nie było satyrą na Mniszkównę, jak „Malowana żona” nie jest satyrą na malarzy. Magdalena Samozwaniec wybiera sobie tylko tło i temat dla swojego specyficznego drażniącego humoru. Żywiołem jej jest sam najzupełniej oderwany, abstrakcyjny dowcip. I w tej dziedzi-nie mało ma sobie równych.

„Malowana żona” na tle repertuaru swój-skiego jest radosnym i czarującym zjawiskiem...

To pisze najzłośliwszy z recenzentów teatralnych, który pisząc o komedii Krzywoszewskiego „Rusałka”, wciąż się myli i nazywa ją „Uszał-

ka”, a o innej komedii tego samego autora pisze w ten sposób: *Komedia pana... przypomina naczynie nocne - dźwięczne to, błęskotliwe, ale wysiedzieć na tym długo nie sposób...*

Po pochlebnych recenzjach w „Wiadomościach Literackich”, które od początku swego istnienia „stawiały” młodych autorów albo ich kładły na obie łopatki, obie siostry są już przyjęte do grona autorów dramatycznych i odtąd nie będą już miały trudności w wystawianiu własnych utworów scenicznych, chyba że natrafią na dyrektora teatru, który sam jest autorem dramatycznym, a wówczas sprawa może się przedstawiać inaczej.

Lilka po wielkim sukcesie, jaki osiągnęła jej, grana w Krakowie,

„Egipska pszenica”, posłała egzemplarz do Warszawy do Stefana Krzywoszewskiego, który był wówczas dyrektorem teatrów miejskich. Krzywoszewski odpisał jej w tonie ojcowskim, że radzi jeszcze nad sztuką popracować, ponieważ jego zdaniem nie jest ona utworem dojrzałym.

Pawlikowska zachowała w sercu urazę do Krzywoszewskiego i cierpliwie czekała, aż los się za nią zemści, i doczekała się. W nie długi czas potem w „Kurierze Warszawskim” wyczytała następującą wzmiankę:

Stefan Krzywoszewski, znany komediopisarz, uległ przykreemu wypadkowi, otóż syfon z wodą sodową, który stał przy jego łóżku na nocnym stoliku, nagle pękł i szkło dotkliwie poraniło śpiącego.

Tę wzmiankę mściwa Lilusia wycięła i wlepiała ją tuż obok listu Krzywoszewskiego do albumu wszystkich recenzji o sobie, z odrębnym dopiskiem:

Widzisz, stary ośle, to kara za ten list!

Lilka, dbając bardzo o swoje zdrowie, przestała palić papierosy. Pali-

ła tylko i wyłącznie wówczas, kiedy szła na konferencję do któregoś z dyrektorów teatru. Kupowała wtedy pudełko papierosów „korale” z czerwonym ustnikiem, kładła je do złotej papierośniczki i podczas owych rozmów paliła jednego po drugim w ogromnym zdenerwowaniu, aby potem znów nie palić przez kilka miesięcy. O ile do rozmów z dyrektorami teatrów potrzebowała jakiejś specjalnej podniety, o tyle do pisania nie używała ani nikotyny, ani kawy. Mogła pisać wiersze i sztuki teatralne wieczorem po kolacji w rodzinnym gronie, klęcząc na krześle, na które podścielała sobie poduszkę, stawiając maszynę na stole. Śmiechy i rozmowy rodziny zupełnie jej nie przeszkadzały w tworzeniu najpiękniejszych poezji i wspaniałych komediowych dialogów.

- Tylko grafomani potrzebują do pisania ciszy i spokoju -

mówiła.

Świetna była, gdy tak jednym uchem słuchała podszeptów swojego talentu, a drugim tego, co Tatko albo Mamidło mówią, i czasem wtrącała się do rozmowy.

144

Rozdział VII

HANDLARZ ŻYWYM TOWAREM

Z początkiem grudnia 1924 roku obie siostry wraz z wiewiórką wyruszyły w podróż do Francji. Opatulone w futra, futrzane etole i szaliki, wprost nie wierzyły własnym zmysłom, gdy w Genui zastały pogodę majową. Nicea przedstawiała im się jak jakaś barwna reklama Ziemi.

Ciepło, cudowna pogoda, bujna południowa roślinność, najpiękniejsze kobiety świata i najlepiej ubrani panowie, fiołki i narcyzy w grudniu.

Róże pnące się po murach i pukające do okien. Włoch z mandoliną pod oknem. Najwspanialsze hotele, przed którymi na trzcinowych fotelach siedzieli panowie w białych flanelowych garniturach i panie w pięknych wiosennych toaletach.

Obie siostry, aby się upodobnić do nicejskich elegantek, kupiły sobie zaraz białe płaszcze i jasne filcowe kapelusze. Polki, tak samo jak dawniej, można momentalnie rozpoznać z tyłu po tak zwanej przez Wojciecha *bombe à la polonaise*. Madzia, porównując swoją sylwetkę z sylwetkami cudzoziemek, wąskich w biodrach, poczuła się ze swoją krajową *bombe* upośledzona i wręcz upokorzona. Ponieważ szczupłe figury były wówczas stanowczym nakazem mody, więc postanowiła na gwałt odchudzić się. Najwięcej reklamowała się wytwórnia „Clark”; która wyrabiała wyszczuplające gumowe bandaże na biodra, łydki i podbródki oraz polecała odchudzające kąpiele z jakichś specjalnych soli. Kto byłby rano i wieczorem ujrzał Madzię, kiedy cała obandażowana czerwoną gumą uprawiała „przysiady” i „świece” przed oknem, mógłby przypuścić, że w hotelu „Marina” straszy jakaś „czerwona dama” z piekła rodem. Lilka, uważając, że i tak nie dorówna zagranicznym elegantkom, wzruszała tylko ramionami, widząc, jakie tortury zadaje sobie jej młodsza siostra.

Starła się ją mądrymi uwagami odwieść od tych wariactw, a gdy to nie 145

pomogło, poszła do apteki, prosząc tamtejszego starego magistra o jakiś środek na... wzmocnienie mózgu.

- Czy pan nie posiada jakiegoś środka, aby *rendre la raison à ma soeur*? Zawsze miała dosyć miałką głowę, biedactwo, ale teraz tutaj, w Nicei, zupełnie sfiksowała na punkcie odchudzania się...

Na Riwierze nikt się niczemu nie dziwi. Przyjeżdżające tutaj bogate Amerykanki wariowały na różnych punktach. Jedne, te starsze, ubierały się jak podlotki i, wynajmując sobie na cały wieczór młodych fordanserów, szalały na dansingach w modnym tańcu java. Inne traciły całe majątki na grę w ruletę, a inne znów wpadały w ciężkie schorzenia serca, odchudzając się gwałtownie. Magister wcale się więc nie dziwił, dał Lilce dla jej ogłupiałej Riwierą siostry jakiś fosforowy preparat,

który wcale Madzi nie pomógł, za to Lilce dał bodziec do napisania kilku pięknych wierszy.

Ponieważ gumowe bandażę odnosiły tylko chwilowy skutek, więc -

Madzia kupiła kilka paczek odchudzających soli Clarka i zaczęła brać gorące kąpiele, które podziałały tak skutecznie, że od razu straciła kilka kilo, ale równocześnie dostawała jakichś duszności, chwytających ją w nieokreślonych porach, i wówczas nie mogła przełknąć śliny i złapać tchu. Kiedyś wieczorem ów atak był tak silny, że przerażona Lilka postanowiła sprowadzić do siostry lekarza. Była godzina jedenasta wieczór i wszyscy lekarze, do których dzwoniła, w ogóle nie podchodzili do telefonów. Odezwał się tylko jeden, mówiący po francusku z wybitnie angielskim akcentem, że za chwilę przybędzie do chorej. Madzia, wciąż dusząc się, blada, z wielkimi, ciemnymi z przerażenia oczami, włożyła na siebie

„wieczorową” koszulę nocną i slaniając się na nogach, ułożyła się na szezlongu. Po krótkich chwilach oczekiwania zapukano do drzwi i do ich pokoju weszło męskie bóstwo. Bóstwo miało na sobie smoking, było wysokie i tak uderzająco piękne, że Madzi na jego widok od razu zrobiło się lepiej, a po chwili o ataku nie było już mowy. Piękny Anglik, oświadczony, że bardzo śpieszy się na przyjęcie, na które jest zaproszony, 146

z czarującym uśmiechem wysłuchał relacji obu sióstr o dziwnej chorobie młodszej, zapisał jej brom, krople na serce i poradził, aby uprawiała sporty.

- A czy wolno mi się kąpać w morzu? - zapytała Madzia nie odrywając oczu od pięknej twarzy Anglika.

- Oczywiście - odparł młodzieniec spoglądając na zegarek.

- A czy pan nas kiedy jeszcze odwiedzi? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Z największą przyjemnością, ale teraz niestety muszę już iść.

- Co się panu należy, panie doktorze? - zapytała Lilka podchodząc do biurka, gdzie miała złożone pieniądze.

- Ach, głupstwo... nie ma o czym mówić... taki drobiazg. Panie pozwolą, że się pożegnam.

- Ale, panie doktorze, jednak... przecież pan się specjalnie fatygo-wał...

Piękny Anglik zastanowił się na moment, po czym rzekł: - U siebie w domu biorę za wizytę sto franków...

Lilka zadowolona, że wizyta wypadła tak tanio, wyciągnęła z biurka zieloną setkę.

- Gdy idę do pacjenta - ciągnął dalej lekarz - biorę dwieście...

Lilka wyciągnęła z biurka drugą setkę.

- Ale gdy mnie wzywają w nocy, biorę wówczas trzysta franków.

Lilka, tłumiąc westchnienie, wręczyła mu żadaną sumę, którą Anglik obojętnym gestem wsunął do portfela.

- *Goodnight, ladies* - rzekł z ujmującym uśmiechem - i proszę znowu kiedyś do mnie zadzwonić. Możemy się gdzieś razem wybrać na dancing.

Gdy wyszedł, obie siostry wybuchnęły śmiechem.

- A to chytrus - rzekła Lilka - najpierw nie chciał nic wziąć, a potem zdarł z nas skórę. A jak ty się czujesz, Madziusiu?

- Wiesz, że świetnie. Ale to jakiś znakomity lekarz, chociaż taki drogi, musimy koniecznie zadzwonić do niego za kilka dni.

147

Z marzeniami o pięknym Angliku w smokingu - Madzia zasnęła zdrowo i smacznie. Od tego wieczoru jej duszności nigdy się więcej nie powtórzyły.

Hotel „Marina” położony był przy samej Promenade des Anglais, otoczony parkiem pełnym palm, rododendronów i platanów, był mimo swojej świetności hotelem drugiej kategorii i goście, którzy w nim mieszkali, nie należeli do sfer najzamożniejszych. Towarzystwo pensjonatowe składało się przeważnie ze statecznych rodzin angielskich.

Wzruszające były te pary starych Anglików, którzy co wieczór do *diner* przebierali się w wieczorowe stroje. Siwe *ladies* kładły na siebie jakieś mocno przechodzone, dekolowane balowe suknie, ich mężowie smo-kingi, i tak siedzieli sztywno naprzeciw siebie, podsuwając sobie nawzajem, bez niepotrzebnych słów, *hors-d'oeuvres* albo tace z południowymi owocami. Starzy Anglicy, o pięknych, rumianych, artretycznych kolorkach i wysportowanych figurach młodzieńców, ukradkiem zerkali na te dwie przystojne młode Polki siedzące same przy stoliku, ale spotkawszy się z surowym i karcącym wzrokiem swoich małżonek, natychmiast za-lęknieni i zmieszani, spuszczały oczy w talerz, udając, że są szalenie zaję-

ci tym, co się na nim znajdowało. Na obu siostrach robili wrażenie ma-

łych chłopców, którzy tu przyjechali pod opieką angielskich guwernan-tek, nie opuszczających ich zresztą ani na krok. Przed hotelem w rannych godzinach grzeczni starzy chłopcy siedzieli na ławeczkach czekając, aż guwernantka przyjdzie ich wyprowadzić na spacer. Były to jedyne i bardzo krótkie chwile, kiedy można było zamienić z nimi kilka słów.

Jakże wdzięczni byli obu siostrom, gdy przechodząc rzucały im codzienną wiadomość, że „pogoda jest śliczna”.

Najbardziej oczekiwał tej relacji o pogodzie jedyny samotny wśród nich, stary wyranżerowany dżokej. Rozpromieniał się na twarzy poora-nej w mnóstwo kresek i krzyżyków, gdy widział je obie

schodzące ze schodów hotelowego tarasu.

- Madzia - mówiła uśmiechając się Lilka - powiedzże mu, że jest piękna pogoda, bo inaczej będzie miał zepsuty dzień.

148

- *Splendid weather today!* - rzuciła w jego stronę Magdalena.

- *Aoh, yes, aoh, yes, wonderful!* - przytaknął entuzjastycznie. - A czy jadły już panie śniadanie? - Było to pytanie, które zadawał codziennie, gdy już stwierdził, że jest śliczna pogoda. Gdy otrzymał potakującą odpowiedź zupełne zadowolenie zalewało jego twarz i siostry mogły już odejść spokojnie, ponieważ nic więcej nie miał do powiedzenia. Przypominał im pewnego gazdę, który od czasu do czasu przychodził w odwiedziny na Koziniec do starego Pawlikowskiego. Kiedyś, napiwszy się piwa i zakurzywszy fajeczkę, rzekł do Jana Gwalberta te oto słowa:

- E, wicie, panie, tobyk godoł, tobyk godoł - ino ni mom ło cym.

Obie siostry, szalejąc za grą w ruletę, codziennie po południu jechały do Monte Carlo, zabierając ze sobą niewiele pieniędzy, aby nie za dużo przegrać. Kasyno w Monte, założone przez niejakiego pana Blanc, które-go jedna z córek wyszła za mąż za Konstantego Radziwiłła, wyglądało w swojej napuszonej bieli jak cukrowe cacko. Tandetny przepych oszołamiał i wewnątrz: malowane plafony, rzeźbione stiuki, złocenia i dostojne kotary. Gdy się weszło do sal, dochodził stamtąd niepokojący i denerwujący szum kulki biegnącej wewnątrz mosiężnej misy rulety. Wokoło sto-

łów stali lub przy nich siedzieli gracze, z wypiekami na twarzach albo zielonobladzi. Można tam było spotkać różne narodowości świata. Stare babcie, mające swoje „systemy”, drżącymi palcami stawiały na numery pięciofrankowe żetony, po czym skrupulatnie zapisywały sobie te numery, które wygrywały. Krupierzy, lokaje Fortuny, w czarnych tużurkach i białych koszulach, godni i sztywni jak zwykle lokaje z „wielkich domów”, siedzieli na wysokich krzesłach naprzeciwko siebie. Jeden z nich puszczał kulkę, drugi krążkiem wskazywał wygrane i ogłaszał wynik. Od tej figlarnej na pozór kuleczki zależało, czy dany osobnik powróci szczę-

śliwie do kraju, czy też zgrany do suchej nitki - będzie błędził po skalistych brzegach, zastanawiając się, czy ma popełnić samobójstwo, czy też jeszcze raz za pożyczone pieniądze spróbować szczęścia. Pewien polski magnat zatelegrafował pod innym nazwiskiem do swojej rodziny, aby 149

przysłała pieniądze na jego pogrzeb, a otrzymawszy je odegrał się i wró-

cił do Polski. Koło skalistych wybrzeży był specjalny cmentarz samobójców. Groza kasyna w Monte polegała na tym, że tutaj ludzie bez trudu, bez żadnej fadygi, bez wysiłku myślowego - pragnęli zdobyć Fortunę, zmienić swój los na przekór przeznaczeniu albo też powiększyć swój majątek sposobem najłatwiejszym... „A sam czart prowadzi bal, prowadzi bal!” - przypominały się, patrząc na to co się tu działo, słowa Fausta z opery Gounoda. Kiedyś, gdy właśnie obie siostry, zgrane do nitki, stały pochylone nad ceratą z numerami, rozległ się głośny wystrzał, który zatrzęsł całą tą budowlą „z pianki”. Wszyscy wiedzieli od razu, że w podziemiach kasyna, gdzie znajdowały się

toalety zaperfumowane werwą, ktoś strzelił sobie w łeb. Gracze opuścili stoły i zbiegli na dół. W momencie kiedy niewzruszony krupier z martwą twarzą wypowiedział swoje zwykłe *Messieurs, faites vos jeux* - Lilka, bladą jak jej biały płaszczyk, szybko postawiła dwudziestopięć frankowy żeton na zero *en plein*. Zero wygrało i Lilka, zgarnawszy dużą wygraną, pociągnęła Madzię ku wyjściu.

- Dlaczego postawiłaś w tej okropnej chwili na zero? - zapytała Madzia.

- Wiedziałam, że ono wygra - odparła Lilka - ponieważ zero to tak jak nicość - jak śmierć...

Osobą, która wówczas popełniła samobójstwo, była jakaś młoda kobieta; straciła tutaj cały swój majątek.

Kiedyś, podczas owych denerwujących popołudni spędzonych w ka-synie, obie siostry zauważyły grupę młodych Japończyków, którzy rzucali żetony na wszystkie numery. Ilekroć ich numer nie wychodził, wybuchali radosnym śmiechem. Bawili się jak figlarni chłopcy, którzy puszczają na wodę tak zwane „kaczki”. Gdy „kaczka” się nie udała, jeden drugiego wyśmiewał. Zauważyli oni obie młode cudzoziemki, które po przegraniu wszystkiego, co zabierały ze sobą codziennie z Nicei, stały jak głodni biedacy koło wspaniale zastawionego stołu.

- Dlaczego panie nie grają? - zapytał jeden z nich po angielsku.

150

- Nie zabrałyśmy ze sobą dosyć pieniędzy...

- My paniom pożyczymy. Oddacie nam przy następnej okazji - rzekł

jeden z nich, po czym przysunął siostronom sporą kupkę żetonów.

Pożyczanie żetonów na rulecie było rzeczą praktykowaną i roiło się od takich, którzy widząc, że ktoś bardzo wygrywa, prosili o chwilową pożyczkę. Siostry więc przyjęły tę uprzejmą ofertę i natychmiast ją przegrały. Radość młodzieńców nie miała granic, wprost zanosili się od śmiechu, pokazując długie żółte zęby. Zaprosili je na kolację do jakiejś małej przytulnej restauracyjki.

- Słuchaj, Madzia - rzekła Lilka po polsku do siostry - udawajmy, że jesteśmy na diecie; nie ma sensu, aby ci obcy panowie za nas płacili, a przecież my mamy tylko na powrotne bilety do Nicei i ani grosza więcej.

- Dobrze - odparła Madzia - zjemy tylko jajecznicę i wypijemy herbatę.

- Jesteśmy na diecie - rzekła Lilka, gdy jeden z Japończyków chciał

zamówić *hors-d'oeuvres*, a potem jakieś pieczyście. - Nic nie możemy jeść oprócz jajecznicy.

- Jak to, obie? - zaśmiał się jeden z Japończyków.

- Zatruliśmy się rybą.

Młodzieńcy zaczęli ze sobą szwargotać po japońsku, gdzie słowa „ku-ra”, „kakura”, „kuraka” wciąż się powtarzały.

Absolutnie nie chcieli uwierzyć w dietę obu siostr i zamówili cztery porcje pieczonych kurcząt z zielonym groszkiem. Madzia, ten żarłok, boleśnie spojrzała na siostrę, była piekielnie głodna.

- Nie wolno ci tego ruszyć, rozumiesz - mruknęła Lilka.

Zjadłszy więc tylko jajecznicę i popiwszy herbatą, siostry chciały podziękować i wstać, ale uprzejmi młodzieńcy oświadczyli, że odwiozą je pociągiem do Nicei. W pociągu nawiązała się między nimi przyjacielska rozmowa, siostry dowiedziały się, że wszyscy trzej są studentami Sorbo-ny i że do Monte Carlo przyjechali na krótki urlop. Aby im oddać pożyczone pieniądze i zrewanżować się, siostrzyczki zaprosiły ich na drugi dzień do Nicei na obiad. Pogadały z uprzejmym *maître-d'hôtel*, zamówi-

ły doskonały obiadek z zakąskami, winami i owocami, na stole postawiły 151

kilka róż i zadowolone z siebie oczekiwały przybycia tych miłych gości.

Zjawili się punktualnie z pudłami czekoladek pod pachą. *Maître-d'hôtel* postawił na stole tace z zakąskami i nalał wina do kieliszków.

- Jesteśmy na diecie - rzekł poważnie najstarszy z nich - i absolutnie nic nie będziemy jedli, co najwyżej jedno jajeczko i kieliszek wina.

Siostry były zrozpaczone, obiadek kosztował słono, a żaden z młodzieńców nie chciał nic tknąć poza kieliszkiem wina i czarną kawą.

- Zatruliśmy się dzisiaj rano rybą - rzekł jeden z nich, pokazując długie zęby - właśnie tak samo jak panie wczoraj.

- Nie warto zachowywać się jak prawdziwe damy - rzekła Lilka po polsku do Madzi - ty przynajmniej, Madziusiu, sfrygaj to wszystko, bo szkoda pieniędzy.

- Kura, kakura, kurakitosuko - zaskrzeczał do kolegi jeden z Japoń-

czyków, po czym wszyscy trzej zaczęli zanosić się od śmiechu.

Od tego dnia nawiązała się między siostrami a japońskimi studentami wielka przyjaźń, przyjeżdżali do nich do Nicei, spotykali się w Monte i jeździli z nimi autokarami po Grande Corniche. Gdy po tygodniu wyjechali, znów zrobiło się koło siostr pusto i samotnie i tylko stary poorany dżokej wypatrywał, gdy rano, wyświeżone i elegancko ubrane, wychodzi-

ły z hotelu, aby od nich usłyszeć upragnione: *Nice weather, sir!*

Tatko przyjechał w tym czasie do Paryża i dał znać córkom, że wpadnie do nich na kilka dni. Radość obu siostr była nieopisana. Madzia zachowała jeszcze dziecienny zwyczaj skakania do góry i kręcenia się szybko w kółko.

- Ach, Lilusiu, ach, Lilusiu! - piszczała. - Tatko przyjedzie!

Poszły po niego na stację i uwieszone u jego ramienia z dumą przyprowadziły go do hotelu. Bo też było z kogo być dumnym. . Tatko, w świetnie skrojonym garniturze z materiału *khaki*, z „borsalinem” nało-

żonym fantazyjnie na bok, był popisowym dżentelmenem, który nawet tutaj, w tym zbiorowisk« najelegantszych ludzi zebranych z całego świata, mógł robić piorunujące wrażenie. Powłóczyście podmalowane oczy kokotek popłynęły zaraz w ślad za jego sylwetką.

- *Voilà un chic type!* - mówiła jedna do drugiej.

Siostry zaraz postanowiły zawieźć Ojca do „Monteczki”.

- Dajcie mi spokój, moje panny, nie znoszę tej budy! Byłem tam kilka razy, jeszcze z moim znajomym panem Blanc, i nie cierpię atmosfery kasyna.

Opowiedział córkom przygodę, jaką miał tam, jeszcze jako kawaler.

- Wyobraźcie sobie, moje drogie, że, namówiony przez znajomych, poszedłem do tej jaskini. Jako student Akademii Sztuk Pięknych w Pa-ryżu miałem mało pieniędzy i strasznie bałem się przegrać. Ale dałem się namówić i postawiłem na jakiś numer *en plein*, który wygrał. Uszczę-

śliwiony chciałem zagarnąć moją wygraną - nagle wysuwa się jakaś ko-

ścista starcza ręka i zabiera mi tę całą kupkę luidorów. Oburzony zwracam jej uwagę, że to jest moja wygrana, a na to znad stołu unosi się twarz starej czarownicy z długimi siwymi lokami i zaczyna krzyczeć na cały głos, że do kasyna przychodzą złodzieje, tak zwane „szczury rulety”, i że takich należy do gry nie dopuszczać. Wszyscy wokoło spoglądają na mnie z ironią. Czerwony jak burak, zionąc zemstą, idę do dyrekcji, do pana Blanc, opowiedzieć całą tę historię.

- Ach, panie Kossak, oczywiście że panu zaraz zwrócimy tę sumę...

A jak wyglądała owa dama?

- Taka stara wiedźma z długimi siwymi lokami...

- No, naturalnie, *la comtesse Kolokolcoff*. To stara bywalczyni kasyna. Widzi pan, my mamy dla niej względy, ponieważ większą część swojego olbrzymiego majątku u nas zostawiła. Goni już resztkami i znana jest z tego, że innym graczom podkrađa ich wygrane.

- To, że mi pan zwróci, moją wygraną - odparłem - to jeszcze wszystkiego nie załatwia, ponieważ wszyscy gracze przy owym stole przekonani są, że to ja jestem złodziejem.

- Niech pan pójdzie ze mną i tę sprawę również załatwimy.

153

Dyrektor wziął mnie pod ramię i zaczęliśmy razem spacerować po salach gry.

- O, widzi pan, to jest ta wiedźma!

- Panie Dupont - rzekł dyrektor do siedzącego na wysokim krześle krupiera - pan nic nie uważa na to, co się przy pańskim stole dzieje: temu panu, mojemu przyjacielowi, ukradziono całą jego wygraną! -

Krupier spojrział na hrabinę Kolokolcoff i wzruszył ramionami.

- Proszę - ciągnął dalej surowym głosem pan Blanc - aby się to wię-

cej nie powtarzało, inaczej straci pan u mnie posadę! - Obaj z panem Blanc wzrokiem pełnym pogardy obrzuciliśmy tę ohydną staruchę, która nawet nie drgnęła. Rozumiecie więc, drogie córki, że od tego czasu noga moja nie powstała w tej budzie!

- Ale z nami tato wstąpi na małą chwilę...

Tak jak córki były często pod panowaniem Ojca-czarodzieja, tak sa-mo i on ulegał często ich zachciankom. Dał się więc namówić i wszyscy troje pojechali autokarem do Monte Carlo. Ten piękny starszy pan w smokingu, z rozetką kawalera Legii Honorowej w klapie, zrobił na kru-pierach bardzo dodatnie wrażenie. Wyglądał na jednego z takich, które-go warto skusić, aby się tu częściej zjawiał.

- Zagram jeden jedyny raz - rzekł Tatko - a potem wracamy do Nicei. - Wręczył dwudziestopięciofrankowy żeton krupierowi, prosząc, aby go rzucił na zero.

Madzia zauważyła, jak krupier posuwając żetony na żądany numer spojrział porozumiewawczo na tego krupiera, który puszcza kulkę w ruch, i jak stanowczym tonem krzyknął poprzez stół: - *Zero poux Monsieur!*

Kulka, jak pies wokoło klombu, zaczęła biec dookoła osi, prze-skakując z numeru na numer.

- *Zero - noir, impair!* - wykrzyknął krupier, jak gdyby tryumfują-

cym tonem.

Tatce podsunęto specjalną łopatką pokazną kupkę żetonów. Z fi-glarnym uśmiechem schował wygraną do kieszeni i natychmiast poszedł

do kasy zamienić żetony na franki.

154

- Jeśli myślicie, drogie panny, że im moją wygraną z powrotem od-dam, to się mylicie. Mamy kupę franków, pójdziemy na dobrą kolację z szampanem do „Casino de Paris”, gdzie możecie sobie wybrać, co wam się żywnie podoba!

Gdy po kilku dniach „król życia” odjechał, siostry znów zostały same, kombinując, jaką by tu sobie znaleźć kompanię. Polaków, a raczej Polek, było wówczas na Riwierze bardzo dużo, ale to samo można było mieć i w Warszawie. Nie po to tu przyjeżdżały, aby jeździć do Cannes albo Juan le Pins ze swoimi kuzynkami lub ich przyjaciółkami.

- A gdyby tak napisać kartkę do Marcela, żeby przyjechał? - podsunęła Madzia.

- Zwariowałaś! On ci akurat przyjedzie, nie ma nic lepszego do roboty!

- Powiedział mi wyraźnie, że gdziekolwiek będę i za nim zatęsknię, to przyjedzie natychmiast... Prosił, aby adresować albo do Brukseli, albo do hotelu „Savoy” w Londynie.

- Twoje zarozumiałstwo, Madziusiu, nie ma granic, ale pisz sobie, jak chcesz. Byłoby cudownie, aby do nas przyjechał, ale to jest marzenie śniętej ryby.

W kilka dni po wysłaniu przez Madzię kartki do de Moora, którą zaadresowała na adres londyński, nadszedł telegram; ten niezawodny przyjaciel donosił, że przyjedzie dnia tego i tego, i prosi, aby mu w ich hotelu zamówić pokój.

Można sobie łatwo wyobrazić tryumfującą minę Magdaleny, kiedy ów telegram wręczyła siostrze;

- To jest prawdziwe uczucie, co? - wyrzekła z dumą.

W Nicei właśnie zanosilo się na słynny karnawał i znalezienie pokoju było niesłychanie trudne. Miejsca we wszystkich lepszych hotelach były już na wiele tygodni przedtem zamówione przez Anglików i Amerykanów, dla których właśnie ta na wielką skalę szmira była przeznaczona.

W hotelu „Marina” nie było żadnego wolnego pokoju, uczynny portier zaprotestował je do jakiegoś małego hoteliku, znajdującego się w centrum miasta, gdzie po wręczeniu odpowiedniego napiwku obiecano im 155

zatrzymać pokój dla znajomego.

Obie siostry z rozpromienionymi twarzyczkami oczekiwały na stacji przyjazdu paryskiego *train bleu*, którym miał przyjechać de Moor. Ujrzały go w oknie wagonu restauracyjnego, jak kiwał do nich dłonią. Wyglądał tak samo jak półtora roku temu. Miał na sobie ów jakiś dziwny granatowy mundur i baskijską czapkę na głowie. Witając się podniósł każdą z nich wysoko do góry i wyczałował serdecznie.

- *Ah, mes chères petites!* - wykrzyknął. - Jak się cieszę, że was znów widzę!” Jak się miewasz, *Madelon!* A Liii? Pięknie wyglądacie! - Wziął je obie pod ramię i pomaszerował w stronę taksówek.

- Oczywiście, *Madelon*, zamówiłaś mi pokój w waszym hotelu?

- Ach, gdzież tam, drogi Marcelu, u nas nie ma ani jednego pokoju wolnego.

- To się jeszcze pokaże - mruknął Belg. - Skoro mnie gwałtem sprowadzacie pisząc, że się beze mnie nudzicie, to chyba nie po to, abym miał mieszkać z dala od was...

Siostry ujrzały, jak tajemniczy Marcel znów wyciągnął z portfela swój magiczny dokument, jak portier uklonił mu się głęboko, po czym zaprowadził go do pokoju tuż obok pokoju obu sióstr, zamówionego przez pewną Amerykankę. Moor nie był jednak tym beztróskim, pełnym weso-

łości kompanem, jak w Konstantynopolu. Miał tutaj widocznie do speł-

nienia jakiegoś zadania. Nagle na ulicy, w tłumie, mówił do obu sióstr:

- Teraz rozmawiajcie ze mną po angielsku!

Prowadził je do najgorszych nicejskich tawern i tam przysiadł się do grupki podejrzanych typów w kaszkietach i szalikach okręconych wokół

szczy. Stawiał im piwo i był od razu z nimi za pan brat.

- Wy tu sobie na mnie chwilę poczekaście, moje dziewczynki, bo ja mam z tymi typkami do pogadania.

Zrobił się bardzo oszczędny i już nie szastał tak pieniędzmi jak w Turcji i Konstancy. Wydawał się nawet zupełnie zadowolony, gdy obie 156

siostry płaciły za siebie kawy i „apéritify”. Do kasyna w Monte nie chciał

pójść ani razu i tylko wieczorami chodzili do kasyna nicejskiego znajdującego się na tak zwanej *Jetée*, czyli na daleko w morze wybiegającym moło, gdzie grywał z nimi w *boule*, na której nie można było wiele przegrać. Od czasu do czasu bywał znów tym dawnym dobrodusznym Marcelem i oczami wiernego kochającego psa wpatrywał się w niebieskie oczka Madzi.

- Mam wrażenie - mówiła Lilka - że on tu przyjechał wcale nie dla nas, tylko że kogoś śledzi i szpieguje... może handlarzy narkotykami albo żywym towarem?...

Madzia była niezadowolona z tego przypuszczenia starszej siostry.

- Przyjechał tylko na moje wezwanie, nie dla żadnego innego powodu.

Po tygodniu wyjechał prosząc, aby znów się do niego zgłosiły, gdy się będą nudzić. - Tylko piszcie do mnie raz de Moor, a raz odwrotnie - de Rome.

- Ale dlaczego?

- Nie wszystko musicie wiedzieć, ale bardzo was o to proszę. Adresy zawsze te same.

Pożegnał się z nimi bardzo czule, wycałował w różowe policzki i wyjechał, pozostawiając jakieś smutne wrażenie, że go już nigdy więcej nie zobaczą... Pisywali jeszcze do siebie przez jakiś czas serdeczne listy, po czym i to ustało.

Siostry trochę rzadziej odwiedzały „jaskinię gry”, ponieważ fundusze im już na to nie pozwalały, za to jeździły autokarami po tej czarodziej-skiej Grande Corniche, gdzie na wzgórzach wśród skałek czaiły się stare opuszczone miasteczka, a z okien rozpadających się domków wyrastały drzewa cytrynowe obwieszane owocami. Niejedno z owych miasteczek otoczone było starymi murami, po których wili się dzikie róże i bluszcze.

W domkach mieszkali jacyś skromni ludzie, którzy na sznurach rozwieszali swoje wyprane łachy. Wśród cytryn i pomarańcz chybotwały się niebieskie łątane spodnie, które wyglądały, gdy je wiatr wydymał, jak nogi wisielca. To wrażenie mijało zresztą od razu, kiedy dostrzegło się opodal nich rozczulające dziecinne koszulki, kaftaniczki i kolorowe pończoszki.

157

Śliczne dzieci, opalone, o czarnych czuprynkach, biegały po szczątkach starych murów, grzebały w śmietnikach, wlażyły na drzewka cytrynowe.

Wyglądały na zupełnie szczęśliwe. Po splendorach Nicei i Monte Carlo te ciche, skromne, w pastelowych kolorach utrzymane domki działały jak woda z sokiem pomarańczowym lub cytrynowym po przepiciu się szampanem. Lilka specjalnie lubiła włóczyć się po skalistych uliczkach owych starych miścin, siadać na skałkach i wystawiać do słońca twarz, podobną chwilami do twarzy Szopena. Prosiła nieraz Madzię, aby przestała gadać.

- Madziusiu kochana, czy ty nie potrafisz czasem tylko być?

- Jak to?

- Być, i nic nie mówić.

Włócząc się po owych miścinach, często spotykały młodych malarzy w baskijskich beretach na głowie i z fajkami w zębach, którzy, siedząc na składanych stołeczkach, malowali pejzaże. Wokoło nich, jak zresztą wszędzie na świecie, stały dzieci i wyrostki, przyglądając się ich pracy w milczącej aprobacie lub dezaprobatie.

W tych starych miasteczkach znajdowały się małe hoteliki dla turystów. Werandy restauracyjne, obrośnięte pnączami, wychodziły na zatokę szafirową i złotą, a o zachodzie słońca miedzianą. Przy stolikach siedziały obejmujące się wpół zakochane parki, całujące się jawnie i bez żenady, a nawet z pewną dumą, że niby tylko oni jedni na świecie wiedzą, co to miłość.

Siedzieli też tam grupkami młodzi malarze i ich koleżanki w kolorowych swetrach i barwnych czapeczkach lub granatowych baskijkach.

Tylko nasze siostrzyczki nudziły się, same, melancholijnie dziobiąc ły-

żeczką poziomki ze śmietaną. Koło nich przy sąsiednim stoliku siedział

jakiś krępy brunet o oliwkowej cerze i kręconych ciemnych włosach, który przyglądał im się bez przerwy.

- Płaćmy i chodźmy - rzekła Madzia - bo ten pan za chwilę na pewno has zaczepi...

- Idź sobie, jak chcesz, ja zostanę.

Przecucia Madzi sprawdziły się, ponieważ po chwili, gdy chciała zapalić papierosa, oliwkowy pan poderwał się i podbiegł do niej z 158

zapalniczką. Zapytał, czy może się na chwilę przysiąść. Na co Lilka przy-zwalajaco kiwnęła głową. Była już bardzo znudzona brakiem obiektów do uwodzenia, a ten południowiec, chociaż niezbyt przystojny, wydawał

jej się typem dość interesującym. Miał bardzo miły melodyjny głos i wszystko, co mówił, było inteligentne i nawet dość oryginalne. Mieszkał

chwilowo w Nicei i był Grekiem z pochodzenia. Jakże często los ludzi zależy od tego, dokąd ich buty poniosą, bo przecież siostram tego popo-

łudnia było obojętne, czy pojedą dalekobieżnym tramwajem do miasteczka Cagnes, czy autobusem do Mentony albo pociągiem do Monaco, gdzie Lilka tak lubiła jeździć i zwiedzać najwspanialsze na świecie mu-zeum oceanograficzne. Buty jednak skierowały je do przystanku dalekobieżnego tramwaju, z którego wysiadły w starym miasteczku Cagnes i tam właśnie los zetknął je z tym oliwkowym panem, który... ale o tym za chwilę, po kolei.

Otóż ów typek zakochał się w Lilce, albo też udawał zakochanego, i co dzień do hotelowego hallu, gdzie Lilka już na niego czekała, wpadał, aby powitać ją zdławionym z namiętności głosem:

- *Je vous aime! Je vous adore! Je meurs d'amour!...* itd.

Opowiadał Lilce, że nie może się jej przyznać, kim jest, ale że jej urządzi tak wspaniałe życie, o jakim jej się nie śniło: - Posiadam w Grecji swój pałac z tarasami, które schodzą do morza, własny jacht. Będiesz moją królową, boginią i bóstwem! Będę ci rzucał pod nogi róże i perły...

Lilka, ta wielka poetka i niezwykły człowiek, potrafiła być czasem naiwną jak młodziutka pensjonarka, co było też jednym z jej licznych uroków. Potrafiła zupełnie poważnie powtarzać typowe na ówczesne czasy groźby mężczyzn w rodzaju: „Jak nie zechcesz być moją, to staniesz się przyczyną mej śmierci!” albo: „Ty się mną bawisz, igrasz moim uczuciem, a ja cierpię męki niewypowiedziane”... Byli oni wtedy przesiąknię-

ci powieściami Daniłowskiego i Przybyszewskiego - w Polsce, a za granicą ich odpowiednikami.

- Grek powiedział - rzekła Lilka ponuro - że jeśli odepchnę jego mi-

łość, to popelni samobójstwo... Ach, Madziusiu, jestem w takiej rozterce!

159

Słuchaj, nikt mnie dotychczas tak nie kochał, nikt mi takich rzeczy nie mówił... to wielki poeta!

- A ty? - zapytała Madzia drżącym ze zdenerwowania głosem - czy kochasz go?

- Wiesz... że sama nie wiem. Ale jego miłość działa na mnie w straszliwy sposób. Boję się go... Mówi, że nie może mi powiedzieć, kim jest, ale gdy z nim ucieknę w świat, to się sama przekonam... A może to jest następca tronu tureckiego, który podróżuje *incognito!*... Tak mi to trochę dał do zrozumienia.

- Z wyglądem marsylskiego kupca, taak? - zaśmiała się Madzia ironicznie. - Lilusiu, radzę ci, uciekajmy stąd, ten typek bardzo mi się nie podoba. Przenieśmy się do Cannes albo gdzie indziej... Błagam cię!

- Daj mi spokój! Mówię ci, że mnie nikt jeszcze w życiu tak nie kochał i nie mówił mi takich rzeczy...

- Ja wiem, kto to jest - odezwała się na to młodsza siostra grobowym głosem - to jest h a n d l a r z z y w y m towarem!

- Zwariowałaś! - wykrzyknęła Lilka. - Z jego kulturą... z jego poetyczną duszą! Zresztą gdyby tak było, toby raczej leciał na taką tłustą, okrągłą kobietkę jak ty, a nie na takiego oryginała jak ja.

- Widocznie - odparła Madzia - miał zamówienie na taką niezwykłą poetyczną damę. Mało jest zбочeńców na świecie? - dodała ze złościwo-

ścią siostrzaną.

Od tej pory postanowiła nie opuszczać ani na krok swojej zwariowanej siostry-poetki i strzec ją przed zakusami tego ciemnego typu. Kiedyś, wróciwszy z miasta i wszedłszy późnym wieczorem do hallu, ujrzała następującą scenę: w kąciku zasłoniętym oleandrami siedziała na małej kanapce Lilka, przed nią klęczał Grek całując jej kolana (zupełnie jak w powieściach). Madzia głośno zakaszła, oliwkowy typ zerwał się z klę-

czek i spojrzał na nią wzrokiem pełnym nienawiści i wściekłości. Lilka miała twarz i bladą i nieruchomą, twarz medium zahipnotyzowanego przez jakiegoś „profesora” hipnotyzera.

160

Wstała i oboje wyszli z hotelu. Za nimi pobiegła Madzia z miną stanowczą i zaciętą. Dogoniła ich i zaczęła po polsku prosić siostrę, aby wróciła do hotelu.

- Lilusia najdroższa, gdzie ty się z nim wybierasz? Błagam... powiedz!

- Odejdź! Zdecydowałam się: odjeżdżam z nim dzisiaj do Marsylii.

- Jezus Maria! Do Marsylii! Przecież wiadomo, że tam jest główny punkt, skąd handlarze żywym towarem wywożą swoje ofiary daleko w świat! Zmiłuj się nad sobą i nade mną... wróć się!

- Nie, Madziusiu, nic już nie pomoże. Dla takiej miłości warto wszystko poświęcić! Odejdź i zostaw nas samych.

- A ja cię nie opuszczę - mruknęła Madzia z oczami pełnymi łez - i pojedę z wami. Jesteś pod moją opieką i nie pozwolę ci na takie wariac-twa!

Ponuro milczący dotąd Grek zwrócił się nagle do młodszej z sióstr:

- Niech pani natychmiast wraca do hotelu - warknął - bo nie ręczę za siebie!..

- Pan myśli, że się pana boję, wcale się pana nie boję i mojej siostry nie opuszczę, rozumie pan?

Lilka poczuła się nagle okropnie zmęczona i poprosiła swojego towarzysza, aby na chwilę usiąść na ławce. Na Promenade des Anglais o tej późnej porze nie było żywej duszy. Wszyscy przyjezdni siedzieli w kasy-nie na *Jetée* albo na dansingu we wspaniałym hotelu „Negresco”. Mieszkańcy Nicei nie spacerowali wieczorami po tej wyżwirowanej nadmorskiej promenadzie, przeznaczonej dla eleganckich cudzoziemców. Była cisza, tylko z daleka, z jakiegoś hotelu, dochodziły urywane dźwięki jaz-zowej orkiestry i łagodny miękki odgłos morskich fal obijających się o brzegi.

- A nie żal ci będzie, Lilusiu, wiewiórki? - zagadała przyciszonym głosem Madzia. - Sorek umrze z tęsknoty za tobą.

- Przestań mnie rozczulać. Muszę z nim jechać, rozumiesz?

- Ach - rzekła Madzia po francusku zwracając się do Greka - los w tej przeklętej Nicei prześladowuje nas, nie tylko żeśmy przegrały kupę 161

pieniędzy, ale jeszcze musiałyśmy natrafić na takiego straszego typa jak pan!

Wówczas stała się rzecz zgoła przerażająca. Grek wyciągnął z kieszeni rewolwer i zaczął się nim bawić. Popatrzył przy tym na młodszą z sióstr w ten sposób, że jej biedne serduszko zamarło z przerażenia.

- Lilka, uciekajmy! - krzyknęła zrywając się z ławki.

Lilka w tym momencie oprzytomniała i obie poczęły pędem biec w stronę hotelu. Ciemny typ z browningiem w ręce biegł za nimi przez chwilę, po czym, czując, że ich nie dogoni, ciężkim krokiem zawrócił.

Były obie młodsze od niego, lżejsze i zwinniejsze i nie biegły, ale wprost fruwały nad ziemią, trzepocząc w pędzie rozwianymi białymi płaszczykami niby mewy skrzydłami. Blade, z rozburzonymi włosami wpadły do hallu swojego hotelu, gdzie pocziwy stary portier ze zdziwieniem spojrział na nie spod swoich okularów.

- Co wam się stało, moje *petite dames!* - zapytał. - Czy was ktoś napadł?

- Tak, tak - rzekła szybko Madzia - zaczepiło nas kilku pijanych marynarzy i ledwośmy się od nich uwolniły.

- *Tiens, tiens* - rzekł trochę podejrzliwie - przecież wyszły panie w towarzystwie tego pana, co tu do was przychodził...

Madzia nie uważała za konieczne tłumaczyć mu wszystkiego. Siostrę, ledwo trzymającą się na nogach, pociągnęła w stronę schodów. Gdy się znalazły w swoich pokojach, Lilka rzuciła się Madzi na szyję.

- Uratowałaś mnie, Madziusiu! Nie wiem, co się ze mną działo! Jak ja mogłam chcieć z nim pojechać do Marsylii? To potworne! Byłby mnie na pewno uwiódł, a potem wrzucił do morza. Miał chwilami oczy zbrod-niarza!

Na drugi dzień Lilka pokazała siostrze wzmiankę w jednej z nicejskich gazet, pod nagłówkiem:

ZNOWU OFIARA RULETY!

Dziś morze wyrzuciło na brzeg zwłoki topielca. Był to młody mężczyzna wysoki, w popielatym garniturze. Dokumentów przy nim nie znaleziono.

162

- To nie żadna „ofiara rulety”, tylko moja! - zawołała Lilka głosem nabrzmiałym bólem, ale równocześnie i jak gdyby tryumfującym. - Tak, to był na pewno on, utopił się z miłości dla mnie!

- Możliwe - odparła spokojnie Madzia - ale nie z miłości, tylko dlatego, że pewnie wziął za ciebie z a l i c z k ę od jakiegoś obleśnego starca albo zbrojeńca i nie mógł tego z a m ó w i e n i a wykonać. Ale uspokój się, to nie o n, twój handlarz nie był ani młody, ani wysoki...

Jaś Starzewski próżno nawoływał swoją krnąbrną żonę, aby opuściła Riwierę i powróciła do niego do Bukaresztu. Odpowiadała mu wciąż, iż musi tu siedzieć dla zdrowia, ponieważ gorączkuje (co było nieprawdą).

Wysłał jej w końcu „list rozwodowy”, pełen górnolotnych frazesów i napszonych słów nabrzmiałych goryczą, zaznaczając, iż jako powód do rozwodu podał „złośliwe, opuszczenie męża”. Ten list zakończył słowami: „całuję twoje ręce - Jan”. Humorystka odpowiedziała mu, że się chętnie na rozwód zgadza, parodiując jego zboląły i napszony styl.

Ów list jako wyraźny objaw złośliwości i cynizmu jego złej żony podał

później Jaś w procesie rozwodowym jako dowód rzeczowy przeciwko niej. Między tymi dowodami był również, pisany na specjalne żądanie Starzewskiego, list posła Wielowieyskiego, treści następującej: *Niniejszym oświadczam, że pani Magdalena z Kossaków Starzewska stanowczo nie nadawała się na żonę dla dyplomaty, zachowując się nieodpowiednio i nietaktownie. Czy męża*

zdradzała - nie wiadomo, ale w każdym razie dawała tego pozory.

W sądzie znalazł się również felieton Magdaleny, drukowany w

„Świecie”, pod tytułem „Skarby duszy i ciała”, w którym bohater dziwnie był podobny do jej męża.

Obie siostry były więc teraz rozwódkami i znów jak za panieńskich czasów mieszkały na Kossakówce na pięterku, oddając się z zapalem swojej twórczości i sprawom sercowym, które Lilka brała zawsze poważ-

nie, a nawet tragicznie - a Madzia lekko i z uśmiechem, przemieniając się raz w motylka, a raz w kwiatek...

163

Pisywała dużo, aby zarobić na suknię powszednią i balową. Wszystkie krajowe czasopisma zasilala swoimi felietonami i nowelkami. Była wówczas jedyną w Polsce humorystką i pisma drukowały to, co nadsyła-

ła, podchlebając jej, że jest „Boyem w spódnicy”, szczycąc się „na łamach swoich organów”, że „zyskaliśmy dla naszego pisma znaną i znakomitą...” Madzi przewróciło się więc w główce kompletnie, i zatraciw-szy zupełnie samokrytycyzm, posyłała do druku utwory nieraz całkiem niedojrzałe i pisane stylem niechlujnym, co ogromnie drażniło jej starszą siostrę.

- Madziusiu - prosiła - nim coś pošlesz do druku, daj mi wpierw do przeczytania.

- Dobrze, dobrze, ale jak ci dam do przeczytania, to zaraz powiesz, że to idiotyczne i że lepiej nie wysyłać, a ja muszę wykupić dwa weksle, które już są w proteście.

- Chcesz, aby cię w końcu uznali za grafomankę. Póki mnie słucha-

łaś i dawałaś mi wszystko do poprawki, to jakoś utrzymywałaś się na poziomie, ale teraz... Przecież ty nawet nie umiesz pisać gramatycznie i nie potrafisz stawiać we właściwym miejscu znaków przestankowych.

Madzia zaczerwieniła się.

- Umiałam dawniej - mruknęła - ale teraz mam na tym punkcie uraz. - Powiedziała zresztą prawdę, ponieważ zaczęło się to od chwili, kiedy pewien jej adorator zauważył, czytając jej rękopis, że w kilku miejscach brakuje przecinków. Wszystko jej się wówczas poplątało, tak jak w opowiadaniu Meyrincka o owej stonodze, która zapytana złośliwie, od której nogi zaczyna swój krok - przebierając nogami, dotychczas stoi na miejscu. Od tego czasu albo unikała w ogóle znaków pisarskich, albo stawiała je w zupełnie niewłaściwym miejscu, co jej zresztą dotychczas pozostało.

Lilka i Tatko nieraz za głowę się chwyтали, odczytując w IKC-u albo w tygodniku „Świat” Madzine utwory. Na tym tle zdarzyła się kiedyś bardzo zabawna historyjka, na kilka lat przed wybuchem drugiej wojny. Do ogródka na Kossakówce przyszła w odwiedziny Krystyna Grzybowska, późniejsza

pisarka. Lilka poprosiła, aby zaczekała na nią pod lipą na ławeczce, a sama poszła do domu.

164

Wróciła po chwili w nowych prześlicznych pantofelkach z wężowej skórki.

- Jakie masz prześliczne pantofelki! - zawołała Krystyna. - Gdzieś je kupiła?

- Prawda, że cudne? Kupiłam je na prezent dla Madzi, aby jej wynagrodzić pewne małe świństwo, które jej dzisiaj zrobiłam. Wiesz, było tak: Madzia poszła do IKC-a idiotyczny felieton, bardzo nietaktowny.

Błagałam, by go nie wysyłała. Poleciałam rano do Dąbrowskiego i poprosiłam, żeby go nie drukował. Madzia nic o tym nie wie, że felieton nie ukaże się. Będzie miała za to te prześliczne pantofelki.

Tę uroczą historyjkę opowiedziała Madzi Krystyna Grzybowska w wiele lat później.

Lilka napisała w czasach porozwodowych piękną i poetyczną sztukę pod tytułem „Kochanek Sybille Thompson”, która działa się w czasach, jakie nastąpią za lat pięćdziesiąt. Główną bohaterką owej sztuki była sześćdziesięcioletnia babcia, odmłodzona jakąś nowoczesną metodą polegającą na tym, że z całego zespołu pięknych dziewcząt magicznym sposobem przelewa się siłę witalną i młodość w organizm starego człowieka. Zabieg ów jest szalenie kosztowny i bardzo niebezpieczny, ponieważ w razie nieudania się pacjent może umrzeć na miejscu. Babcia, która tak jak w słynnym wierszu Pawlikowskiej siedzi przy fortepianie w

„dżemprze” grając „starożytne fokstroty”, ma zupełnie dosyć tego, że jest

„ciemną .plamą na barwnym kilimie życia”, i poddaje się niebezpiecznej operacji. W akcie drugim widzimy tę samą aktorkę jako młodą dziewczynę w różowej kombinacji, z bujnymi rozpuszczonymi włosami, szalejącą ze szczęścia, ale na krótko, ponieważ po pewnym czasie konstatuje, że dusza jej jednak pozostała stara i że z dzisiejszą młodzieżą nic jej nie łączy. Babcia pragnie jak dawniej, za swoich młodych lat, kochać i być kochaną, ale ta młodzież nie zna już tych uczuć i miłość uważa za rodzaj sportu dla zdrowia, za rodzaj towarzyskiej gry we dwójkę. Babcia, zagu-biona zupełnie w tym niezrozumiałym dla niej świecie młodych, do jakich 165

obecnie należy, bliska jest skrajnej rozpacz, znajduje jednak niezwykle-go młodzieńca, który miłość pojmuje tak jak ona. Pokazuje się, że on również jest sztucznie odmłodzonym staruszkiem i że w nowym świecie nie może sobie także znaleźć miejsca, i oboje lecą rakieta na... księżyc.

Ta prorocza sztuka, w której „wieszczka” przeczuła w dużej mierze nowoczesne czasy, mogła być odnieść olbrzymi sukces, gdyby dyrektorem Teatru im. Słowackiego w Krakowie był kto inny, a nie Zygmunt Nowakowski. Zygmunt, sam będąc autorem dramatycznym, prawdopodobnie pozazdrościł Pawlikowskiej tej sztuki i obsadził rolę babci tak nieodpowiednio, że sztuka, mimo kosztownych kostiumów i pysznych dekoracji, szła zaledwie tydzień, po czym zeszła z afisza bezpowrotnie, chociaż miała bardzo dobrą prasę. Dyrektor tłumaczył się, że musi szybko wystawić jakąś „kasową”

komedijkę zagraniczną, aby podreperować finanse teatru. Lilka była niepocieszona. Zaczęła pertraktować z Szy-fmanem, ale mądry kupiec Arnold, dowiedziawszy się, że sztuka Lilki w Krakowie nie odniosła sukcesu, nie kwapił się z wystawieniem jej w Warszawie. I tak najciekawsza ze sztuk Pawlikowskiej poszła w niepa-mięć, nie doczekawszy się nawet wydania książkowego. Trzeba przyznać, że rola dyrektora Teatru im. Słowackiego była wówczas niełatwa.

Premiery musiały być co d w a tygodnie, bo taki układ miała dyrekcja z krakowskim magistratem, więc nieszczęśni dyrektorzy starali się wystawiać tylko „pewniaki” - zatem albo lekkie komedie francuskie, albo coś z żelaznego repertuaru, jak sztuki Słowackiego, Fredry, Szekspira, Ibsena.

Zrobienie prapremiery współczesnego polskiego autora było wielkim ryzykiem i na komplet można było tylko liczyć w dzień premiery.

Istniał wówczas w Krakowie - tam gdzie dzisiaj jest Teatr Młodego Widza - drugi teatr - Bagatela, przeznaczony dla lżejszego repertuaru. W

tym ślicznym kameralnym teatrzyku pierwsze kroki stawiały: Malicka i Majdrowiczówna. Grywali Aleksander Węgierko i Niewiarowicz. Teatr ten prawie nigdy nie świecił pustkami i publiczność krakowska, zmęczona powagą Teatru im. Słowackiego, tłumnie waliła na „Świt, dzień i noc” Nicodemiego z Węgierką i Malicką.

166

W tym czasie szal tańca opętał poważny Kraków i wszyscy, młodzi i starzy, uczyli się na gwałt charlestona i black-bottoma. Tańce te polegały na tym, że partnerzy w bardzo trudny i skomplikowany sposób frotero-wali posadzkę nogami. Aby się nie pomylić w zawiłym pas, tancerze cały czas wpatrywali się w swoje stopy. Wyglądało to bardzo śmiesznie i gro-teskowo. Obie siostry, Lilka i Madzia, godzinami ćwiczyły owe tańce przy gramofonie marki „His Masters Voice”, prześcigając się nawzajem w precyzji.

Madzia, aby zdystansować starszą siostrę w murzyńskich tańcach, zaproponowała swemu ówczesnemu nauczycielowi języka angielskiego, który był Mulatem i świetnie umiał stepować, aby zamiast angielskiego uczył ją stepa, na co oczywiście chętnie się zgodził. W ten sposób Magdalena nigdy nie nauczyła się poprawnie angielskiego, za to stepowała nieomal jak Murzyn, z czego była nieprawdopodobnie dumna i czym starała się uwodzić znajomych młodzieńców.

Obie siostry chętnie chodziły na dansingi i uważano je za bardzo dobre tancerki.

W czasie kiedy Lilkę ogarnął szal tańca, powstał tomik jej uroczych wierszy pod tytułem „Dansing”. Oto jeden z nich o „Ty-tanicu”: *tańczyli sny Wachlarze brylantowe tęcze*

ktoś komuś szepnął w tańcu; tak - na śmierć i życie –

wszedł steward rzekł a wszyscy stanęli jak wryci ladies and gentlemen

DANGER

RÓŻE, CIERNIE I ZALICZKI

Od roku 1926 Magdalena objeżdżała wszystkie większe miasta polskie ze swoimi wieczorami autorskimi, które nosiły wówczas poważny tytuł „odczyty”. Aby zwabić publiczność, która niezbyt chętnie chodziła na wieczory autorskie, nadawała swoim „odczytom” sensacyjne i niedwu-znaczne tytuły: „O miłości płóciennej, papierowej i skórzanej” albo

„Świadome ojcostwo”. Na wieczory z tego rodzaju tytułami, połączonymi z osobą popularnej satyryczki, ludzie biegali tłumnie, aby usłyszeć „we-sołe i tłusciutkie kawały”.

Na jednym z jej wieczorów pewien obywatel ziemski, zrozumiałwszy dopiero po pewnym czasie zawieszysty dowcip, zawołał głośno, uderzywszy się po udach: - To dobre! To dwuznaczne!

Na odczytach Samozwańczych siadywał czasem jej Ojciec, Wojciech Kossak, i gdy się odczyt przedłużał, ziewał ostentacyjnie i wołał na całą salę: - No, Magdusia, będzie, skończ już wreszcie! - albo: - Głośniej, Madzia, i wyraźniej, połykasz końcówki! - Publiczność pękała ze śmiechu. Magdalena pochylała się w stronę Ojca i mówiła: - Zaraz, tato, zaraz, tylko jeszcze jedną rzecz przeczytam!

W Bydgoszczy sala jakiejś uczelni, przepelniona młodzieżą, przywita-

ła ją ostentacyjnie i oklaski były tak rześiste i tak długotrwałe, że Magdalena ze łzami wzruszenia w oczach nie mogła zacząć czytać. Kasa po tym wieczorze przewyższała o dwieście złotych cenę umówioną przez autorkę z kierownictwem imprezy. Przy wspaniałej kolacji, którą miejscowe czynniki urządziły na cześć autorki, kierownik imprezy wręczył jej kopertę z honorarium, pytając ją, w jaki sposób pragnie rozporządzić nadwyżką. Nadmienił, że jego zdaniem owa kwota powinna iść jako zapomoga 169

dla któregoś ze źle zarabiających literatów. Madzia zgodziła się na to z entuzjazmem, ale jednocześnie ujrzała odtruwające fatałaszkę, które miała sobie zamiar za ową nadwyżkę sprawić.

Po libacji zakrapianej suto alkoholem Madzia z żalu nad straconymi dwustu złotymi nie mogła całą noc spać, a rano obudziła się z gorączką i okropnym katarzem.

W Poznaniu urządził jej wieczór prywatny impresario, który brał na siebie koszt sali i podatków, a miał się z nią dzielić kasą na pół od brutta.

Sala teatralna była nabita po brzegi, kasa przedstawiała się wspaniale.

Impresario miał się z Madzią obliczyć nazajutrz. Wieczorem urządził u siebie w hotelowym pokoju wielką bibę z popijawą i któryś z jego gości stłukł lustro od szafy. Całe honorarium Magdaleny poszło na zapłacenie tej szkody. Nie wiedząc jeszcze nic o tej katastrofie, w świetnym humorze, mimo okropnego kataru i gorączki, poszła z Ludwikiem Puszetem do artystycznego kabaretu „Różowa Kukułka”, który był pierwszą tego rodzaju imprezą w Poznaniu i miał olbrzymie powodzenie. Występowali w nim młodzi plastycy i satyrycy oraz wschodząca gwiazda estradowa -

Tola Korian, która śpiewała piosenki w kilku językach. Przed Madzią, golącą jedną wódeczkę za drugą (niby, że na zaziębienie dobrze), stanął młody człowiek w ceglany swetrze, ze złotorudą czupryną, przez duże rogowe okulary błyskały dwa małe, niebieskie światełka jego oczu.

- Jestem Artur Maria Swinarski! - przedstawił się młodzieniec. -

Prosimy panią, aby zechciała wystąpić gościnnie w naszym kabarecie.

Było to jej pierwsze spotkanie ze Swinarskim. Wielka i niezniszczalna przyjaźń od pierwszego wejrzenia.

Madzia wychyliła jeszcze jeden kieliszek dla kurażu i wystąpiła z czę-

ścią swojego programu. Miała na sobie długą, błękitną suknię jedwabną, malutki czerwony kapelusz, czerwony nos od kataru i oczy, według, wyrażenia jednej z jej przyjaciółek, „takie oryginalne - niebieskie z czerwonym...”

Goście przy stolikach, przeważnie jej poznańscy znajomi, oklaskiwali ją gorąco. Swinarski postanowił koleżankę satyryczkę wciągnąć do 170

„Kuriera Poznańskiego”, gdzie wówczas pracował. Nie przedstawiało to żadnych trudności. Jeden z redaktorów, najpocześniejszy z endeków, tak zwany Wujcio Czesio (Kędziński), sam przyszedł nazajutrz do chorej i leżącej w łóżku autorki, prosząc ją o współpracę. Madzia namówiona przez Artura zgodziła się łaskawie na pisywanie cotygodniowych felietonów do „Kuriera”, po cenie zawrotnej - sto złotych od sztuki! Ten nieszczęsny Wujcio Czesio, opętany zupełnie przez obu satyryków, stał się wkrótce bezwolnym narzędziem w ich rękach: wypłacał im z góry zaliczki, które oboje nie bardzo później chcieli odrabiać.

Madzia kiedyś, bardzo rozzalona na dyrektorów rewiowych teatrzyków, wydawców i redaktorów żydowskiego pochodzenia, którzy z tych czy innych powodów nie chcieli przyjąć jej utworów, zemściła się w bardzo nieładny sposób, wysyłając do „Kuriera Poznańskiego” felieton pod tytułem „Zebrało mi się na ż y d a n i e”. Uszczęśliwiony endek, Wujcio Czesio, bezzwłocznie go umieścił zacierając ręce z zadowolenia. Gdy ten numer „Kuriera” dotarł do rąk Tuwima, zareagował on na felieton w taki oto dowcipny sposób: napisał do „Kuriera” list otwarty, w którym ogłosił, że redakcja dała się nabrać, ponieważ utwór Samozwaniec jest typową parodią znanej satyryczki na antyżydowskie felietony, tak często umieszczane na łamach „Kuriera”. Ich koleżanka bowiem i współpra-cowniczka „Wiadomości Literackich” nie byłaby na serio czegoś podobnego napisała... Wujcio Czesio, bardzo skonfundowany, nie wiedząc, czy Tuwim nie miał racji, zaprzestał drukowania felietonów Samozwaniec.

W jakiś czas później Tuwim, spotkawszy Madzię w którejś z warszawskich kawiarni, wykrzyknął z daleka:

- Brawo, Madzia! Świetna była ta twoja parodia antyżydowskich artykułów w „Kurierze Poznańskim” - tylko dziwię się, że ci to przyjęli.

Uśmialiśmy się wszyscy serdecznie, czytając je...

Madzia spłonęła rakiem i spuściła głowę. Wielki poeta i przyjaciel dał

jej wspaniałą i zarazem dowcipną nauczkę.

171

Madzia po sukcesie „Malowanej żony” postanowiła znów spró-

bować szczęścia na scenie. Jej druga farsa pod tytułem „Panowie nie lubią miłości”, zagrana w Krakowie, zrobiła generalną klapę i została zdjęta z afisza po dwóch dniach.

W Poznaniu siedział dalej niezawodny przyjaciel, Artur Maria Swinarski, i kombinował, w jaki by tu sposób ściągnąć ją znów do stolicy wielkopolskiej.

Dyrektorem jednego z teatrów poznańskich był wówczas Teofil Trzeciński. Demoniczny Arturek potrafił na tyle opętać dyrektora, przedstawiając mu farsę Magdaleny jako rzecz znakomitą, że Teofil, nie prze-czytawszy jej nawet dokładnie, postanowił wystawić sztukę, która tym razem nosiła tytuł „Małżeństwo Kitulisa”. Stan finansowy Teatru Nowego był wówczas opłakany. Aktorzy nie otrzymywali gaż w terminie, chodzili źli i głodni, pożyczając pieniądze, gdzie się dało. Madzia, uszczęśliwiona, że „Kitulis” „zostanie wystawiony w Poznaniu, przyjechała na próby prawie bez pieniędzy. Literaci i plastycy mieli wówczas swój azyl w kawiarni „Pod Kaktusem”, w której przesiadywali niemal cały dzień.

Właścicielem owej literackiej kawiarni, gdzie wieczorem odbywały się występy, był pan Makowski, typ nie z tej ziemi, lecz z o wiele lepszej.

Przez całe dwa tygodnie pobytu w Poznaniu Makowski kredytował jej pierwsze śniadania, wspaniałe i kopiaste, podawane w ślicznych żółtych fajansach specjalnie przez niego zamówionych, na których figurowały małe, zielone kaktusy w doniczce. Ponieważ Madzi szalenie się ta zasta-wa spodobała, więc Arturek kazał Makowskiemu, który też był jego bezwolnym medium, zapakować jeden taki śniadaniowy komplet i posłać jej do hotelu. Aby zarobić kilkadziesiąt złotych, oboje satyrycy występowali co dzień wieczorem w owej kawiarni, w dużej sali przy licznie zgromadzonej publiczności. Od czasu do czasu zmieniali program, komponując na poczekaniu nowe fraszki. Jedna z nich, napisana przez Magdalenę i poprawiona przez Artura, brzmiała następująco: *Skandal w parku jest od rana*

Bo tulipan - tuli pana,

Szepce nawet jawor stary.

Że to są dwa Serge- Lifary.

172

W ciągu dnia oboje chodzili po mieście, namawiając znane poznań-

skie firmy, aby im dawały za darmo różne towary w zamian za reklamę, którą im zrobią na swoich wieczorach autorskich. Firmy na ogół chętnie się na to godziły i oboje wracali z miasta obładowani paczkami i pa-czuszkami.

Próby „Kitulisa” przejmowały jednak Madzię lękiem. Aktorzy, wściekli z powodu nieotrzymywania gaź, robili wszystko, co w ich mocy, aby sztuczkę położyć, mimo wielkiej sympatii, jaką żywili dla autorki. Dyrektor Trzeciński, który reżyserował „Kitulisa”, grał sam wszystkie role po kolei, chcąc opornym aktorom pokazać, jak to powinni robić. W końcu wpadł w taki ferwor, że usiadł na kolanach amanta, chcąc amantce pokazać, jak to powinna zagrać. Pod jego ciężarem krzesło załamało się i obydwaj gruchnęli na ziemię.

Przed samą premierą, gdy Madzia stała przed lustrem w blado-niebieskiej sukni z mory i w czarnym koronkowym bolerku, wziętym na kredyt w znanej poznańskiej firmie pani Bonin, ktoś nieśmiało zapukał

do hotelowego numeru. Była to sama właścicielka owego magazynu, która przysłała do autorki ofiarować jej na premierowy występ piękne aksamitne róże do sukni.

Tak źle zagranej sztuki jak ów nieszczęsny „Kitulis” nie pamięta żad-na ze scen polskich. Wyglądało to na amatorskie przedstawienie. Aktorzy wychodzili na scenę i, zapomniawszy swoich kwestii, cofali się z powrotem za kulisy, plątali się w dialogach, mylili sceny. Robili wszystko naumyślnie jako sabotaż w stosunku do niewypłacalnej dyrekcji. Ponieważ na widowni byli przeważnie sami znajomi, więc po drugim akcie wywołano gorącymi oklaskami nieszczęsną autorkę, która ze sztucznym śmiechem i sztucznymi różami, przypiętymi do gorsu, kłaniała się na wszystkie strony, pragnąc tylko, aby ten skandal jak najszybciej się skończył. Dr Koller, słynny chiromanta i recenzent, mimo gorącej sympatii, jaką żywił dla Magdaleny, niezbyt przychylnie ocenił jej sceniczny występ. Nawet red. Kraszewski nie wytrzymał nerwowo i w „Kurierze Poznańskim” również zjechał „Kitulisa”.

Ta farsa stanowczo nie miała szczęścia, mimo wielu zabawnych i dowcipnych dialogów.

173

W kilka dni później Madzia została zaproszona do Kościana, aby napisać reportaż o tym wzorowo prowadzonym zakładzie dla nerwowo chorych. Sam dyrektor Bielawski, przystojny brunet w pumpach i „palonych” butach, przyjechał po nią swoim wozem. Madzia z wielkim zainteresowaniem zwiedziła różne oddziały, w towarzystwie czarującego dyrektora i dyżurnego lekarza. Zaszli również do oddziału najciężej chorych, którzy umieszczeni byli w zakratowanych separatkach. Doktor Bielawski prowadził z nimi rozmówki, od jakich samemu można było dostać bzika, na przykład:

- Cóż tam, panie Piotrowski, miał pan jakieś wiadomości z nieba?

- Miałem, panie dyrektorze, Matka Boska właśnie pisała do mnie, że mnie jutro odwiedzi między szóstą a siódmą.

- No to doskonale, a ma pan ten list przy sobie?

Nieszczęsny pomylenieć zaczął gorączkowo szperać po kieszeniach. -

Nie wiem, co się z nim stało - mruknął - musiał mi go ktoś wykraść...

Przeszli do separatki, w której jakiś mężczyzna wyjmował z kieszeni małe rzeczne kamyki i układał je w kupki na stole.

- Tto są szmaragdy - mruczał do siebie - tto brylanty..., tto szafi-ry... a tooo rrubiny. To wszystko kiedyś sprzedam - zwrócił się do Madzi

- i kupię zza to taką wielką, wielką kamienicę. - Po chwili znów wycią-

gnął z kieszeni garść kamyków i zaczął je segregować, powtarzając te same słowa, i wówczas Madzia nie wytrzymała i oburzyła się:

- Co pan za głupstwa gada! - wykrzyknęła. -To nie są żadne drogie kamienie, tylko zwyczajne rzeczne kamyki! - Wówczas stała się rzecz przerażająca i nieoczekiwana, obłąkany rzucił się na Madzię, chcąc ją udusić.

- Abłłłł! - zabełkotał gardłowym głosem. Dyrektor jednym ruchem swoich żelaznych rąk oderwał mu rękę od jej szyi. Był bardzo blady.

- Czy pani nie wie, pani Magdaleno, że wariatom nie wolno się sprzeciwiać! - ofuknął ją.

174

Po kilkudniowym pobycie Madzia opuściła ów zakład, w jakim przebywali nieszczęśliwcy robiący wrażenie samochodów w ruchu, z których wyskoczył kierowca.

Madzia co roku wydaje zbiorowe tomiki swoich felietonów pod fascynującymi tytułami: „Świadome ojcostwo”, „Mężowie i mężczyźni”, „O

dowcipnym mężu dobrej Ludwiki” oraz dłuższe opowiadanie „O kobiecie, która znalazła kochanka”, a w końcu sensację - „bestseller” ówczesnych czasów - „Wielki szlem”, który w drugim, uzupełnionym wydaniu otrzymał tytuł „Maleńkie Karo karmiła mi żona”. Tytuł ten stał się wkrótce jednym z powiedzonek brydżystów. Głównym jej wydawcą jest Marian Kister, który wraz z Melchiorem Wańkowiczem prowadzi wydawnictwo „Rój”. Oto jak wyglądały wizyty Magdaleny w tym najru-chliwszym wówczas wydawnictwie.

Rzecz dzieje się na kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej. Scena przedstawia dużą kamienicę na ulicy Traugutta. Brama, na niej napis: RÓJ. Parter, długa mroczna sień, w niej stopy pak z książka-mi. Duża izba, pełno szaf, półek. Książki wszędzie - na półkach, w szafach, na ziemi. Przy stoliku wśród papierów siedzi przystojna młoda brunetka, podpierając głowę na rękę, myśli, a może rachuje. Stanowczym, pewnym krokiem wchodzi Magdalena Samozwaniec; zwraca się do ładnej brunetki, witają się. Magdalena serdecznie i wylewnie, brunetka jak gdyby ze znużeniem i zniechęceniem.

- Przyszłam do pana Mariana po forszę za „Maleńkie Karo”...

- A to się pani wybrała! Marian jest bez grosza...

- Jak to, przecież wyraźnie kazał mi dzisiaj przyjść o dwunastej. Na-leży mi się jeszcze pięćset złotych.

- Pięćset złotych! Pani chyba żartuje... skąd on by mógł mieć taką sumę?!

- Ja nigdy nie żartuję, kiedy chodzi o forszę, to jest jedyna rzecz, któ-

rą traktuję na serio - odpowiada Magdalena. - No i - jak powiedział

Wiech: „nie rób pan śmichy-chichy z waluty państwowej”.

175

Przystojna brunetka spogląda na nią oczami zranionej sarny. - Ja mam tyle zmartwień, a pani przychodzi mnie jeszcze zadrećcać...

Madzia ma dobre serce, ze współczuciem spogląda na zatroskaną pa-nią Marianowa.

- Co się stało? Może coś niedobrego z pani zdrowiem?

- Moje zdrowie nieważne. Kogo moje zdrowie obchodzi?... Gorzej to, że nie wiem, czy będziemy mieć dzisiaj na obiad. Poza tym Marianek...

- Co Marianek?

- Całą noc się lumpował... ma, zdaje się, jakąś pannicę... - Piękne oczy zachodzą łzami.

Madzia czuje się ostatnim prosięciem, że w takiej złej chwili przyszła tę nieszczęsną żonę zamęczać swoim honorarium. W tym momencie słyhać z drugiego pokoju podniesione męskie głosy, po czym drzwi się otwierają i wpada młody, ale już bardzo uznany i ceniony poeta, jest czerwony ze złości i oczy jego ciskają złe ognie. Nie żegna się z panią Kisterową i wybiega, zatraskując drzwi za sobą.

- Widzi pani - mówi brunetka znękanym głosem - ten młody poeta też nic nie wskórał. Wszyscy chcą pieniędzy, nawet poeci... niby to buja-ją w obłokach, ale w rzeczywistości chodzą po ziemi i zamęczają biednych wydawców o pieniądze. Nikt... nikt nie ma nad nami litości! A skąd ten biedny Marian ma je brać?

- No, nie przesadzajmy... niektóre pozycje nie są deficytowe, a nawet wydawnictwo dobrze na nich zarabia. Moje „Maleńkie Karo” doczekało się drugiego wydania. Już nie mówiąc, jak są rozchwytywane książ-

ki Wiecha. Ja w każdym razie idę do pana Mariana!

- Jak pani chce - odpowiada brunetka obcierając palcem łzę z oka. -

Wszyscy jesteście bez serca, ja osobiście bym pani nie radziła - dodaje rzeczowo. - Marian jest dzisiaj w bardzo złym humorze.

Magdalena odważnie wkracza do kancelarii naczelnego wydawcy, gdzie na biurku zawalonym maszynopisami i rękopisami siedzi Marian Kister.

176

- Dzień dobry, kochany panie Marianku!

- A, to pani Madzia. Ale ja forsę dla pani nie mam.

- Przecież mi pan wyraźnie kazał przyjść dzisiaj o dwunastej...

- Kazał... kazał... a po co mnie pani słucha?

- Panie Marianie, bez żartów. Ja dzisiaj muszę mieć pieniądze.

Oboje zapalają papierosy. Wydawca zaciąga się „egipskim” i z figlar-nym uśmieszkiem przygląda się przystojnej autorce.

- Pani Madziu - odzywa się - pani jest młodą przystojną kobietą.

Czy pani by nie mogła zarabiać inaczej?

„Dać mu w mordę czy nie dać” - przelatuje przez głowę Magdaleny błyskawiczna myśl, ale zaraz zastępuje tę myśl druga, rozsądniejsza -

„nie, nie dam mu w pysk, bo bym później nigdy już nie wyciągnęła od niego mojego honorarium”.

- Pan mnie obraża! Idę i noga moja więcej tu nie postanie! - Ale siedzi i oczami aż ciemnymi z wściekłości świdruje ospałą i flegmatyczną twarz pana Mariana.

- No, niech się pani nie gniewa. Pożartować nie wolno? Dam pani czek na trzysta złotych. Niech pani idzie do Wendego na Krakowskie Przedmieście. Jeśli będą mieli gotówkę, to pani jeszcze dziś wypłaca.

Madzia zła i naburmuszona, ale z pewnym poczuciem zwycięstwa idzie do firmy Wende i Spółka.

Osoba przy kasie spogląda na nią jak na zbrodniarkę.

- Co pani sobie myśli właściwie, że my mamy kopalnię pieniędzy?!

„Rój” wybrał już od nas wszystko, co mu się należało z całego miesiąca.

Musi pani poczekać, aż się znowu coś uzbiera. Niech pani się dowie za tydzień... dwa, może coś

będzie, ale nie mogę zaręczyć.

W ten sam sposób Madzia kwitowała panienki z magazynów, które do niej przychodziły z rachunkami za suknie lub kapelusze, i tak samo jak one odchodzi teraz zła, strapiona, ze zwieszoną głową, pocieszając się tylko awanturą, jaką robi wydawcy, że jej podpisuje czeki bez pokrycia.

O wiele milej traktował swoich klientów inny wydawca, prowadzący wydawnictwo Hoesicka, nieodżałowanej pamięci Marian Sztajnsberg, 177

znawca talentów i wielki przyjaciel wszystkich ówczesnych literatów.

Sztajnsberg wydawał szereg pozycji deficytowych, jak tomiki poezji, które - z wyjątkiem Tuwima, Lechonia, Pawlikowskiej, Słonimskiego, Wierzyńskiego, Iłakowiczówny - nie rozchodziły się prawie całkiem i do których wydawnictwo musiało grubo dopłacać. On również niechętnie wypłacał honoraria gotówką, ale za to zapraszał pisarzy na wystawne obiady i kolacyjki do Simona i Steckiego albo do „Bristolu”. Zamawiał

wówczas najkosztowniejsze dania i najlepsze wina, a po libacji dużą maszynkę czarnej kawy i likiery. Po takim wspaniałym przyjęciu jakżeż strasznym nietaktem było dopominać się jeszcze o brzęczącą monetę.

Zresztą kochany Marianek uważał sprawę za częściowo załatwioną.

Piękna była historia, gdy Lilka Pawlikowska pomyliła dwie koperty, adresowane do dwóch różnych osób. Jeden list napisała do swojej przyjaciółki, Niuty Morskiej, skarżąc się jej, że Marian jest skończone bydłem, bo nie chce jej zapłacić honorarium za tomik wierszy, drugi, bardzo czu-

ły, do tegoż Mariana- zaczynający się od słów: „Najdroższy Marianku...”, gdzie w bardzo uprzejmej formie prosi go o wypłacenie jej jak najszybciej należnej sumy. List do Morskiej z inwektywami do Sztajnsberga włożyła do koperty zaadresowanej do niego, a list do Sztajnsberga do koperty przeznaczonej dla pani Morskiej. Pani Niuta, otrzymawszy ten list przez posłańca, natychmiast zatelefonowała do Lilki o pomyłce, któ-

ra zaszła. List do Sztajnsberga został wysłany pocztą. W szale przerażenia Lilka zwierzyła się z tej okropnej pomyłki swojemu wielkiemu przyjacielowi Słonimskiemu, który obiecał jakoś mądrze tę sprawę załatwić.

Wykombinowawszy sobie godzinę, w której listonosz zazwyczaj przynosi pocztę do wydawnictwa, poszedł przed dziewiątą do firmy Hoesicka na Senatorską. Listonosz rzeczywiście nadszedł po chwili i złożył cały plik listów w kancelarii wydawcy. Słonimski zajął Mariana rozmową, tak że nie mógł się on zabrać do odczytywania korespondencji, a gdy Marian na chwilę wyszedł do znajdującej się obok księgarni, jak sroka rzucił się na stos listów i, poznawszy charakter pisma Pawlikowskiej, porwał ów haniebny liścik i szybko schował do własnej kieszeni. Nie wiadomo, czy 178

Marian kiedykolwiek dowiedział się o tej historii, w każdym bądź razie przez dłuższy czas zabawiała ona grono przyjaciół pani Lilki.

Obie siostry - wyznać to należy ze wstydem - przepadały za grą w ruletę i swoimi literackimi zarobkami zasilaly co rok kasyno w Sopocie. W

tym niepatriotycznym, postępowaniu nie były odosobnione i w dużych salach gry spotykały mnóstwo znajomych warszawiaków oraz obywateli ziemskich z Poznańskiego. Zjawiał się tam często także Marian Sztajnsberg, który był bardzo szczęśliwym graczem i prawie zawsze wyjeżdżał z grubszą wygraną. O swoim przyjeździe do Sopotu zawiadamiał Lilkę Pawlikowską i Magdalенę, które zwykle spędzały lato w Gdyni. Obie siostry stawały za plecami tego gracza z wena, który, gdy wygrał, podsuwał im stopy żetonów, przedstawiające wartość dwu, pięciu i dwudziestu guldenów, mówiąc: - Lilka, Madzia, macie, macie... bierzcie! - Obie siostry, które z reguły przegrywały, już po godzinie jak duszki stawały za jego krzesłem.

- Marianku, daj nam jeszcze, tylko dużo... musimy się odegrać!

- To już będzie chyba a conto nowego tomiku wierszy Lilki! - reflek-tował się nagle szczodry gracz.

W ten sposób honoraria sióstr były załatwiane z nadwyżką i obie nie miały już powodu skarżyć się na jego niewypłacalność.

Zgrane do suchej nitki lekkomyślne autorki wydawca zapraszał po grze na świetną kolację do kasyna lub do „Indry”, a potem taksówką odwoził do Gdyni.

Ten, uroczy zresztą, facet uratował kiedyś obie siostry z wręcz tragicznej sytuacji. Było to w roku 1926 podczas wypadków majowych, kiedy obie zostały zablokowane w „Bristolu”, który znalazł się w centrum ulicznych walk. Rodzice ich przebywali wówczas w Krakowie. Lilka i Madzia były bez grosza, a kredyty w restauracji zostały im wymówione.

Sytuacja nie do pozazdroszczenia. Najlepsi przyjaciele nie mieli odwagi ryzykować przedostania się przez centrum walk. Siostry są opuszczone i osamotnione. Nagle o ósmej wieczorem telefon od Sztajnsberga: 179

- Lilka, Madzia, chcecie coś szybko zarobić?

- Chcemy, chcemy, Marianku najdroższy, zamów cokolwiek, byle za gotówkę.

- Musicie - mówi Sztajnsberg - napisać satyrę na to, co się dzieje.

Ma być do jutra do godziny dziewiętej gotowa. Przyślę do was o tej porze gońca z przepustką, jednocześnie doręczy wam grubszą gotówkę. Zała-twione? No to bądźcie zdrowe!

Siostrzyczki uprosiły znajomego kelnera, aby im po raz ostatni przyniósł na kredyt dużą maszynkę czarnej kawy i butelkę koniaku. Pisały przez całą noc i gdy o godzinie dziewiętej rano goniec zapukał do ich drzwi, dzieło było gotowe. Był to rodzaj pamiątnika jakiejś damy, która wyszła za mąż za Francuza i po kilku latach przyjeżdża do kraju. Traf chce, że akurat zjechała do Warszawy na wypadki majowe i przez dłuż-

szy czas nie może się zorientować, kto z kim walczy i dlaczego. Oto krót-ki fragment z tej broszurki,

która w dzień później ukazała się w sprzeda-

ży ulicznej pod tytułem: „Dodatek Nadzwyczajny”: *Ludzie rozmawiali z ożywieniem, stojąc grupami na ulicy. Znać by-*

ło ogólne mile podniecenie, radość, że nareszcie coś się dzieje. Nagle ściemniło się jak przed gradem - słońce zasłoniło się chmurami jak jasna twarz brudnymi rękami. Równocześnie doleciał mnie grzechot karabinów maszynowych, podobny do odgłosu rozdieranego płótna, a znany mi tylko z opisów wojny. Rzeczywiście padał grad, ale żelazny.

Tłum sfrunął w jednej chwili w boczne ulice i ukrył się w sieniach jak przed ulewą. Co chwila ktoś wystawiał rękę, by sprawdzić, czy kule jeszcze padają. Po chwili tłum wyłonił się z ukrycia i natychmiast znów dał nura, bo właśnie przez Krakowskie Przedmieście przebiegał patrol policji na rozbieganych koniach. Domyśliłam się, że jest wojna. Z kim, dlaczego?

- Czyżby Niemcy? - zaświtało mi w głowie. - Tak wkroczyć bez wypowiedzenia wojny! Do czego to podobne?

0 Boże, daj naszym zwycięstwo!

Godzina 9 wieczór.

Coraz gorzej.

Karabiny maszynowe grają, po prostu polewają ulice na dwie strony.

Pani Marzec, numerowa, przyszła zasłonić okna firankami.

- Nie wolno - rzekła - patrzeć, bo będą bomby rzucać, a to im przeszkadza, gdy się patrzy. Przyszedł rozkaz, aby okna zamknąć i zasłonić.

180

- A jak się powodzi naszym? - zapytałam. - Bija wrogów?

- A kto ich tam wie - odparła chmurnie pani Marzec. - Sądny dzień. Bristol, mówią, że będzie ostrzeliwany.

13 maja rano.

Widziałam jeńców.

Lajdaki, widać umyślnie poprzebierali się w polskie mundury, aby łatwiej im było wdrzeć się do Warszawy. Jest podobno dużo ofiar.

Cieszę się, że nie jestem ofiarą w ludziach.

JULES ROMAINS

Jules Romainsa, autora *Le Dieu des Corps*, poznały Lilka i Madzia na wielkim zjeździe Pen-Clubu, który odbył się w Polsce w roku 1930 i na który, jako autorki dramatyczne, zostały również zaproszone. Wśród sławnych gości był Galsworthy, dostojny siwy pan z dystygowaną starszą damą, swoją małżonką, austriacka powieściopisarka Vicky Baum i kilka innych zagranicznych sław. Na wielkim bankiecie w Krakowie Madzia przypadkowo znalazła się w sąsiedztwie Jules Romainsa, którego na wstępie ich znajomości wzruszyła szczerością, że nie czytała ani jednej z jego książek. Wszyscy członkowie Pen-Clubu wraz z przyjezdnymi gośćmi pojechali z Krakowa autami do Zakopanego. Madzia wsiadła do auta, w którym zajął miejsce Romains. Ze swoją krępą budową i rzym-skimi rysami wyglądał trochę na aktora grającego rolę Menelausa w

„Pięknej Helenie” Offenbacha. Mówił bardzo dużo i przeważnie o sobie.

Madzia słuchała go w uprzejmym milczeniu, czym go wraz z różową twarzyczką i niebieskimi oczami podbiła kompletnie.

- *Oh, ces yeux bleus* - mówił ściskając ją za rączkę, po czym dalej opowiadał o sobie, o sztuce, którą pisze, pod tytułem *Le docteur Knock*, o urbanistyce, którą się specjalnie interesuje. Mówił pięknym literackim językiem, barwnie i interesująco. Wieczorem całe towarzystwo poszło oglądać tańce góralskie, które Anglików wprawiły w szal entuzjazmu.

Późno poszło się spać tego wieczoru, z głową trochę szumiącą po tych wszystkich wrażeniach jak również i po większej ilości wypitego alkoholu. Około pierwszej w nocy, gdy Madzia, w szlafroku, czesała i szczot-kowała włosy, drzwi się nagle cicho otwały i w nich ukazał się Menelaus w pidzami w paski. Magdalena tak się nie spodziewała tego widoku, że 183

wiedziona jakimś dziecinnym przyzwyczajeniem przeżegnała się. Słynny pisarz rzekł wówczas głosem teatralnie wzruszonym:

- Och, jakie to piękne! *Une jeune femme pure et innocente* - (akurat!) - która na widok mężczyzny robi znak krzyża świętego, jak mniszka na widok szatana. Tę scenę muszę opisać w którejś z moich powieści!

Wystąpi w niej pani, *Madeleine*, dokładnie opisana.

- Marzę o tym - odparła Madzia - ale na razie, drogi mistrzu, będzie pan uprzejmy opuścić ten pokój!

- *Oh, chérie!* - zamruczał sławny pisarz obejmując jej talię - czy doprawdy tak się mnie boisz?

Madzia miała ochotę roześmiać się i powiedzieć, że nie jest znowu taki groźny, ale miała przecież do czynienia ze słynnym powieściopisarzem, więc trzeba było odegrać rolę „czystej i niewinnej” do końca. Zło-

żyła więc ręce błagalnie prosząc, aby jej nie wodził na pokuszenie. Jeśli Romains niewątpliwie

zgrzywał się, to ona nie mogła, jako pisarka, pozostać w tyle.

- Skoro mnie kochasz, to czemu... czemu nie chcesz zemdleć z rozkoszy w moich ramionach? Oh, *Madeleine* - upajał się własnymi słowami - ty wiesz, jaką noc przeżylibyśmy razem!? Wycalowałbym cię całą do dna, aż do bólu... - To oczywiście byłoby się stało, gdyby sławny pisarz miał wygląd bardziej atrakcyjny, ale ponieważ ze swoją wielką głową fałszywego Rzymianina, łysiejącym czołem i niskim wzrostem nie był

wymarzonym typem do - jak mówią słowa tanga - „czy pamiętasz tę noc w Zakopanem”, więc Madzia - wytłumaczywszy mu, że „jej miłość do niego nie dojrzała jeszcze do tego stopnia, aby mogła mu tak od razu paść w objęcia... że to są sprawy dla niej wielkie i święte” - zdołała go wyprowadzić za drzwi.

- *Alors, à demain, chérie* - mruknął namiętnie, rozplaszczając jej usta dużymi miękkimi wargami. - *Oh, je t'aime* - dodał jeszcze na pożegnanie.

Nazajutrz, gdy się spotkali, robił wrażenie poważnie zakochanego.

Spoglądał na nią ciepło i miękko, wtulał się ustami w jej dłoń, gdy nikt na nich nie patrzył, i ponieważ w tej epoce nosiła przeważnie kolor różowy 184

albo różowy z czarnym, zaczął ją nazywać *ma petite rose de Cracovie*.

Madziusia była wzruszona i zachwycona. Oto zdobyła miłość nie byle jakiego człowieka, słynnego pisarza, którego powieści znane były na całym świecie. Radowała się więc tą zdobyczą i z dumną miną spogląda-

ła na inne młode kobiety, których ten honor nie spotkał. Tego dnia cały zjazd członków Pen-Clubu wybierał się na wycieczkę z Czerwonego Klasztoru

do

Szczawnicy,

z

przeprawą

tratwami

po

Dunajcu. Między zaproszonymi gośćmi znajdował się również ksiądz Włoch, lektor UJ w Krakowie, który niepokojąco wyglądał

w swoim szerokim płaskim kapeluszu, czarnej sutannie, z suchą i ascetyczną twarzą Savonaroli. Madzia, tak samo jak jej siostra, była szalenie przesądna i obecność księdza na wycieczce przejmowała

wała ją lękiem.

- Żeby nam tylko ten ksiądz nie przyniósł pecha - rzekła Madzia do Lilki, wyobrażając sobie, że on po polsku nie rozumie. - Wygląda wśród nas jak czarny kruk...

- Ja też się tego trochę obawiam - odparła Lilka podejrzliwie zerka-jąc w jego stronę.

Lektor z trochę diabelskim uśmiechem podszedł do nich i zacierając długie, suche dłonie, wyrzekł po polsku słowa, od których dreszcz przeszedł po plecach obu zabobonnych siostrzyczek:

- Ksiądz zawsze się może okazać potrzebny, zawsze... nigdy nic nie wiadomo...

Było to właśnie podczas przeprawy na Dunajcu tratwami i niedługo po wyrzeczeniu tych słów zerwał się wichur, uderzyły pioruny i siekł

deszcz, który w jednej chwili z barwnych kobiecych szatek uczynił mokre szmatki. Jules Romaines gestem prawdziwego zakochanego zerwał z siebie trench i okrył nim przemokniętą do nitki *petite rose de Cracovie*.

- Widzisz - szepnęła Lilka do Madzi - księżulo już przyniósł pecha, a cóż dopiero będzie dalej...

Mimo to tratwy szczęśliwie dobiły do brzegu i całe liczne towarzystwo, ociekając wodą, schroniło się do obszernej restauracji, gdzie przy-gotowane były już dla nich długie stoły, wódka i zakąski. Anglicy, prości, i bezceremonialni, pozdejmowali ze siebie wszystko z wyjątkiem spodni 185

i ze sportowym dobrym humorem poczęli suszyć swoją garderobę w kuchni. Niektórzy Polacy poszli za ich przykładem. Atmosfera zaczęła być przyjacielska, wesoła i ciepła.-Wszyscy czuli się po trochu rozbitka-mi, których fale morskie wyrzuciły na brzeg. Zagrała pod zmysły cygań-

ska muzyka i Anglicy, wydekoltowani, z szalikami zawiązanymi na szyi, w cudownych humorach, zaczęli obtańcowywać wszystkie panie - *Aoh, how fine - splendid joke!* - mówili śmiejąc się szeroko. Oczywiście należy zaznaczyć, że wśród, nich nie było Johna Galsworthy'ego, który, również jak oni zmoczony, ale nie wychodzący z fasonu, pogodny i zrównoważony popijał wino wraz ze swoją piękną siwą żoną. „Zakochani” - to znaczy Jules Romaines i Magdalena - siedzieli obok siebie, rozgrzewając się alkoholem. - *Je vous aime, chérie* - szeptał od czasu do czasu, spoglądając na nią gorąco czarnymi, błyszczącymi oczyma. Lilka, dla której istnieli tylko piękni mężczyźni, obojętnym okiem patrzyła na tę nową Madziną konkietę. Ksiądz Włoch, w swoim płaskim czarnym kapeluszu z błyszczącego filcu, siedział z tą samą co poprzednio ironiczno-ascetyczną twarzą. Popijał wino i podłużnymi oliwkowymi oczami spoglądał na całe to rozbawione towarzystwo.

Na trzeci i ostatni dzień pobytu penklubowców w Zakopanem wyzna-czona była wycieczka do Morskiego Oka samochodami. Wśród właścicieli samochodów znajdował się zakopiańczyk Dominik Domaniewski, autor ornitologicznej książki pod tytułem „Ptaki polskie”, nie tylko zami-

łowany i zdolny ornitolog, ale również wielki znawca alkoholu, do które-go złąziła się cała brać artystyczna, aby wraz z nim tego popijać nalewki jego własnej fabrykacji. Znany był również z wariackiego prowadzenia samochodu i trzeba było być bardzo odważnym albo też mocno pod gazem,

aby zdecydować się jechać z nim jako kierowcą. Drugie śniadanie w „murowańcu” nad Morskim Okiem odbywało się w serdecznej i przyjacielskiej atmosferze. Alkoholu, jak zwykle w Polsce przy tego rodzaju okazjach, nie brakowało. Bractwo jadło kotlety schabowe z kapuchą, zakrapiane gorzałą, piło zagraniczne wina, przegryzając je owczymi serkami, i goliło koniak do czarnej kawy. Nie brakło również toastów.

186

Najpiękniejszy wygłosił w języku francuskim świetny bajkopisarz i tłumacz, Julian Ejsmond. Po tym wesołym poczęstunku wszyscy zaczęli się zbierać do odwrotu. Dominik Domaniewski serdecznie zapraszał do swojego samochodu. Madzia, znając już dobrze jego wariacki sposób jazdy, zwłaszcza kiedy się napił, przezornie pociągnęła swojego nowego przyjaciela Romainsa do innego wozu. Do samochodu Dominika wsiadł

Ejsmond i poeta Gałuszka wraz ze swoją prześliczną młodą żoną.

Auto Domaniewskiego było jednym z ostatnich, które ruszyło do odwrotu, może dlatego, że musiało załadować jeszcze jednego pasażera.

Pasażera o skośnych oczach i uśmiešku Buddy, którego moglibyśmy nazwać PRZEZNACZENIEM, a który usiadł tuż obok kierowcy.

- Wolniej! Wolniej! - krzyčili przerażeni pasażerowie, gdy Dominik w ostrym tempie brał zakręty serpentyn.

- Szybciej, jeszcze szybciej! Nie hamować! - krzyczało mu do ucha PRZEZNACZENIE.

Katastrofa była nieunikniona, tak jak na morzu, gdy z daleka widać nadpływający lodowiec, którego nie można już wyminąć, i pasażerowie musieli się czuć, podobnie jak ci na „Titanicu”, kiedy steward przyszedł

im oznajmić: - *Ladies and Gentlemen - Danger!* - W pewnej chwili stało się. PRZEZNACZENIE zawyło z radości. Koło strzaskanego wozu leżały ciężko ranne ciała pasażerów. Poeta Ejsmond, uderzywszy głową o skałę, ze złamaną podstawą czaszki, zmarł po kilku godzinach, nie odzyskawszy przytomności. Gałuszkowa odniosła ciężkie kontuzje. Tylko kierowcy i jego kosookiemu towarzyszowi nie stało się nic.

Byłoby oczywiście nonsensem i bzdurą twierdzić, że przyczyną tej ca-

łej potwornej katastrofy była obecność na wycieczce księdza Włocha w czarnej sutannie i błyszczącym czarnym kapeluszu. Ale Madzia nie mogła długo zapomnieć jego dziwnych słów: „Ksiądz zawsze może się przydać... nigdy nic nie wiadomo...”

Flirt Madzi z francuskim pisarzem trwał dalej. Madzia odgrywała rolę „czystej” rozwódki, pierwszy raz zakochanej, on zachowywał się niemal jak zadurzony po uszy student. Prawdą zaś było to, że jej przede 187

wszystkim pochlebiała bardzo jego adoracją, a on miał ochotę „kuszować” z tą miłą, różową młodą Polką, której oryginalne uwagi i powiedzonka notował sobie w pamięci, jako że mogły mu się przydać do kó-

rejs z jego powieściowych lub komediowych postaci. Poza tym należy przyznać, że Romain był szalenie inteligentnym i bystrym panem i czarującym kompanem, pełnym dowcipu i humoru, i w zaletach jego umysłu można się było naprawdę zakochać. W Krakowie pozostał jeszcze kilka dni, mimo iż wszyscy cudzoziemscy goście pojechali dalej. Cały dzień włóczyli się z Madzią po mieście, które mu specjalnie przypadło do serca. Jeździli autem Tatki po okolicach Krakowa. Byli w Ojcowie i na Bielanach. Dźwięk dzwonów z klasztoru Kamedułów, połączony z kuka-niem kukulki, zafascynował go do tego stopnia, że na chwilę zapomniał

o-swojej „różyczce”. Stał olśniony, zasłuchany. Był prawdziwym pisarzem z krwi i kości, artystą, dla którego twórczość jest jedyną ważną rzeczą na świecie. Wieczorami przesiadywał na Kossakówce, gdzie kochane Mamidło, któremu trudno było wytłumaczyć, iż francuski pisarz

o tak podobnym nazwisku nie jest Romain Rollandem, zabawiało go pięknem *Jean Christophe'a*. Zakochał się formalnie w hejnale z wieży kościoła Mariackiego i w swoich późniejszych listach prosił Madzię o nuty hejnału. Po kilku dniach, zmuszony wyjechać do Hanoweru, zaczął

namawiać Madzię, aby koniecznie z nim pojechała.

- Przecież nie posiadam ani zagranicznego paszportu, ani chwilowo potrzebnych na wyjazd pieniędzy.

- Ja to wszystko załatwię. Och, nie opuszczaj mnie, *ma chère petite colombe...*

Madzia czuła się panią Hańską przy Balzaku i nieraz przychodziło jej na myśl, czy nie byłoby dobrze wyjść za mąż za tego uroczego pisarza,

„poświęcić się dla jego wielkiego talentu”. Leżało to po trochu w naturze Polek „poświęcać się” w ten sposób - Pani Hańska, Księżna Łowicka, Pani Walewska... Napoleon też był mały, krępy, łysiejący... Niemniej

„Maciusiowe nocki” - jak to nazywały obie siostry (określenie wzięte z tytułu jakiejś powiastki dla dzieci) - nie musiały należeć z nim do tych 188

najprzyjemniejszych. Mistrz rzadko wspominał o swojej żonie, a jak wspominał, to tak jak o meblu w swoim mieszkaniu: obojętnie i mimo-chodem. Gdy wyjeżdżał do Niemiec, Madzia z wiązką róż

prosiła go na dworzec. Miała łzy w oczach, żegnając się z tym czarującym przyjacielem (łzy miewała dawniej na każde zawołanie, tak jak uśmiech).

Nazajutrz otrzymała od niego telegram, aby koniecznie postarała się o wyjazd do Niemiec. Pisarz nie potrafił myśleć realnie albo też udawał.

Telefonował do niej dwa razy. Z Paryża przysłał jej swoją trylogię *Le Dieu des Corps*, *Quand le Navire* i *Lucienne* wraz z pozwoleniem tłumaczenia ich na język polski. Te trzy powieści, których Madzia jeszcze nie czytała, wprawiły ją w zachwyt, szczególnie pierwsza - „Bóg ciał”, gdzie skrajnie pornograficzne sceny opisane były tak po mistrzowsku, że Madzia nie mogła odżałować, iż nie stała się dla niego tym, czym pani Hań-

ska dla Balzaka. Był to rzeczywiście wielki i wspaniały pisarz. Listy, które co kilka dni od niego otrzymywała, zaczynały się tak pięknie od słów: „*Ma rose Rose*” albo „*Ma colombe de Cracovie*” lub „*Ma Rose de Cracovie*”. Pełne były artystycznie zestawionych i komponowanych zdań ognistej miłości. Po tych listach można było się naprawdę zakochać w Jules Romainsie.

Będąc w jakiś czas później w Warszawie Madzia, rozmawiając z Ireną Krzywicką, pochwaliła jej się, iż otrzymała od Romainsa pozwolenie na tłumaczenie jego powieści.

- To dziwne - zdumiała się Irena - bo mnie również dał zaświadczenie, że mam prawo tłumaczyć jego dzieła na język polski...

- A czy pisuje do ciebie listy? - zapytała Madzia podejrzliwie.

- Jeszcze jakie!

- Miłosne? - zapytała Madzia wzburzonym głosem.

- Masz pojęcie! Każdy list zaczyna od słów „*Ma Rose noire...*”

- A do mnie - „*Ma Rose rose...*”

- Do mnie - licytowały się - pisze: „*Ma colombe de Varsovie*”!

189

- A do mnie, gałgan, „*Ma colombe de Cracovie*”!

Skonfrontowały korespondencję otrzymywaną od Jules Romainsa i pokazało się, że listy do Ireny były prawie jednakowe z listami pisanymi do Magdaleny, tylko że do jednej dodawał przymiotnik „różowa”, a do drugiej: „czarna”, jedna była „turkaweczką z Warszawy”, druga „gołą-

beczką z Krakowa”.

Śmiały się okropnie, odczytując tę korespondencję, chociaż ich śmiech nie był zbyt szczerzy, i postanowiły nie odpisywać mu więcej na listy. Madzia jednak nie wytrzymała i napisała mu, że jego szkaradna dwulicowa gra wyszła na jaw, że czytała jego listy do Krzywickiej etc. i że uważa wobec tego ich miłość za skończoną.

Odpisał jej w ten sposób:

Chérie! (wstrzymał się już od nazwania jej „gołąbeczką z Krakowa”) Nie miej mi tego za złe, jestem

przede wszystkim pisarzem i chciałem się przekonać, jak zupełnie różne od siebie dwa typy kobiece będą reagować na te same wyznania miłosne jednego człowieka... Ale wierz mi. *Chérie*, że tylko Ciebie kocham naprawdę.

itd. itd.

Madzia z wściekłością podarła ów list i wcale nań nie odpisała. Uwa-

żała swój niedoszły romans z Romainsem za skończony i zajęła się zupełnie kim innym. Jules też przestał pisywać listy. Różowy papier listowy przeznaczony wyłącznie do korespondencji z francuskim pisarzem, przesycony perfumami, których wówczas używała, a które mu szalenie odpowiadały, poszedł na korespondencję z wydawcami i redaktorami.

Ale dowcipny Los, który zanadto bawiła ta cała niezwykła przygoda, nie dał za wygraną i po roku w jakąś dżdżystą krakowską jesień przyszedł list od Romainsa i z niezwykłą zaiste propozycją: *Chérie* - pisał „szalony Julek” - kocham cię zawsze i niezmiennie, jesteś dla mnie jedyną kobietą na świecie. Skończyłem moją komedię *Le Docteur Knock*, którą mi teraz będą wystawiać w Paryżu - chcę odpocząć przy tobie... *Chérie*. Jestem zupełnie sam. Przyjedź, zamieszkaż w mojej willi, spędzimy razem ogniste noce i jasne dni... Przyjedź, najdroższa, do Paryża. Oczekuję Cię. Twój stęskniony Jules.

190

Madzia była oszołomiona. Jak to, więc nie zapomniał o niej, więc naprawdę była dla niego wszystkim?! Chciał ją mieć przy sobie, ten cudny autor *Le Dieu des Corps*?... Pojechałaby natychmiast, przebaczywszy mu jego poprzednie wobec niej grzechy... ale ZA CO?

Interesy tej zimy przedstawiały się bardzo marnie. Pieniądze ze zbioru „O dowcipnym mężu dobrej Ludwiki” dawno się skończyły, zresztą, cóż to były za pieniądze: 500 złotych - kapaniną. Tatko też nie był przy forsie, sprzedać nie było już co, ponieważ rodzinne klejnoty Starzewskich wsiąkły jeszcze w Monte Carlo. U kochanego Wolfka wisia-

ła już na dobrych kilkaset złotych. Smutek, nędza i żałość ogromna...

Odpisała, mu więc zupełnie szczerze, że natychmiast przyjechałaby do Paryża spędzić z nim kilka tygodni, ale że chwilowo jest w tak złych warunkach pieniężnych, iż musi z tego uroczego projektu zrezygnować.

W kilka dni później otrzymała od Julesa uroczy i ciepły list, w którym doniósł jej, że obecnie tak świetnie zarabia, iż zaprasza ją do siebie na swój koszt.

Na podróż - pisał - pożycz od kogoś, a ja Ci tę sumę zwrócę natychmiast. Między ludźmi, którzy się naprawdę kochają, takie drobiazgi nie powinny istnieć. Nie bądź małą mieszczańką! Zresztą, jeśli koniecznie sobie życzysz, uważaj to za pożyczkę, którą mi kiedyś zwrócisz... *Chérie*, spędzam z Tobą całe noce, rozmawiamy ze sobą, a potem budzę się i tęsknię, tęsknię tak bardzo... Przyjeżdżaj natychmiast - *Ton Jules*.

Jakaż kobieta oparłaby się takim słowom? Mało która. Madzia przechodziła ze sobą długie walki. Obie siostry były pod względem finanso-wym bardzo surowych obyczajów i od żadnego ze swoich amantów nie byłyby pożyczły ani grosza. Od adoratorów wolno im było tylko przyjmować kwiaty i cukierki, nawet przy płaceniu taksówki staczały z nimi walki. Kiedy raz Madzia otrzymała od jednego z nich kosztowne perfumy, Lilka w tej chwili obdarzyła ją epitetem „kokoty”. Pożyczyć

pienią-
dze można było tylko od krakowskich lichwiarzy - od nikogo więcej.

Więc co robić? A z drugiej strony smętna szarzyzna polskiego listopada, długie, czarne, gołe drzewa w ogródku na Kossakówce, pełne wróbli, 191

które jak gruszki siedziały na wszystkich gałęziach, a wśród nich czarne sutanny wron - kra kra kra - wrzeszczały od rana bez przerwy cały dzień.

Lilka, oczekując jak zwykle jakiegoś słodkiego listu, pisała pod ich orkiestrę najsmutniejsze wiersze. Niewesoło było podczas owych krakowskich jesieni. Zaduszki... potem adwent. Żałobne hrabiny sunące z wielkimi książkami do nabożeństwa do krakowskich kościołów, czarni księża.

Smutek i jeden wielki cmentarz. Czasem tylko szło się do teatru lub do kina. Życie w Krakowie zaczynało się dopiero z chwilą rozpoczęcia karnawału, wtedy wolno było znów szaleć, noce spędzać na tańcach i swa-woli. Madzia pół dnia przebywała w pływalni YMCA - z nudów. W tej epoce ludzie mieli czas na tak zwaną nudę. Mówiło się: „co ja sobie wy-myślę, aby się nie nudzić...” Chodziło się z wizytą do znajomych, którzy też się „nudzili”.

Czytywało się moc książek, grało się w brydża. Ale dzień miał o wiele więcej godzin niż obecnie i było kilka takich, w których jedynie czekało się na lube telefony, na dzwonek u drzwi wejściowych, na listonosza.

Pisywało się również dużo, rano i wieczorami, ale mimo to godzin do nudy jeszcze pozostawało kilka. Zważywszy to wszystko, nie można się tak bardzo dziwić Madzi, iż po dłuższej walce ze sobą, nie poradziwszy się starszej siostry, odpisała Roinainsowi, że zgadza się na jego propozycję, że koszty, które na jej pobyt i podróż wyłoży, zwróci mu, gdy tylko wyjdzie jej nowa książka, że cieszy się szalenie na spotkanie z nim etc.

Francuz nigdy jej więcej nie odpisał.

Nie wiadomo, czy nie pojechała do niego Irena Krzywicka.

Rozdział X

SARMENTO DE BEIRES

Kiedys może właśnie podczas owych „nudów”, Lilka, przeglądając ja-kaś francuską gazetę, ujrzała fotografię pięknego portugalskiego lotnika, jednego z tych, którzy przelecieli Ocean. Pod fotografią wydrukowany był we francuskim tłumaczeniu jego wiersz, który zachwycił poetkę.

Poeta i zarazem lotnik! Czy może być coś wspanialszego? Poeta chodzi po ziemi - lotnik buja w obłokach. To jest już prawie kanwa do nowego wiersza. Lilusia chodzi po domu zamyślona, chwilami uśmiecha się do siebie. Napisała do pięknego nieznajomego - „zdobywcy Oceanu” list, który posłała do redakcji owego paryskiego czasopisma. Czy ten list dojdzie do jego rąk? Czy odpisze? Ale jest o czym myśleć, czego wycze-kiwać. Jest powód, aby sfruwać na dół po schodach, gdy się przez okno pięterka ujrzy kroczącego listonosza, z czapką o czerwonym otoku i du-

żą, czarną skórzaną torbą, która może zawiera dla niej szczęście bez granic.

- Jest coś dla mnie, panie listonoszu?

- Nie, nie ma nic... Ja tobym napisał do pani - dodaje widząc żal-sną i zawiedzioną minę młodej kobiety.

Te słowa pocziwego listonosza zamieściła Lilka później w jednym ze swoich wierszy.

I nagle dzieje się cud! Przychodzi odpowiedź od poety-lotnika: miły, ciepły, pełen zainteresowania list dla nieznajomej, która tak odważnie i pięknie do niego napisała. Zaczyna się między nimi korespondencja, z każdym listem nabierająca cech korespondencji miłosnej. Lilka, wciąż smutna i bez sił, powraca do życia. Jest z nią odwrotnie jak w wierszu Heinego, do którego muzykę skomponował Schumann: „*Und mein Stamm sind jene Azra, welche sterben, wenn sie lieben...*” Lilka 193

jest z innych „Azrów” - z tych, którzy umierają, gdy kochać nie mogą.

W tym okresie, w okresie wymiany listów miłosnych z Sarmentem, Lilka zaczęła rozkwitać: twarz nabrała kolorów, oczy poczęły błyszczeć jak lampy, którym słabą żarówkę zamieniono na setkę. Ma trzydzieści lat, jest młoda i po swojemu piękna; wie, że może dać kochanemu mężczyź-

nie najwyższe szczęście. Listy, które do niej pisuje nieznajomy, nie są przybyszewszczyzną - jak listy pisane ongiś przez Jasia Pawlikowskiego -

jest to raczej coś z *Il Fuoco* d'Annunzia. Sam ogień, sama namiętność.

Lilka zasypia z tymi listami pod poduszką i z pyszczkiem wiewiórki przy-tulonym do twarzy. We śnie pyszczek ukochanego Sorka przemienia się w piękną twarz kochanka, którą zna tylko z fotografii. Lilka chodzi ła-godna, słodko zamyślona, siada często do fortepianu i gra wyjątki z

„Madamy Butterfly” i z „Szecherezady” Rimskiego-Korsakowa. Wieczorami wykańcza swoją sztukę, pisaną wierszem, pod tytułem „Bracia syjamscy”. Często z całą rodziną zasiada do modnego wówczas „Mah-Yonga”, w którym poszczególne układy kostek nazywają się tak pięknie i tajemniczo: „Płaszcz Mandaryna” albo „Dar Niebios”. Lilka uśmiecha się do tych nazw, jej Sarmento to też „Dar Niebios”, który wszystkie jej do-tychczasowe tragedie sercowe przykrył wielkim mieniącym się „Płasz-czem Mandaryna”. Jaś Pawlikowski, z którym przeprowadzają rozwód, przyjeżdża jeszcze od czasu do czasu, ponieważ nie może się całkowicie oderwać od rodziny Kossaków. - Najwięcej to mi będzie żal Mamidła -

rzekł kiedyś do Madzi, z którą w dalszym ciągu łączy go braterska przyjaźń. Lilka spogląda teraz na niego z obojętną sympatią i życzy mu jak najlepiej. Tak jak w jej sztuce „Bracia syjamscy” zamienił się w pięknego Nieznajomego i Lilka jest mu tylko wdzięczna, że pierwszy zapragnął

rozcięcia więzów, które tak długo splatały ze sobą „braci syjamskich”.

Jaś jest dżentelmenem i zapewnia żonie materialny byt, zgadzając się płacić jej miesięcznie dużą rentę. Lilka jest teraz osobą zamożną która może sobie pozwolić na podróże do Paryża. Po dwóch miesiącach coraz gorętszej korespondencji Lilka postanawia jechać do Francji, aby tam się spotkać ze swoim nieznanym kochankiem. Rodzice są zaniepokojeni 194

ach, te córki, chwili spokoju z nimi mieć nie można! Ledwie ta delikatna Lilusia trochę przyszła do zdrowia, a już znowu gdzieś się wybiera w świat. Jest zima, jeszcze się biedactwo zaziębi...

- We Francji - pociesza Mamę Lilka - jest o wiele łagodniejszy klimat niż tutaj. Będzie mi tam ciepło, nawet gorąco - dodaje z tajemniczym uśmiechem. Z całej tej niezwykle miłosnej przygody zwierzała się tylko siostrze. Madzia wie o wszystkim i nawet zna treść niektórych listów Sarmenta. Jest jako pisarka zachwycona tą całą historią, zdradza tylko pewne obawy, czy po bliższym poznaniu nie nastąpi rozczarowa-nie. Lilka też się tego trochę obawia, ale pragnienie ujrzenia tego, z któ-

rym zamieniła tyle najgorętszych słów, tyle miłosnych wyznań, jest zbyt silne, aby się mogła go wyrzec. W oznaczonym dniu mają się spotkać na Gare du Nord w Paryżu. Madzia nigdy nie zapomni pożegnania z siostrą, gdy ta rano weszła do jej pokoju. Wyglądała zachwycająco w nowym luźnym płaszczyku z kretów i czapeczce z tego samego futra, podbitego błękitnym aksamitem.

- Ach, jak ty ślicznie wyglądasz, jak elegancko! Napiszesz, najdroż-

sza, zaraz po przyjeździe?

- Postaram się, o ile będę miała czas... Ach, Madziusiu, co za wspaniałe ryzyko! Ty sobie nie wyobrażasz, jak ja się boję tego spotkania i jednocześnie jak strasznie się na to cieszę!

- Tylko taką poetkę jak ty mogła spotkać ta niezwykła przygoda -

wzdycha Madzia. - Mnie to nic podobnego w życiu nie czeka. - Jest normalną, okrągłą, krwistą kobietką, która ma teraz zakochanego w niej do białości ułana, ale to może mieć i każda inna kobieta. Ułan strzela się dla niej i szaleje, i chce się z nią ożenić, ale ona marzy o jakiejś Wielkiej Przygodzie. Role są zmienione; ułan klęczy przed nią i błaga ją, aby za niego wyszła za męża, a ona nie chce - przeciwnie niż w innych roman-sach, kiedy zwykle kobiety były stroną gwałtem dążącą do małżeństwa.

Kilka dni temu, a było to wieczorem w salonie na Kossakówce, wzruszona długotrwałym uczuciem ułana, powiedziała mu: - No, dobrze już, dobrze, wyjdę za ciebie za męża, tylko nie nudź! - Całą noc później nie spała z przerażenia i nazajutrz oświadczyła mu, że to było chwilowe za-

łamanie. *La Garçonne* Margueritte'a stworzyła nowy rodzaj kobiet: 195

pracujących na siebie, samodzielnych, które pragnęły żyć - jak chciały.

Madzia była jedną z nich. Siostry padają sobie w objęcia i długo całują się.

- Życzę ci największego szczęścia, Lilusiu!

Lilka jest przerażona: - Ach, odwołaj to, coś powiedziała! Nie można życzyć szczęścia tym, którzy chcą się wznieść ponad ziemię... lotnicy bardzo przestrzegają przed każdym lotem, aby im nikt szczęścia nie życzył.

- No to pomyślnych wiatrów i uwaga na zakrętach - zaśmiała się Madzia.

Lilka w tłumie na Gare du Nord rozpoznaje smukłą i elegancką sylwetkę portugalskiego lotnika. Padają sobie w objęcia, jak gdyby się znali od dawna. W Paryżu ludzie, przyzwyczajeni do tego rodzaju powitań, nie zwracają na nich uwagi.

- *Ma chérie, ma belle, ma poupée* - szepcze kochanek, ściskając ją za rękę. Ze wzruszenia brak im słów.

Sarmento zamówił dla nich duży i luksusowy pokój w pierwszo-rzędnym hotelu, gdzie ją melduje jako swoją żonę. Przeżywają najpiękniejsze dni i noce, odnajdziemy je później w wierszach Pawlikowskiej.

Los tym razem nie zawiódł jej. Sarmento jest wspaniałym człowiekiem i wymarzonym kochankiem. Lilka jest tak szczęśliwa, że aż się boi, że takie szczęście to grzech, za który będzie musiała ciężko odpokutować.

Odpędza te myśli od siebie, chodzi do fryzjera, do kosmetyczki, aby być jeszcze piękniejsza. Sprawia sobie najładniejszą bieliznę i pończochy

„Lys”, które opinają nogę jak rękawiczka. Wieczorami przygotowuje w hotelowym pokoju kolacyjki z winem, winogronami i serem. Biegają po Paryżu, zwiedzają muzea. Dobrze jej z tym cudnym lotnikiem-poetą, jak jeszcze nigdy z nikim. Ale co będzie dalej?... Czy jej wymodlonemu wierszami szczęściu nie grozi jakaś katastrofa? To wszystko jest za piękne, aby miało trwać wiecznie. Na razie jest pogoda i słońce miłości ogrzewa ją swoimi promieniami, ale co będzie, gdy spadnie deszcz z gradem?

Grad to za mało - nagle zrywa się burza. Piorun pada w samo serce poetki i Lilka ma wrażenie, że z tego ciosu już się nie podniesie. A dzieje się 196

to pewnego pogodnego dnia, kiedy nic, żaden wewnętrzny PIHM nie przepowiadał takiej żywiołowej katastrofy. Sarmento wyszedł rano do miasta, aby coś załatwić. Lilka stała przed lustrem czesząc swoje bujne popielate włosy, zza okna dochodził miły świergot chłopców sprzedają-

cych gazety i wołających głośno: „*Le Matin! Le Matin!*”, a to słowo miało w sobie ostrość i świeżość poranka. Młodość oznajmiała radosnym głosem, że nadszedł wesoły paryski dzionek. Wieczorem pod tymi samymi oknami stara kobieta, sprzedająca gazety, woła przyćmionym żalonym

głosem: „*Paris Soir! Paris Soir!*” - zawiadamiając, że oto dzień się skoń-

czył i że nie wiadomo, co następny przyniesie...

Ktoś nagle zapukał do drzwi hotelowego pokoju. Lilka, nie spodziewając się niczego złego, powiedziała: „*Entrez*” i do pokoju wpadło... Nieszczęście! Było przystojne, młode, z rozburzonymi czarnymi włosami, miało błędne oczy i zacięte usta.

- Jestem żoną Sarmenta! - zawołało Nieszczęście i wybuchnęło płaczem.

- Ach! - Lilka oparła się o krzesło. Nie wiadomo, która z tych dwóch kobiet była w tym momencie bledsza. - Nie wiedziałam - szepnęła - nie wiedziałam, że Sarmento jest żonaty... Nigdy mi o tym nie wspominał...

- Tak - łkała czarna pani - jestem jego żoną... kochaliśmy się dotąd bardzo. Ale ja wiem, on kocha teraz tylko panią. Wiem o wszystkim! Och

- jęknęła - jakżeż jestem nieszczęśliwa! - porwała nagle małą czarną walizeczkę, którą ze sobą przyniosła, i zdecydowanym krokiem podeszła w stronę drzwi. - Idę do Sekwany utopić się! Bo i cóż innego mi pozosta-

ło!

Gdybyż ta kobieta zrobiła Lilce wulgarną scenę zazdrości - ale ona była tak niekłamanie nieszczęśliwa, że Lilka w tym momencie postanowiła rzecz dla siebie najstraszniejszą.

- Nie, proszę pani - rzekła cichym głosem - pani tu zostanie... Ja pójdę.

- Gdzie? - przerażonym głosem zapytało Nieszczęście.

- Przeniosę się do innego hotelu.

- On mnie zabije, jak zastanie mnie tutaj zamiast pani!

197

- Napiszę do niego. .

Powoli, jak gdyby licząc na to, że może on w tej strasznej chwili na-dejdzie, zaczęła pakować wszystkie swoje rzeczy, krepdeszynowe kom-binacje, suknie, które tak lubił, pantofelki. Miała oczy suche, twarz bez kropli krwi. Zadzwoiła na służącego, kazała mu wziąć rzeczy i bez słowa wyszła z RAJU. Kazała się taksjarszowi zawieźć do jakiegoś małego hotelu na lewym brzegu Sekwany. Napisała do Sarmenta list, podając mu swój nowy adres.

Przybył do niej nazajutrz, zrozpaczony, roztrzęsiony.

- Ach, Lili, czemuś to zrobiła, czemuś odeszła, dlaczego zostawiłaś mnie z nią?... Te sceny rozpaczy,

zazdrości, przecież ja tego nie zniosę!

Ja oszaleję! Wróć do mnie, najdroższa!

- Nigdy mi nie mówiłeś, że jesteś żonaty.

- To nie ma żadnego znaczenia, przecież wiesz, *mon amour*, że kocham tylko ciebie! Powiniennem się z nią rozwieść, ale nie mam sumienia, ona mnie tak historycznie kocha. Wiem, że gdybym ją na zawsze porzucił, to popełni jakieś szaleństwo!

Biegał po pokoju, targał włosy, klękał przed Lilką i robił wszystko, co by robił inny żonaty mężczyzna w jego sytuacji. W końcu postanowił, że żonę nazajutrz odwiezie do domu do Lizbony, a sam wróci do Lilki do Paryża. Uchwyciła się tej myśli jak tonący pasa ratunkowego, który mu z łodzi rzucono. - Wrócisz, najdroższy, przysięgasz?

- Przysięgam, *mon amour*, za kilka dni będę z powrotem przy tobie!

- O, moje szczęście, moje życie, przecież ja bym umarła bez ciebie!

Kołysali się nawzajem w ramionach, całując swoje oczy pełne łez...

Jeszcze raz uścisnął ją na pożegnanie i odszedł. Po kilku dniach napisał list, gorący, kochający list, w którym doniósł jej, że zaraz przyjechać nie może, ponieważ ważne sprawy zatrzymują go na miejscu, ale że wró-

ci na pewno. Lilka czekała i czekała, chodziła nad Sekwanę i patrząc na jej szare, mętne fale, napisała ów znany wiersz o utopionej kotce i dziewczynie-topielicy. Chodziła do wszystkich najśłynniejszych wróżek Paryża, o których napisała cały poemacik.

198

Jedne mówiły jej za drogą opłatą, że jej kochanek powróci - drugie, że go już nigdy nie ujrzy (te brały o wiele mniej od tamtych).

Od Sarmenta coraz rzadziej przychodziły listy, w których coraz mniej pewnie obiecywał swój powrót. Fundusze Lilki zaczęły topnieć, więc się przenosiła do coraz lichszych i tańszych hotelików i do coraz skromniej-szych restauracyjek. Wieczorem przy lampce pisywała listy do ukochanego i wiersze, przepiękne wiersze, które potem wyszły w zbiorku pod tytułem „Paryż”:

Na wielkim łóżku paryskim,

obok poduszki

- tej drugiej -

nie mogę spać podczas pełni.

Księżyc

wślizguje się błyskiem,

pod kapa srebrzyste smugi...

chce puste miejsce wypełnić.

Nikt go nie spędza,

nie płoszy –

więc chyli się ku mnie

i czyha

i usta mi światłem nasycza.

- Leżymy jak na dnie noszy...

i serce moje oddycha,

pełnią - ach, tylko księżycza...

Kochanek zwlekał z przyjazdem i tylko od czasu do czasu pisywał.

Muza Lilki dziwnie pilnowała, aby jej pupilka miewała silne przeżycia miłosne, z których powstawały te piękne liryki, aby zawsze czekała na listy, aby tęskniła. Rześkie, kogucikowate głosy rannych sprzedawców gazet: „*Le Matin! Le Matin!*” - nie cieszyły już opuszczonej kochanki.

Miał wstać znów szary, mglisty dzień, taki jak wczoraj i przedwczoraj.

Więcej odpowiadał jej wieczorny żaloszny głos starej sprzedawczyni gazet: „*Paris Soir! Paris Soir!*”

Opuszczoną poetkę często odwiedzali znajomi Polacy: któryś z Puszetów, Stryjeński Karol, rzeźbiarz Gucio Zamojski. Spotykała się też z nimi

„U Bartka” - polskiej restauracji, gdzie można było za drogie pieniądze 199

otrzymać *du véritable Kasha* albo *Borsch* (czyli kaszę gryczaną i barszcz) - i czekała, wciąż czekała na przyjazd kochanka. Miał on jakieś swoje ważne, męskie sprawy, o których niejasno wspominał, zatrzymujące go w Lizbonie. Lilka, wpatrzona w fotografię lotnika-poety, stojącą w ramkach na biurku, przypominała sobie swój czterowiersz pisany kiedyś do kogo innego;

Gdy się miało szczęście, które się nie trafia, czyjąś miłość i ziemię całą,

a zostanie tylko fotografia

to to jest bardzo mało...

Chodziła do Jardin des Plantes, gdzie godzinami potrafiła przyglądać się lwom.

Bywała też z pisarzem Jantą-Połczyńskim, jej wielkim adoratorem, w lunaparku, gdzie właśnie występowały siostry syjamskie, zrosnięte ze sobą biodrami. Były to piękne młodziutkie Amerykanki w j e d n e j , szerokiej, wieczorowej różowej sukni. Grały na cztery ręce na fortepianie i tańczyły makabryczny taniec we czwórkę z dworna młodymi bladymi żigolakami. Młodzieńcy dowcipkowali wulgarnie na temat „zrosłaków”:

„Gdy *mademoiselle Margueritte* zakaszle - to *mademoiselle Mary jut* ma wrażenie, że dostała kataru - a gdy *mademoiselle Mary* całuje się -

to *miss Margueritte* dyskretnie odwraca głowę”. Tubalne „cha cha cha!” zgromadzonej na sali publiczności i rześiste oklaski odzywały się po owych „subtelnych” żarcikach. Na zakończenie jako *clou* wieczoru ukazywała się bujna i okazała, pełna mieszczańskiej godności postać tej *Mère aux montres*, rodzicielki sióstr syjamskich.

Madzia, wracając z francuskiej Riwiery, też miała „szczęście” oglądać ten niezwykle spektakl, który zrobił na niej wstrząsające wrażenie. Najbardziej cyniczne wydały jej się oklaski publiczności po ukazaniu się na scenie matki „potwora”, która ubrała go w jedną różową suknię i teraz czerpie z niego wspaniałe zyski. Oczywiście nie potrafiła tego ująć w słowa tak, jak Jo uczyniła jej starsza siostra w swoim wstrząsającym wierszu pod tytułem *Nous, les soeurs Siamoises*, potrafiła tylko jako

humorystka napisać w kilka lat później fraszkę, która była nikłą remini-scencji) tego, co wówczas oglądała:

Pewnej pani jej wielbiciel

przrzekł przynieść syjamskie kicie.

Gdy te kotki otrzymała.

Wstała z gniewu płonąć cała:

Co! Kocięta nie zrosnięte?

Ładnie „syjamskie” - won z prezentem!

Po dwóch miesiącach Lilka, nie doczekawszy się przyjazdu Sarmenta, przygnębiona, zmizerowana i wychudzona powróciła do kraju.

Za ostatnie pieniądze kupiła piękną lalkę dla córeczki Madzi, ale na cle w Polsce kazano jej tyle zapłacić, że musiała ją zostawić. Wyglądała znów trochę jak „Pielgrzym z Dobromila”, zmięta, w nieświeżych rzeczach, szara i wybiedzona. Jadła ostatnio tylko bułki i sałatki, popijając to stołowym najtańszym winem. Niewiele chciała mówić, zaraz położyła się do łóżka, prosząc o dużo dobrych

rzeczy do jedzenia. Gdy przyszła trochę do równowagi, opowiadała siostrze wieczorami wszystkie te swoje tragiczne przejścia. Sarmento przestał do niej pisywać. Lilka naturalnie przyjęła to jako objaw zupełnego oziębienia jego uczuć; po jakimś czasie wyczytała w jednej z francuskich gazet, że słynny lotnik Sarmento de Beires został zamknięty za antyrządową akcję polityczną.

Po półtora roku milczenia napisał do niej list. Lilka była wówczas w Gdyni i znowu zaczęła się między nimi korespondencja, o której wiadomo z jej krótkich notatek.

Jej miłość do lotnika-poety wyschła jednak i ulotniła się jak mocne perfumy ze źle zakorkowanego flakonika. Lilka od tego czasu zaczęła poszukiwać tylko towarzystwa lotników. W jej prześlicznym mieszkaniu krakowskim na alei Krasińskiego, naprzeciw Kossakówki, bywali przeważnie sami lotnicy: Bajan, Jan Biały, Mieczysław Lisiewicz, który zaczynał pisywać wiersze i któremu ona dawała cenne wskazówki. Z Lisiewiczem byli już nawet po słowie (jak to się wówczas mawiało) i wszyscy wokoło byli pewni, że będzie z nich bardzo dobra małżeńska para. Lilka jednak nie kochała go tak, jak on ją, i wciąż czekała na jakiś inny jeszcze

„Dar Niebios”. Siedząc na balkonie wśród kwitnących laków i petunii 201

czekała z niepokojem, czy nie jest już za późno, tak jak w jej czterowierszu:

Z twarzą pobladłą jak kwiat

mnie chusteczkę w bezsilnej złości.

Spogląda na zegar swych lat:

A może już za późno na gości?

Kiedyś Lisiewicz zaproponował jej, aby razem pojechali autem na Rakowice, gdzie znajdował się pułk lotniczy, i odwiedzili jego wielkiego przyjaciela, Stefana Jerzego Jasnorzewskiego, który leży po samolotowej kraksie z unieruchomioną nogą. Odwiedziny te przyniosły nową gorącą miłość. Zdumiony Lisiewicz nie mógł tego zrozumieć. Jasnorzewski był

zupełnie zwykłym chłopcem, ani poetą, jak on, ani też intelektualistą.

Nie był nawet żadną wybitną urodą męską - chłopak jak chłopak: wesole czarne oczy pełne iskier, perkaty nosek, wzrost średni, piękny, muskularny tors. Gdy z jego nogą było już dobrze, zaczął bywać w tym, co Lilka tak ładnie nazywała: Norka - czyli Dom Lilki, parafrazując tytuł jednej ze sztuk Ibsena. Kiedyś przyszedł, trzymając w ręce bukiet białych róż.

- Czy to bukiet zaręczynowy? - zapytała Lilusia chytrze.

Jasnorzewski, któremu ta myśl może jeszcze w głowie nie powstała, odparł trochę niepewnie: - Taak - i Lilka od razu przyprowadziła go na Kossakówkę, jako swojego narzeczonego. Mamidło i Tatko nie byli zbyt zadowoleni z jej wyboru.

- No, moja Magdusiu - mówił Tatko do młodszej córki - czy ta Lilka oszalała?! Trzeci raz chce

wychodzić za mąż, i to w dodatku za młodszego od siebie! Co innego Lisiewicz - poważny człowiek i poeta... Nie mogę Lilki zrozumieć. Nigdy was nie zrozumieję, moje drogie córki - dodał

westchnąwszy ciężko.

Zrozumiał to jednak w jakiś czas po ślubie Lilki. Tak zwany Lotek, który miał w sobie jakiś zupełnie osobisty urok i czar, w krótkim czasie zdobył sobie serca całej rodziny. Był przede wszystkim pierwszym naprawdę dobrym chłopcem, który przystał do rodziny Kossaków. Dobrym, normalnym, kochającym swoją żonę nade wszystko, chociaż zanadto lubiącym flirtować, nad czym nieraz Lilka bardzo bolała. Z Madzią 202

łączyła ich jakaś, można rzec, sztubacka przyjaźń, Lotek, który miał w sobie dziecięcą pustotę, wciąż płatał jej złośliwe figle, na które się z początku szalenie oburzała, a potem śmiała się wraz z nim. Był siłaczem i dla niego podnieść jedną ręką sześćdziesiąt kilka kilo było drobiazgiem.

Kiedyś z zemsty, że Madzia nie zapłaciła mu przegranej w karty, posadził ją na piecu i, rechocąc, złośliwie, odszedł pogwizdując. Innym razem podstępnie wrzucił jej do filiżanki z czarną kawą kapsułkę oleju rycynowego.

Rano na Kossakówce odbywała się zawsze walka Lotka z Madzią o poranne gazety, które służąca przynosiła z kiosku. Lotek wyrobił sobie prawo, ilekroć nocował na Kossakówce, aby on w pierw otrzymywał

wszystkie pisma, i wówczas szedł z nimi do łazienki, gdzie pławiąc się w gorącej wodzie, odczytywał je od deski do deski, zawsze spóźniając się do pułku. Kiedyś Madzia wyrwała gazety z rąk służącej, zaniósła do swojego pokoju, zamknąwszy przed szwagrem drzwi na klucz. Wówczas wpadł na istic szatański pomysł: przyniósł drewnienek, papieru, ułożył to wszystko pod jej drzwiami na blasze i... podpalił. Przerazona Madzia przez oszklone drzwi ujrzała buchające płomienie. Z wrzaskiem - pożar!

pożar! - wyskoczyła z łóżka i otworzyła drzwi, wówczas figlarny Lotek, przeskoczywszy płonący stos, porwał gazety i powiedziawszy swoim kresowym akcentem: - Wyburzyłem lisa z jamy! - uciekł z nimi do swojego pokoju. Państwo Jasnorzewscy musieli zlikwidować Norkę - czyli Dom Lilki, ponieważ poranna jazda na Rakowice była zanadto uciążliwa dla tego młodego sybaryty. Lilka, posiadająca talent do urządzania czarujących wnętrz, potrafiła i w wojskowym domu na Rakowicach urządzić gniazdko ciepłe i pełne wdzięku. Jedyne, co jej się nie udało i co bardzo krytykował w jej umeblowaniu Tatko, to modne wówczas „ortopedycz-ne” krzeselka i stoliki z dętego metalu. Na ścianach w ich mieszkaniu wisały piękne Juliusze, portrety ich obojga malowane przez Witkacego, kilka pejzaży Wojciecha, puszysty i watowany akt Weissa, akwarela Ger-sona i starego Norblina. Pełno było antycznej porcelany i zawsze jakaś jedna samotna róża w rubinowym kryształku albo bukietek fiołków. W ich 203

sypialnym pokoju, o dwóch obszernych bliźniaczych łóżkach, wisiła niebieska lampa, a do niej przywieszony amorek z połączanego brązu.

Lilka była świetną panią domu i sławne były przyrządzane przez nią cocktaile i czarna kawa, do

której dodawała odrobinę czekolady, gałkę muszkatołową i trochę wanilii. Po jej kawie nie można było spać i rozmawiało się do późnej nocy. Lotek był znakomitym kucharzem: gdy zostali przeniesieni do Dębłina, sam przyrządzał obiady, na które trzeba było czekać do godziny piątej, aż on wróci z lotniska. Mięso wyżyłowane i wypłukane przygotowywała służąca. Lotek, wróciwszy z pułku, zdejmował mundur, zakasywał rękawy koszuli i stawał się mistrzem rondla.

Umiał robić jakieś nadzwyczajne gulasze, parówki w sosie pomi-dorowym, paszteciki. Sam prawie nic nie jadł, jak to prawdziwi kucharze, i tylko błyszczącymi radością oczkami spoglądał na to, jak wszystkim jego potrawy smakują. Lilka, ten wędrowny ptaszek, który siadając na masztach okrętów przybijał wraz z nimi do nieznanych, obcych portów, znalazła nareszcie we własnym kraju, swoją przystań i uwiła sobie prawdziwie ciepłe gniazdko. Lotek - typowy samczyk znosił do tego gniazdka wszystkie smakołyki, które ona lubiła, i tak samo jak Tatko nie życzył sobie, aby ktoś naruszył to, co przyniósł swojej żonie. Lilka była teraz szczęśliwa spokojnym szczęściem bez burz i nawałnic. Zbrzydła tylko trochę i zszarzała, ponieważ Lotek, bardzo staroświecki, jeśli chodziło o poglądy na kobietę, powyrzucał i spalił wszystkie róże, pudry i tusze do rzęs. Był bardzo o nią zazdrosny i nie chciał, aby się podobała innym. Jego zazdrość była dla Lilki bodźcem do napisania świetnej i pełnej dramatycznego napięcia sztuki „Zalotnicy niebiescy”. Jej dobre bogi w dalszym ciągu pilnowały, aby nawet w tym na pozór spokojnym życiu nie brakowało jej tematów do twórczości. „Zalotnicy” szli kompletami, najpierw w Krakowie, potem w Warszawie i Poznaniu. Lilka, zarabiając teraz doskonale na swoich sztukach, mogła kupić małego fiata, którym Lotek woził ją do Zakopanego i do Warszawy. W tym fiacie za-pobiegliwy mąż urządził rozkładane siedzenie, tak aby Lilka mogła leżeć wygodnie i odpoczywać. Z zagranicy sprowadzili sobie małe samochodowe radio, które jednak grało tylko wówczas, kiedy auto stało na miejscu.

204

Gdy państwo Jasnorzewscy zostali przeniesieni do Dębłina, zabierali Madzię i na całą noc jechali do lasu. Stawali wśród pachnących konwa-liami gąszczów i nastawiali radio na zagraniczne stacje. Lotek nie uznawał snu i uważał, że noc jest dla przyjemności, a tylko popołudnie do spania. Te noce w dęblińskich lasach z cichą muzyką, przerywaną kłą-

skaniem słowików, nie miały sobie równych. Lilka trochę drzemała, oparta o ramię siostry, albo komponowała nowe wiersze, obmyślała tematy do sztuk teatralnych. Lotek, chłopak na pozór normalny i zwyczajny, miał widocznie poetyczną duszę, kiedy potrafił stwarzać takie nastroje. Uroczy, był, gdy siadał do „underwooda” Lilki i starał się ukła-dać wiersze. Były one bardzo dziecinne i prymitywne, ale Lilka, kochają-

ca go jak kochanka, a zarazem jak mama, dumna była z nich ogromnie i twierdziła, że ma niewątpliwy talent poetycki. Każdy wiersz, który Lilka miała posłać do druku, musiała mu wpierw przeczytać i dać do oceny.

Cudna była, zupełnie poważnie twierdziła, że nie może jakiegoś, bardzo zresztą dobrego wiersza wydrukować, ponieważ „Lotkowi się nie podoba”. Na każdej premierze nowej sztuki Lilki Lotek siedział w pierwszych rzędach w galowym mundurze, spuchnięty z dumy, nasłuchując opinii teatralnej publiczności o sztuce. Podczas przerw podsłuchiwał, co mówią augurzy: Boy, Słonimski, Grzymała-Siedlecki, Zawistowski, Pomirowski.

Opinia Boya o komediach Lilki była prawie zawsze dodatnia. Szalenie ją lubił i cenil jako poetkę i autorkę dramatyczną i nie szczędził jej jak naj-dalej idących pochwał w swoich świetnych i tak dowcipnych recenzjach.

Lilce tylkë pochwały tyczące się jej twórczości teatralnej robiły przyjemność, miała na tym punkcie szalone ambicje i chciała być drugą Zapolska. Pochlebne recenzje wierszy były dla niej prawie obojętne. I tak jak Iłła, która dumna była nie ze swoich pięknych poezji, ale z tytułu radcy MSZ, Lilka pyszniła się tytułem „autorki dramatycznej”. Może dlatego, że wiersze tworzyła z taką łatwością jak wielki kompozytor drobne utwory muzyczne. Sztuka teatralna to był dla niej cały koncert na orkiestrę.

Rodzina Kossaków odznaczała się szaloną pracowitością.

205

Tatko bez względu na stan zdrowia punktualnie o dziewiątej rano siedział już przy sztalugach. Madzia, jakeśmy to, już wspomnieli, miała czas na wszystko, więc również i na pracę pisarską. Lilka zaś tworzyła cały dzień: podczas śniadania, obiadu, czasem w nocy, czasem o świcie, a najchętniej w lesie na polance, obserwując przyrodę swoim malarskim okiem. Jeśli nie pisała, to czytała przeważnie książki naukowe i przyrod-nicze. Poza tym miała czas, aby dbać o swój wygląd, chodzić do krawco-wych, przyjmować gości. Madzia, nie mogąc zrozumieć, że przy tylu zajęciach Lilka potrafi urodzić taką moc wierszy i taką ilość sztuk teatralnych, rzekła kiedyś ze śmiechem:

- Wiesz, Lilusiu, za ciebie to chyba gnomy po nocach piszą!

- Skąd wiesz? - odparła na to zupełnie poważnie.

Państwo Jasnorzewscy zostali przeniesieni do Dęblina z Krakowa w sposób zupełnie niespodziewany. Oboje starali się o przeniesienie do Warszawy i zdawało się, że przez panią Kuszelewską - żonę dyrektora departamentu lotnictwa, pułkownika Rayskiego - z którą Lilka bardzo się przyjaźniła, sprawa ta była już załatwiona, kiedy nagle zostali „zesła-ni” do Dęblina. Stało się to zaraz po premierze „Gałązki rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego. Rodzina Kossaków siedziała w łoży parte-rowej, tuż koło nich siedziały powagi wojskowe miasta Krakowa. Lilka, szczerza jak zawsze, nie umiejąca wyczuwać politycznej sytuacji, głośno krytykowała „Gałązkę”, która wydawała jej się słaba i szalenie lizuso-wska.

Nie tylko „ściany mają uszy”, ale ludzie też. W niedługi czas potem porucznik Jasnorzewski został mianowany instruktorem lotniczym w Dęblinie.

Cichy i na pozór niewidoczny terrorek trwał i kto ośmielał się krytykować te lub inne literackie utwory, przez rząd popierane, popadał w niełaskę.

Państwo Jasnorzewscy, ogromnie z tego przeniesienia do Dęblina niezadowoleni, znowu musieli sobie wic gniazdko na innej gałęzi. Przeniesienie do pułku lotniczego w Dęblinie uważano w sferach lotniczych za dowód niełaski najwyższych czynników. Nie było to takim dowodem niełaski jak Białystok, ale w każdym razie nie uchodziło za awans, 206

którego się Lotek, jako zasłużony i dobry lotnik, mógł być spodziewać.

Lotek bardzo szybko pocieszył się, ponieważ w Dęblinie otrzymali bardzo miłe mieszkanie z dużym kawałkiem ogrodu, w którym Jasnorzewski, nie tylko znakomity kucharz, ale również zamiłowany ogrodnik, zaczął sadzić i siać wszystkie możliwe jarzyny, a także arbuzy, melony, ogórki i dynie, które mu się niesłychanie udawały i z których był nieomal tak dumny jak z wierszy Lilki. Po dwóch latach jego największa radość skończyła się, ponieważ wyszedł idiotyczny zakaz, aby w ogródkach lotniczych nie uprawiać jarzyn, a tylko same kwiaty, ze względów estetycznych. Było to równym nonsensem jak malowanie płotów przy chłop-skich chatach i potwierdzało owo „zielono w głowie”, które panowało niepodzielnie. Wielki kłopot sprawiały Lilusi żony kolegów jej męża, które wciąż nachodziły jej dom i oczekiwały przyjscia „pana Jurka”. Miał

opinię uwodziciela i panusie pierwsze rzucały mu się na szyję i namawiały go na spacery we dwójkę autem do Puław lub Kazimierza.

- Po co się pan żenił, panie Jurku, z osobą o tyle starszą od pana -

wzdychały. - Pani Lila jest znakomitą poetką, ale przecież to nie jest żona dla pana... Ona mogłaby być pana matką, ewentualnie ciotką...

Panu by się należała całkiem inna żona - w tym miejscu spoglądały na siebie do lustra.

Lilka, aby nie pozostać dłużną, też miała swojego adoratora, pewnego kapitana lotnika, który odwiedzał ją co dzień, przynosił róże, wzdychał i puszczał na adapterze płyty z utworami Szopena. Cóż, kiedy co chwila mówił słowo „panie”, co Lilkę niezmiernie drażniło. - Proszę pani, p a -

n i e , ja, pani wie, proszę pani, p a n i e , jak panią, p a n i e , uwiel-biam!

Lotek, mimo że był swojej żony zupełnie pewny i że bardzo przyjaźnił

się z owym kapitanem, zrobił mu kiedyś taki afront, że biedny kapitan przestał odwiedzać ich dom. Lilka, znudzona potężnie towarzystwem tych wszystkich małych mieszczanek, które jej spokoju nie dawały, pisywała do Madzi błagalne listy, aby jak najczęściej odwiedzała ją w Dę-

blinie. Śniadanka w altance, we dwójkę z ukochaną siostrą, były niezapomniane. Lilka sama przyrządzała wspaniałą kawę. Służąca przynosiła 207

na tacy jajka smażone na pomidorach, miód, masło, bułeczki. Słońce padało na stół poprzez dzikie wino, tworząc na białym obrusie ciemne wzory. Komary brzęczały. Pies podawał łapę. Lilka rozmawiała z Madzią, kreśląc od czasu do czasu w zeszycie rymy do jakiegoś nowego wiersza.

- Wiesz - rzekła Lilka z chmurną twarzą - boję się, że Lotek mnie zdradza z taką jedną małpą - kapitanową. Nie znoszę tych wszystkich bab, które mu nie dają spokoju. Zawsze „królik zaczyna” - nie człowiek.

- Co ci to szkodzi, przecież i tak ciebie jedną kocha i daje ci ciągle tego dowody.

- Odpowiem ci na to powiedzeniem żony Witkacego: „A czybyś ty lubiła, aby ktoś używał twojej szczoteczki do zębów?” Roześmiały się.

- A co u ciebie, Madziusiu? Co za szczęście, żeś ty wówczas nie wyszła za mąż za tego „szewca” z Maroka. Ciemna figura spod najciemniejszej gwiazdy. Kto wie, czy gdyby nie relacje o nim kochanego doktora Piotrowskiego, który wtedy pojechał do Casablanki, czybyś nie była zrobiła tego kapitalnego głupstwa!

- Już ty nic nie mów, moja Lilusiu, przypomnij sobie handlarza żywym towarem z Nicei. Gdybyś z nim pojechała do Marsylii! nie byłabym cię już nigdy w życiu ujrzała.

Wróciły znów w rozmowie do swojej wycieczki „Po słońce Afryki” statkiem „Kościuszko”, która miała miejsce jeszcze kilka miesięcy przed poznaniem Lotka i do której i my przejdziemy.

Rozdział XI

PO SŁOŃCE AFRYKI

Magdalena zaręczona była wówczas oficjalnie z poznanym w Gdyni kapitanem łodzi podwodnej, pięknym i uwodzicielskim Youganem. Pokazywała się z nim na dansingach krakowskich, chodziła do kawiarni, popisując się nim jak dużym rasowym psem. Gdy jednak któraś z jej przyjaciółek chciała psa pogłaskać, Madzia warczała zamiast psa. Była szalenie dumna z niego i niesłychanie szczęśliwa, ale na bardzo krótko, ponieważ piękne zwierzę, przekonawszy się, że jego narzeczona nie zarabia tak dużo, jak przypuszczało, a posiadłość na placu Kossaka jest mocno obdłużona, zaczęło pomału wycofywać się. Straszna i niezapomniana była chwila, gdy kiedyś wieczorem na dansingu w „Feniksie” Yougan po kilku cocktailach rzekł z ciężkim westchnieniem:

- Boję się, że moja matka nigdy się na nasze małżeństwo nie zgodzi. Jest zażartą katoliczką i nie uznaje ślubów cywilnych...

Madzia poczuła wówczas, jak gdyby cała krew z serca spłynęła jej do nóg i wsiąkła w podłogę. Pałacyk w Gdyni z ukochanym, pałacyk z jej marzeń, zaczął się chwiać jak przy trzęsieniu ziemi, a przy drugim jego zdaniu runął i rozsypał się w proch. Drugie zdanie narzeczonego brzmia-

ło:

- Poza tym nie wiem, z czego byśmy żyli, moja pensja nie wystarczyłaby na nas oboje, a ty tak mało zarabiasz... Pamiętaj jednak - dodał

po chwili widząc zmianę, jaka zaszła na jej twarzy - że kocham cię zawsze jednakowo i że żadna inna kobieta dla mnie chwilowo nie istnieje.

To było już zupełnie niepotrzebne i przy takiej katastrofie przypominało kogoś, kto ze zburzonego domu zbiera cegły i chce z nich postawić przynajmniej budkę dla psa. Płakała tej nocy rzęsiście, tak że nazajutrz poszewkę z poduszki można było niemal wyżąć z jej gorzkich łez.

Kochała go prawdziwie i namiętnie. W tych tak ponurych dla niej dniach przyszedł właśnie na Kossakówkę Arturek Swinarski, wyszoro-wany jak rondel, w czerwonym sweterku, wesoły i pełen indywidualnego czaru, proponując Madzi napisanie razem „Szopki”. Zabrali się energicznie do pracy, posilając się - podczas pisania - zimnymi kotletami i czarną kawą. Śmiech - to zmarszczki, ale i najlepszy, i niezawodny lekarz. Pękając ze śmiechu nad wspólnymi dowcipami, Madzia pomału zaczęła zapominać o swojej sercowej tragedii. Dialogi i piosenki, przeważnie pióra Swinarskiego, były kapitalne, jak na przykład dialog Juliusza Osterwy, ówczesnego dyrektora Teatru im. Słowackiego, z Juliuszem Słowackim, na melodię znanej piosenki Ordonki, pod tytułem „Miłość ci wszystko wybaczy”: „Juliusz ci wszystko wybaczy - śpiewał Słowacki do Osterwy - «Księcia», «Kordiana» i to, że robisz wszystko inaczej niż TO, o co mu szło; Juliusz ci wszystko wybaczy, bo Juliusz, Juliuszu - to JA!”

- Wśród kukiełek występował również Marian Dąbrowski, który śpiewał

na melodię piosenki „Marianne, ach, Marianne” te oto słowa: *Marianek, ach, Marianek*

To nie Tomanek

IKACE-zar krakowski

Marian Dąbrowski!

Pyszny był jego dialog z ówczesnym prezydentem miasta, Kaplickim, do którego Dąbrowski modlił się w ten sposób: „Do tej k a p l i c k i zanoszę wołanie, abym miał co dzień kurę na śniadanie...” W „Szopce” występował Jan Kiepusa, który wspaniałym głosem jednego z aktorów śpiewał na znaną melodię „Ramony”: „Mamono, ja tylko pragnę kochać cię...”

W „Szopce” pierwsze kroki stawiała jako - aktorka i znakomita paro-dystka piosenek Ordonki - osiemnastoletnia Żula Dywińska, skrzyżowanie złotowłosego aniołka z barankiem z cukru. Powodzenie „Szopki” w dużej mierze zawdzięczali autorzy tej tak zdolnej debiutantce.

210

W prologu występowały świetne kukielki obu twórców „Szopki” wykonane przez samego Swinarskiego - Artura we fraku, a Magdaleny w tej samej wieczorowej sukni, w której później kłaniała się publiczności.

„Kukielki u Hawełki” odbywały się codziennie wieczorem w małej salce na pięterku, wypełnionej do ostatniego miejsca. Wstęp skalkulowany wraz z konsumpcją - kieliszek wódki i kanapka albo czarna kawa i ciastko - przynosił autorom niezgorsze dochody. Arturek swoje zarobki puszczał na poczęstunki z przyjaciółmi, w których on był zawsze fundatorem, i na prezenty dla krakowskich dam (pod tym względem nic się nie zmienił), a Madzia, o wiele roztropniejsza, uciulała sobie na czysto tysiąc złotych, które przeznaczyła na jazdę statkiem „Kościuszko” z wycieczką pod hasłem „Po słońce Afryki”, którą organizował Cook.

Lilka, dowiedziawszy się o projekcie siostry, natychmiast postanowi-

ła, że ona też pojedzie. Wraz z nimi wybrał się również Zygmunt Nowakowski i ukochanie Krakowa, niezapomniany Leon Wyrwicz, Ta wycieczka to była jedna radość życia i jedno wielkie obżarstwo, mimo iż były w niej i momenty nie pozbawione grozy. Ktoś niebacznie nadał do rodziny radiogram o „wspaniałej pogodzie” i to oczywiście przyniosło pecha. Momentalnie zgromadziły się na” niebie niepokojące żółte chmu-ry i zerwała się potworna burza, która trzęsła biednym starym „Ko-

ściuszką” - odrobiną, zagubioną w tej żywiołowej wściekłości. W wycieczce brał również udział minister Kwiatkowski wraz z żoną i córką.

Chorował ciężko przez cały czas, tak że pasażerowie widzieli go tylko, gdy wsiadał na statek, a później na dłuższym postoju w Casablance.

Połowa zresztą publiczności nie odpuszczała kajut, składając morzu -

obiatę. Nowakowski wraz z Madzią i Wyrwiczem przesiadywali w małym barku na górnym pokładzie, lecząc się koniakiem i cocktailami, które na statku były za bezcen. Nie gardzili również whisky z sodą, przegryzali to kanapkami z kawioem j licytowali się w dowcipnych powiedzonkach.

Zygmunt czasem łaskawie odstępował Madzi jakiś swój dowcip:

- No dobrze, niech go sobie pani weźmie. Tylko tego poprzedniego nie wolno pani tknąć.

Na statku znajdował się minister Władysław Długosz, wielki snob na 211

literatów, który na wszystkich postojach fundował Madzi i Nowakow-skiemu tego winem zakrapiane poczęstunki.

- Panie ministrze - rzekł kiedyś Nowakowski, gdy Długosz w restauracji brukselskiej zapłacił za nich słony rachuneczek - proszę pamię-

tać, aby mi to było przedostatni raz!

Ponieważ Długoszowi bardzo podobała się pani Samozwaniec, więc dowcipny Nowakowski namawiał go do robienia pani Madzi drobnych prezentów.

- Panie ministrze - szepnął mu kiedyś do ucha - proszę kupić pani Magdalenie z pół tuzina tych brukselskich koronkowych chusteczek, będzie to z pana strojny bardzo ładny gest.

- A nie obrazi się?

- Skądże znowu. Będzie wzruszona pańską pamięcią.

- Ponieważ Madzia była szaloną amatorką bananów, więc Nowakowski namówił Długosza, aby na Wyspach Kanaryjskich zakupił dla niej całą olbrzymią gałąź obwieszoną dużymi złocistymi bananami i gdy Madzia weszła do swojej kajuty,- zobaczyła ją ustawioną na stoliku nocnym.

Podczas owej straszliwej burzy - miała ona miejsce koło Cap Fini-sterre - nerwy oszalałej z

przerażenia Madzi zostały uśmierzone przez zacnego intendenta statku, który zapałał do niej jakimś bardzo tkliwym i ładnym uczuciem. Siedziała wtulona w kanapkę saloniku na dolnym pokładzie, płacząc ze strachu. Był już późny wieczór. Huki piorunów połączone ze skrzypieniem lin i chlustem fal, przelewających się przez pokład, tworzyły jakiś *danse macabre*, którego melodia kurczyła serce i rozkręcała nerwy.

- Boję się, boję! - jęczała. - Nasz statek za chwilę utonie. Prawda, panie intendencie? Czuję, że niedługo kapitan zawoła: - Wszyscy musimy utonąć - damy mają pierwszeństwo! - Ja żartuję, ale pan nie ma po-jęcia, co się ze mną dzieje. Umieram ze strachu!

Intendent nic na to nie odrzekł, tylko przyniósł jej po chwili szklanekę marynarskiego grogu. Był to napój piekielny, po którym od razu traciło się przytomność. Widząc, że jego lekarstwo podziało, zacny marynarz wziął ją na ręce i zaniósł do swojej kajuty, gdzie stało wygodne łóżko 212

zasłane piernatami. Ułożył ją, przykrył po uszy kołdrą, a sam wyszedł i całą noc spał na wąskiej kanapce w saloniku. Gdy nad ranem wróciła do przytomności, ze zdziwieniem ujrzała, że znajduje się w obcej kajucie.

Na nocnym stoliku stała w zakopiańskich ramkach fotografia marynarskiego „kociaka” z dekoltem przysłoniętym bukietem kwiatów i oczami wzniesionymi w niebo. Koło tej fotografii znajdowała się butelka wody kolońskiej „Biały bez” Żaka, Nad łóżkiem wisiał maszynowy haft przedstawiający łabędzia na stawie, a pod nim obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej w złoconych ramkach. Dobra, prosta, a zarazem naiwna natura właściciela tej kajuty ujawniała się w każdym szczególe. Burza trochę się uspokoiła, chociaż statek dalej huśtał się na obie strony, a od czasu do czasu leciał w wodne przepaście. Madzia, chwiejąc się na nogach, wyszła z kajuty intendenta dowiedzieć się, co podczas owej groźnej nocy robiła jej siostra. Zastała ją na pokładzie, z rozburzonymi włosami i w rozwianym płaszczu. Oczy miała ciemne, z rozszerzoną źrenicą, jakiś tajemniczy, ale błogi uśmiech na ustach.

- Coś ty robiła przez tę straszną noc, Lilusiu?

- Straszną? To była najwspanialsza noc, jaką kiedykolwiek przeży-

łam!

- A gdzieś ty była i z kim?

- Gdzie? Wybiegałam co chwila na pokład, gdy tylko trochę prze-stawało padać. Nie rozumiesz, że byliśmy świadkami jakichś wielkich igrzysk przyrody. Niecodzienny spektakl. Ale ty nie potrafisz tego zrozumieć...

- I nie bałaś się?

- Trochę się bałam, ale mój podziw był większy niż strach.

Madzia już nic na to nie odrzekła. Ta siostra-poetka była dla niej wieczną zagadką i wieczną niespodzianką. Histeryzowała na widok pa-jąka, którego bała się panicznie, a nie bała się burzy na

morzu. Czyż normalny człowiek może to zrozumieć? „Dziecię gwiazd” - nazwał ją w swoim pięknym o niej wspomnieniu Kazimierz Nowowiejski, syn kompozytora. Miał rację, nie była z tej ziemi, tylko z innej, jeszcze o wiele dziwniejszej. -

W porcie w Casablance, gdzie „Kościuszkę” miał się zatrzymać cztery 213

dni, jakiś młody człowiek, stojący na molo, począł gorąco witać uczestników wycieczki. Ścisnął ze wzruszeniem dłoń bladego i chwycił się na nogach ministra Kwiatkowskiego, po czym z entuzjazmem podbiegł w stronę Nowakowskiego i Magdaleny.

- Nazywam się Mrozowski. Jestem tutejszym lekarzem. Jakże się szalenie cieszę z przybycia rodaków!

Nowakowski zbył go jakimś obojętnym słowem, ale Madzia spodobał

się ten elegancki brunecik, trochę fryzjerczyk, ale i tak podobniejszy do mężczyzny niż jej współtowarzysze podróży. Dr Mrozowski czytał wszystkie książki Magdaleny Samozwaniec, co ją momentalnie przekonało, że ma do czynienia z człowiekiem wysoce kulturalnym i odczytanym. Spojrzała na niego zalotnie i zgodziła się, aby z nim we dwójkę oglądać Casablankę. Wieczorem całe towarzystwo ze statku umówiło się na zwiedza-nie słynnej zamkniętej dzielnicy dziewcząt, która nazywała się Bus'bir.

Madzia z doktorem znalazła się tam również. Była już z nim w bardzo zażyłej komitywie, trzymali się pod ramię i zaglądali sobie w oczy.

Bus'bir otoczone było murem, przed bramą stało dwóch czarnych policjantów w marokańskich mundurach. Pilnowali, aby żadna z dziewcząt nie przedostała się poza obręb miasteczka. Wokoło dużego placu stały nieduże kamieniczki o małych oknach. Na placu roilo się od kobiet naj-rozmaitszej narodowości. Były tam Arabki z błękitnymi znakami na czole, Murzynki odziane w pióra, Żydówki i najbardziej nieprzyzwoite z nich wszystkich, białe - Europejki. Niektóre spacerowały zupełnie nago, inne w jakichś zarzuconych na ramiona szalach. Arabki miały tors goły, a od pasa szumiały barwnymi spódnicami. Koło nich dumna jak paw przesunęła się dziewczyna o ciemnej skórze, naga, z opaską na biodrach, do niej był przyczepiony z tyłu pęk piór różnokolorowych. Madzia przystanęła zaskoczona jej widokiem i wówczas figlarne dziewczę uszczypnę-

ła ją z całej siły w pośladek i odbiegło piszcząc z uciechy. Doktor, mó-

wiący biegle po arabsku, odganiał je, przylepiając im prawdopodobnie odpowiednie epitety, ponieważ odpowiadały mu ostrym tonem i odchodziły, kołysząc obnażonymi biodrami. Dwie pieszczotki o ciemnych 214

skórach, których jedynym strojem były naszyjniki z kolorowych paciorków, kolczyki i bransolety, przyczepiły się do biednego i mocno z tego wszystkiego niezadowolonego ministra Kwiatkowskiego.

- *Donne nous cinquante francs et tu vas voir le truck avec la cigarette!* - rzekła jedna z nich czepiając się jego ramienia.

Kwiatkowski, który znał marokańskie curiosa i wiedział, co to oznacza, przestraszył się okropnie:

- Dam ci sto franków - rzekł do niej po francusku – jeśli nie poka-

żesz nam sztuki z papierosem.

Po wyjściu z miasteczka dziewcząt doktor zaproponował Madzi, aby z nim poszła do kawiarni. Madzia zgodziła się i po chwili siedzieli we dwójkę w ocienionej dzikim winem ulicznej kawiarni, pijąc jakiś *apéritif* i czarną kawę.

- Jestem przybocznym lekarzem marokańskiego sułtana - mówił

pan Mrozowski - i leczę wszystkie jego siedem żon, z których jedna piękniejsza od drugiej, ale ja - w tym miejscu spojrzał na Madzię na-miętnym wzrokiem - kocham tylko Polki i tylko z Polką bym się ożenił.

Zarabiam szalone pieniądze, z którymi wprost nie mam co robić. Mojej żonie nie zbywałoby na niczym, mieszkałaby w pięknym pałacu i cały dzień mogłaby tylko nizać perły na jedwabne sznury.

Madzia była oczarowana tym, co mówił. Cóż za piękne życie mogłaby mieć z tym miłym brunetem z wąsikami, w kraju pełnym słońca i wszystkich kolorów tęczy. Trochę się jej nie podobało, że jej nowy adorator, przeprosiwszy ją na chwilę, podszedł do jakiegoś mocno z wyglądu podejrzanego typu, siedzącego z fajką przy innym stoliku, i coś zaczął z nim szeptać, wzrokiem wskazując na Madzię. Widziała, jak typ wycią-

gnął z portfela pieniądze i wręczył je doktorowi.

- To jeden z moich ludzi - uspokoił ją pan Mrozowski - który mi dostarcza lekarstw dla sułtańskich pacjentek. Z obrachunku wynikało, że mi jest jeszcze winien kilkaset franków.

Zapłacił rachunek i odprowadził Madzię na statek.

- Moja Madziu - rzekła Lilka - cóż ty masz znowu za jakiegoś s z e w c a , bardzo mi się ten typek nie podoba.

215

- S z e w c a ! ? - powtórzyła Madzia obrażonym tonem - a czy ty wiesz, kto to jest? On jest nadwornym lekarzem sułtana i jego siedmiu żon. Bardzo ważna figura, a przy tym uroczy człowiek.

Nazajutrz była wycieczka autokarami do Marakesz, na którą zgłosiły się obie siostry. Godzinę odjazdu naznaczono na siódmą rano, słońce jednak przygrzewało już silnie i temperatura dochodziła do trzydziestu stopni. Po drodze widziały rzeczy niezwykle i niezapomniane: karawany jak ze starych rycin z „Przyjaciela Dzieci”; na garbach wielbłądów koły-sały się łagodnie kobiety, otulone po oczy w białe zawoje, i wspaniali Berberzy w wielkich turbanach, z czarnymi brodami. Widziały ubogie kobiety, niosące na plecach w płachtach swoje śmieszne czarne dzieci z warkoczykami sterczącymi na czubku głowy. Najuboższe nawet kobiety miały paznokcie u brudnych rąk umalowane na kolor

czerwony, zupeł-

nie jak w Polsce, i wielkie wspaniałe oczy podmalowane czarnym tu-szem. Ruch był na tej szosie, można rzec, europejski. Dokąd szli w ten upalny ranek ci poważni Arabowie otuleni w ciężkie, białe, wełniane opończe, których końce mieli zarzucone na ramiona, aby im było jeszcze ciepłej - nie wiadomo. Do Marakesz było kilkadziesiąt kilometrów, a po drodze były tylko oazy, czyli małe wioski z bajorkiem, po którym pływały kaczki. Od czasu do czasu można było ujrzyć siedzącego przy szosie w skwarze kurzu ulicznego kupca, który na brudnej płachcie miał rozłożonych kilka spieczonych podpłomyków. Czarną jak święta ziemia ręką przekładał je na drugą stronę, aby się nie spaliły od słońca, i z powagą odganiał z nich roje much. Autokar zatrzymał się w jednej z oaz, aby nabrać wody do chłodnicy. Pasażerowie wysiedli na chwilę i Madzia zaraz pobiegła do pobliskich skałek, aby zrobić sobie kąpiel słoneczną, Pod suknią nie miała nic, więc zrzuciła ją szybko przez głowę i rozłożyła się na piaszczystym miejscu. Wielkie, smutne kaktusy, jak gdyby wycięte z blachy, zakurzone od pyłu, zasłaniały ją przed oczyma współpasażerów. Wystawiając twarz do słońca, usłyszała nagle cichy szmer; zza skały wypełznął duży żółw i myśląc, że jej brzusek to część przyrody, spoczął

na nim z całym spokojem i ufnością. Nigdy w życiu Madzia nie poczuła 216

się tak blisko przyrody jak w tym momencie. Wstrzymała oddech, aby żółwia nie spłoszyć. Potem delikatnie zdjęła go, ponieważ kierowca au-tokaru dawał już sygnał odjazdu.

W Marakesz całe towarzystwo ze statku stanęło we francuskim hoteliku pod czułą nazwą „Mamounia”, gdzie wszyscy mieli przenocować.

Lilka z Madzią pobiegły do tak zwanych „suków”, czyli długiego muro-wanego budynku, w którym mieściły się sklepiki i kramy. W tych sukach życie zatrzymało się, przecząc najkompletniej wszelkiemu postępowi czasu. Kobiety w wielkich kadziach farbowały własnoręcznie wełnę ro-

ślinnymi barwnikami, naprzeciw nich w małym kramiku jakiś mędrzec z brodą pisał na żądanie listy tym, którzy sztuki pisania nie znali. Spokojnie czekali, aż „uczony” z wolna i sumiennie wykaligrafuje dużym pi-smem ich podania lub miłosne wyznania. Siedząc w kuczki przy swoich warsztacikach, szewcy wykonywali skórzane pantofle i przedmioty z wytłaczanej skóry. W tym zamkniętym światku, w którym nic nie zmieniło się od czasów Mahometa, nie znano żadnych maszyn, żadnych nowoczesnych udogodnień. Na małym placyku wewnątrz tej mrocznej sklepionej budowli odbywał się handel n i e w o l n i k a m i . Bogaci kupcy, siedząc ze skrzyżowanymi nogami i kopcąc fajki, oglądali towar: młode zawołowane dziewczęta. Targowali się z kupcami, bełkotali no-sowym głosem, wzruszali ramionami i pluli na znak niezadowolenia z postawionej ceny. Od czasu do czasu siostry spotykały ludzi z obciętą do łokcia ręką. Byli to złodzieje, którym starodawnym obyczajem obcinano rękę za kradzież. Pod murami stali potworni żebracy z oczami wyjedzonymi przez robactwo, od którego roiło się w ich martwych źrenicach. Na ten widok można było tylko zamknąć oczy i otworzyć je dopiero, gdy się ich minęło. Przechodzący Berberzy chrupali suszone szarańcze jako największy przysmak. W całych tych sukach śmierdziało potwornie zgni-

łym surowym mięsem, które krajowa ludność kupowała z tym samym poważnym spokojem, z jakim spoglądała na żebraków z wyjedzonymi źrenicami. Madzia, aby nie zemdlec, kupiła sobie bukiet róż

z miętą, wsadziła go do glinianego wazonika i z taką maseczką gazową przy twarzy szła dalej. Od czasu do czasu pożyczła maseczkę swojej siostrze.

217

Co chwila obie przystawały i targowały się z kupcami o cenę skórzanego pufu, torebek z wytłaczanej i malowanej skóry, jakichś poduszek i makatek. Czasem gubiły się i przerażone nawoływały się: „Lilka! Madzia! - Madzia! „Lilka!” Berberzy, którzy byli pojętni jak papugi, od razu podchwycili te słowa i śmiejąc się powtarzali za nimi: „Lilka - Madzia!” -

naumyślnie starali się je zmylić mówiąc: „*Madzia est allée là-bas!*” - i pokazywali odwrotny kierunek zabłąkanej Lilce. Gadali swoistą fran-cuszczyzną, wszystkim bez wyjątku mówiąc „ty”. Obie siostrzyczki stanę-

ły przed kramem z marokańskimi skórzanymi przedmiotami, targując się ze sprzedawcą o jakąś piękną torebkę.

- Dam ci za nią dziesięć franków - rzekła Madzia.

- Nie mogę ci jej sprzedać taniej jak za trzydzieści - odparł kupiec.

Był to piękny młodzieniec o oczach z czarnego weluru.

- Bierz dziesięć franków i sprawa załatwiona!

A na to piękny kupiec wziął ją za rękę i szepnął namiętnie:

- Daj mi się uszczypnąć w tyłek, a odstąpię ci ją za darmo!

Madzia, czerwona z oburzenia, natychmiast zrezygnowała z nabycia torebki.

- No, jeśli ta torebka była naprawdę taka ładna - rzekło Mamidło, gdy jej córki opowiedziały tę przygodę po powrocie - to może szkoda...

- Manusia, Manusia - pokiwał głową Tatko - co ty wygadujesz!

Nakłaniasz panny do nierządu!

Manusia spiekła raka i długo ze zmieszania nie mogła przyjść do siebie.

Obiad w hotelu „Mamounia” składał się z bardzo dziwnego menu.

Najpierw podano w olbrzymiej czaszce gorący mózg. Obie siostry nie tknęły go, mając wrażenie, że to musi być mózg wielbłąda. Potem małe zielone szparagi, następnie wniesiono wielki półmich pełen sma-

zonych udek. Madzia, będąc przekonana, że to same udka kurcząt, zjadła ich większą ilość - były to

udka żabie. Kawa, którą podawano w tej francuskiej restauracji, była zielonego koloru i nie do przełknięcia. Kawę prawdziwą arabską można było otrzymać tylko w arabskich kawiarenkach.

218

Wieczorem kilka osób ze statku poszło oglądać „tańce brzucha,” w małej, podejrzanym kawiarence. Byli w niej jedynymi gośćmi. Na podium wkroczyła orkiestra, której instrumenty składały się z bębnów i piszcza-

łek. W momencie gdy na środek sali wbiegły młodzietkie gołe dziewczynki, orkiestra odwróciła się do nich tyłem, jako że „wiernym” nie godzi się kalać sobie wzroku widokiem nagich kobiet. Przedsiębiorca z zasłoniętymi ręką oczami postawił przed gośćmi tacę z wyszczerbionymi filiżaneczkami z kawą. Zapiszczały piszczałki, zabębniły bębny i dziewięć brzuszki poczęły się kręcić z zawrotną szybkością. Stały zupełnie nie-ruchomo, trzymając w rękach mysie warkoczyki związane kolorowymi tasiemkami i tylko ciemne brzuszki z dziurką pępuszka biegały wokół, wznosiły się do góry w rytm dzikiej muzyki. „Panienki” wyglądały na bardzo zażenowane i wzrok miały wbity w ziemię. Po skończonym tańcu dygnęły jak grzeczne pensjonarki i wybiegły za kotarę. Wówczas wsty-dliwa orkiestra z godnością odwróciła się w stronę gości.

Obie siostry spędziły noc afrykańską, bardzo zresztą chłodną, na ma-

łym balkoniku. Nie były śpiące. Z pobliskiego lasu dochodziło skrzeczenie małych i wycie szakali oraz, jak wszędzie na świecie, jak w Polsce, głośne rechotanie żab. Przed nocą obie wyszły jeszcze przejść się po arabskiej dzielnicy.

Pod murem jakiejś ubogiej kamieniczki siedziała mała wschodnia księżniczka. Obwieszona cekinami, na czole miała indygiem wymalowane znaki, ubrana była w fioletową szatę. Twarz nie zakrytą żadną zasłoną miała tak upajająco piękną, że obie siostry zatrzymały się przed nią w niemym zachwycie. Wschodnia księżniczka wyciągnęła do nich wąską rączkę koloru starej kości słoniowej, prosząc o jakiś datek. Mogła mieć najwyżej dziewięć albo dziesięć lat, prawie dziecko. Gdy wstała, ujrzały z przerażeniem, że była w bardzo zaawansowanej ciąży.

Madzia chciała jeszcze koniecznie zobaczyć wewnątrz jakiegoś typowego arabskiego domku. Stara kobieta, siedząca na przyzbie, zgodziła się, aby zwiedziły jej mieszkanie. Izba na parterze umeblowana była wyłącznie cebulami, które leżały na zgniłych deskach, w kącie bawiło się na brudnej płachcie dwoje małych dzieci. Izba nie posiadała ani stołu, ani stołka, ani też żadnej ławki.

219

A gdzie sypiacie? - zapytała Madzia. Kobieta wskazała im drabinkę, która prowadziła na płaski dach otoczony drewnianą rzeźbioną balustradą. Plafonem tej dziwnej sypialni było granatowe arabskie niebo w złote gwiazdki.

- Przed spaniem modlą się do Krzyża Południa - szepnęła Lilka i ręką wskazała go na niebie. - To jest najuboższa, ale najbardziej po-etyczna sypialnia, jaką kiedykolwiek w życiu oglądałam.

Następny dzień po powrocie z Marakesz Madzia spędziła w towarzystwie doktora Mrozowskiego. Oprowadzał ją po arabskiej dzielnicy Casablanki pokazując jej najrozmaitsze dziwy i cuda, jak na przykład ulicznego stomatologa, który na poczekaniu wielkimi obcęgami wyrywał

zęby krajowcom, siedzącym w kuczki wieńcem wokół niego. Najpierw rozpalonym żelazem przypiekał dziąsło, aż wokół rozchodził się swąd spalonego mięsa, a potem wyrywał zęba i z triumfem pokazywał go ze-branej grupce następnych pacjentów. Pacjent z zakrwawioną paszczką uśmiechał się szeroko ani jeden krzyk nie wydobył się z jego gardła podczas tego barbarzyńskiego zabiegu.

- Widzi pani, co to za ludzie - śmiał się Mrozowski - wolą podda-wać się takim bolesnym zabiegom niż iść do europejskiego dentysty.

- Pewnie dlatego, że taniej.

- Nie tylko to, ale nie mają do naszych lekarzy zaufania. Straszna ciemnota!

- Dziwne - zauważyła Magdalena - że rząd francuski nie walczy z tym zacofaniem i barbarzyństwem i że spokojnie patrzy na tę straszną, nędzę.

- Moja piękna pani nie orientuje się w tych sprawach - odparł doktor przyciskając mocniej jej ramię do swojego ramienia. - Rząd francuski nie tylko, że z tym nie walczy, ale bardzo mu to jest na rękę. Gdyby tutaj-si mieszkańcy zaczęli być cywilizowani, na pewno zmniejszyłaby się ilość turystów zjeżdżających przez cały rok do Maroka.

220

Tego samego przedpołudnia byli już ze sobą zaręczeni, co przy-pieczętowali gorącym pocałunkiem. Dziwne postępowanie Madzi, która zaręczyła się z ledwo poznanym człowiekiem, wiedząc o nim tyle, co on jej powiedział, można wytłumaczyć tylko tym, że wszyscy na statku mieli naruszony nerw błędny i po trochu wszyscy byli „myszугe”. Jedna młoda mężatka, która pojechała na wycieczkę bez męża, kazała sobie na statku zrobić okrętowemu lekarzowi zabieg ginekologiczny, udając, że burza na morzu zaszkodziła jej w sposób gwałtowny. Lekarz okrętowy, który nigdy takich zabiegów nie czynił, zgodził się chyba tylko dlatego, bo również miał nerw błędny naruszony. Burze morskie nabawiły niektóre damy, biorące udział w wycieczce, jakiejś psychozy erotycznej, która objawiała się w sposób zaborczy i gwałtowny. Wszyscy mężczyźni na statku, nawet najbrzydsi i najstarsi, narażeni byli na nocne wizyty tych zhisteryzowanych pasażerek.

Doktor Mrozowski wymówił sobie, aby ich zaręczyny były oficjalne i prosił Madzię, by po sutym obiedzie na statku, na który go zaprosiła, pobłogosławił ich sam minister Kwiatkowski. Lilka spoglądała tylko wielkimi oczami na młodszą siostrę pukając się w czoło. Przejdzie jej to, czy nie przejdzie? - myślała z niepokojem. Po obiedzie Madzia wzięła za rękę swojego brunecika z, wąsikami i oboje podeszli do bladego i nieszczęśliwego Kwiatkowskiego, którego czekała jeszcze długa przeprawa morską.

- Panie ministrze - rzekła Madzia wzruszonym głosem - proszę nas pobłogosławić. Zaręczyłam się z

doktorem Mrozowskim i niedługo po-bierzemy się.

- Życzę wam wiele szczęścia, moje dzieci - odparł Kwiatkowski ściskając ich dłonie. Wszystko na świecie było mu teraz obojętne poza my-

ślą o dalszej morskiej podróży, którą on, twórca Gdyni, tak strasznie ciężko znosił.

Tego samego dnia po południu „Kościuszko” miał odpłynąć do Polski. Madzia wysiadła z narzeczonym, z którym miała już na zawsze pozostać w Casablance. Przed odejściem statku stali przytuleni do siebie, spoglądając, jak ostatni pasażerowie wchodzili na mostek. Zadzwoił

donośnie pierwszy dzwonek, sygnalizujący odjazd, za chwilę drugi. Lilka 221

stała oparta o barierę burty, w dużym jasnym kapeluszu, z którego spływał długi, biały, koronkowy woal. W momencie kiedy dwóch marynarzy z załogi „Kościuszki” miało już podnieść mostek, Lilka spokojnym głosem rzuciła w stronę Madzi tylko jedno zdanie:

- A co Mamidło na to powie?

Wtedy Madzia puściła ramię swojego towarzysza i w pośpiechu wbiegła na mostek. Machając chusteczką zdumionemu „narzeczonemu”, rzuciła mu słowa pożegnania i zapewnienia, że na pewno do niego wróci.

I nie wiadomo, czy ta wariatka nie byłaby powróciła do Casablanki, gdyby nie wycieczka wysokogórska w góry Atlasu, w której brał udział

korespondent IKC i słynny taternik - Jaszcz oraz ginekolog-lotnik-recenzent-taternik - doktor Piotrowski, wielki przyjaciel Jasnorzewskiej.

W porcie w Casablance oczekiwał już na nich dr Mrozowski, robiąc

„honory domu”. Piotrowski, poinformowany przez Lilkę o matrymonialnych projektach Madzi, zasięgnął informacji i dowiedział się, że jest on podejrzanym typem, który pokątnie i nielegalnie uprawia zawód lekarski, prowadząc swoją przychodnię... ginekologiczną.

Wszystkie jego opowieści z „Tysiąca i jednej nocy”, iż jest przybocznym lekarzem sultana, wyssane były z palca. Natychmiast pochwalił się Piotrowskiemu, że jest zaręczony z panią Samozwaniec.

Oburzona Madzia, dowiedziawszy się o tym wszystkim, nie odpisała mu więcej na listy.

Rozdział XII

ANGLIA

Madzia też miała swoją wielką przygodę. Bohaterem owej przygody był pewien Stefek, który przyczynił się do jej podróży do Anglii. Stefek był, można rzec, chłopak „na szkwał”, któremu niedziwne były burze życiowe i nawałnice. Był silny jak tur, zdrowy jak młody pień, ale bynajmniej

nie głupi jak pień. Mając awanturnicze usposobienie, postanowił pojechać do USA. Pożyczył na podróż pieniędzy i wysiadł w porcie w New Yorku bez grosza, nie wiedząc zupełnie, z czego będzie żył. Za-miarem jego było zdać egzamin na inżyniera w Pittsburgu. Ale na to potrzeba było pieniędzy. W porcie potrafił go z całej siły jakiś typ. Stefek, który znał boks, zaczął bójkę, wokoło walczących zabrał się tłum gapiów. Stefek zwyciężył i rozłożył typą na obie łopatki. Tym czynem rozpoczął karierę w Ameryce, ponieważ od razu otrzymał posadę jako...

tragarz w jakimś prywatnym przedsiębiorstwie. Potem zaawansował na portiera w polskim konsulacie. W dzień otwierał drzwi i wpuszczał inte-resantów, a wieczorem, przebrany w smoking, chodził z konsulem na kolacje do eleganckich restauracji. Uzbierawszy sobie trochę pieniędzy, zaczął studiować w Pittsburgu i został po kilku latach inżynierem górni-kiem, specjalistą- od nafty. Przyjeżdżał na urlopy do Polski i Madzia poznała go w Zakopanem. Między Stefkiem a Magdaleną nawiązał się romans, który trwał kilka lat. Stefek potrafił nie pisać i rok. Po roku pisał nagle do niej z Iranu czuły list, zwykle po angielsku, aby Mamidło, które nie rozumiało tego języka, nie mogło przeczytać. Madzia miesi-

cami oczekiwała listonosza podobnie jak jej siostra, tylko że milczenia amanta nie brała zbyt tragicznie. Kiedyś, po kilku miesiącach komplet-nej ciszy przyszedł nagle od Stefka list z Florencji, w którym donosił

223

jej w krótkich słowach, że jest jedyną kobietą na świecie i że, uzbieraw-szy sporą kupkę pieniędzy na kopaniu nafty w Iranie, wyjeżdża do Pary-

ża, gdzie chciałby się z nią spotkać. Madzia odpisała mu, że postara się przyjechać.

Posprzedawała na tę wyprawę mnóstwo rzeczy: złotą papierośnicę od Ojca, wszystkie obrazki, które od Tatki wyludziła, futerko z kretów...

Kupiła sobie bardzo tandetny kostiumik kawowego koloru, duży różowy kapelusz z koronkowej słomki, jakąś letnią suknię w kwiaty i szczęśliwa jak kanarek, który się wyrwał z klatki, pojechała z Krakowa do Paryża.

Na Gare du Nord ujrzała z okna wagonu owego ukochanego draba i wówczas serce zabiło jej gwałtownie. Uściskali się i zaczęli ze sobą rozmawiać spokojnie i normalnie, jak gdyby się rozstali wczoraj. Stefek nie był człowiekiem od wielkich słów, a nawet od czułych. Był też dręczycydu-szą, który już po kilku dniach pobytu z nią razem w jednym hotelowym pokoiku rzekł melancholijnie;

- Jakeś mi dała znać, że przyjedziesz, to biegałem jak wariat powtarzając sobie wciąż: „Madzia, Madzia... Madzia przyjedzie!” - a teraz wi-dzę, że Madzia to żadne takie szczęście...

W Paryżu była wówczas słynna Wystawa Kolonialna i Madzią ze Stefkiem cały dzień spacerowali po owym olbrzymim egzotycznym mie-

ście, oglądając próbki architektury francuskich kolonii, krajowców w narodowych strojach, ich tańce

i obyczaj. Było to tak, jak gdyby człowiek tanim kosztem i bez fłaty zwiędził Sudan, Algier, Maroko, Wiet-nam, Kambodzę, Jawę, Martynikę itd. Stefek, który często z ż a d n e go pieca chleba n i e jadł i wiedział, co to bieda, był bardzo oszczędny. Madzia złożyła do wspólnej kasy swoje nieduże kapitały, a on tym rozporządzał uważając, aby żyć skromnie i oszczędnie. Życie jednak oszczędnie w Paryżu to znaczyło znać tylko jeden Paryż - ten dla ubogich, a obok tego Paryża przewijał się inny, ten dla uprzywilejowanych, Paryż pięknych limuzyn, z których wysiadały damy we wspaniałych futrach i świetnie ubrani panowie, wieczorem zapełniający czerwone pudełka łóż w Operze albo w Comédie Française. Te limuzyny zatrzymywały się przed najpiękniejszymi sklepami na Rue de la Paix i na Boulevard de la Madeleine. Madzia stała z nosem przylepionym do szyb wystawowych, 224

niczym ubogie dzieci w Warszawie do witryn eleganckich cukierni. Być w Paryżu i żyć z ołówkiem i notesikiem, znaczyło - nie chodzić do teatrów ani do eleganckich restauracji wieczorem, no a przede wszystkim nie móc sobie nic kupić z owych przedmiotów, które kusily z witryn sklepowych. Kto na przeciąg dłuższego czasu nie zagnał Paryża dla ubogich, ten nie może zdać sobie sprawy, co to za męczarnia. Jedną z największych tragedii ludzi bez pieniędzy jest to, że nie mogą sobie pozwolić na żaden gest. Madzia cierpiała, że nie może ukochanemu kupić pięknego krawata - a on, że nie może jej sprawić czegoś takiego, co by podniosło jej samopoczucie i upodobniło ją do tych ślicznych, drobnutkich paryżaneczek-laleczek, które na wysokich obcasikach, w czarnych kostiumikach i kapeluszach z woaleczkami biegały po ulicach. Jest dobre francuskie przysłowie: *L'habit fait le moine*, czyli: habit robi mni-cha. Dopiero w takim Paryżu widzi się, jak ważną rzeczą jest ubranie i jak człowieka według niego taksują. Madzia w swoim różowym kapeluszu ze słomianej koronki, w luźnym „wdzianku” z różowego płótna, za którym się paryżanki z ironią oglądały, czuła się nieszczęśliwa i upokorzona, tym bardziej że amant dawał jej to odczuć, nazywając ją „panienką z Kłaja”.

W owym sezonie były w Paryżu modne małe filcowe kapelusze, z któ-

rych spływało na szyję strusie pióro. Wszystkie szanujące się paryżanki musiały zaraz sprawić sobie taki model. Ceny tych kapeluszków były od pięciuset franków wzwyż i Madzia mimo straszliwego pożądanja, które jej spać nie dawało, w żaden sposób nie mogła sobie na ten wydatek pozwolić. Stefek, widząc jej żal i tęsknotę za tym modelikiem, przyszedł

kiedyś z pakietem pod pachą. Był to duży kaplin z kawowego filcu, zakupiony za sto franków w Galeries Lafayette.

- Ja ci z tego wykroję i uszyję taki modny kapelusik, abyś wreszcie przestała jęczeć i nudzić. Gdy już będzie gotów, kupimy do niego w Galeries strusie pióro.

Zabrał się rażno do roboty i po kilku godzinach kapelusik był gotów.

Kupili do niego strusie pióro „pod kolor” i gdy Madzia przejrzała się w lustrze, nieszczerzy uśmiech pojawił się na jej wargach.

- Czy dobrze mi w nim? - zapytała kokieteryjnie.

- W każdym razie lepiej niż w tych twoich słomianych kreacjach *made in Cracow* - odparł Stefek. - W tym kapeluszu możemy gdzieś razem wyjść wieczorem.

Jakżeż bardzo trzeba było być zakochanym, aby w owym modelu pa-radować po ulicach Paryża, i Madzi wielkie poświęcenie ocenić może tylko druga kobieta. Stefek, okropnie dumny ze swojego dzieła, wziął

Madzię pod ramię i oboje poszli do eleganckiej restauracji, gdzie kelne-rzy, nie wyczuwając w tej parze ludzi zamożnych (którzy zostawiają sute napiwki), omijali ich starannie.

W tym oto kapeluszu i okropnym kostiumiku kawowego koloru pojechała Madzia ze Stefkiem do Londynu, gdzie Stefek miał się pokręcić w poszukiwaniu odpowiedniej dla siebie posady. Zamieszkali w centrum, w jednym z domów, na których przy wejściu widniał napis *Bed and Breakfast* - czyli „łóżko i śniadanie”, co jest dla każdego człowieka rzeczą najważniejszą. Pokoik przeznaczony dla Madzi wyglądał jak gościnne pokoje u biedniejszych ciotek na wsi. Mała miedniczka (prawie „nerko-wa” - według określenia Magdaleny) i wyszczerbiony dzbanek malowany w kwiatki stały na małej umywalce. U okien zwisały dość wypłowiałe firaneczki, stół kiwał się, a jeden z fotelików nie miał nogi. Madzia, lu-biąca się myć, zaczęła szukać łazienki. Na cały pensjonat była tylko jedna, gdzie za wrzuceniem *sixpence* zapalał się automatycznie gaz. Niestety łazienka ta prawie zawsze zajęta była przez dwóch jegomościów o karcianych nazwiskach: jeden z nich zwał się *mister Poker*, a drugi *mister Bridge*.

- Nie może się pani kąpać, *Mam*, bo właśnie zajął łazienkę *mister Poker* - powiadamiała ją uprzejma pokojowa - a *mister Bridge* już czeka na swoją kolej.

Co dzień rano odzywało się głośne pukanie i głos pokojowej:

- *Hot water!* - (gorąca woda)

Przed każdymi drzwiami stawiano nieduży blaszany imbryk z gotującą wodą, która miała wystarczyć na mycie całego ciała.

- Ta przysłowiowa czystość i schludność Anglików – to wierutna blaga! - złościła się Madzia.

W tym pensjonaciku poznała Madzia angielskie śniadanie, jedyny 226

kopiasty i smaczny posiłek w Londynie. Składało się ono z owej cudow-nej angielskiej herbaty, która w Anglii może zastąpić wszystkie inne napoje i którą można było pić w dowolnych ilościach, zakrapianą wspaniałą śmietanką, z jajek na bekonie lub na pomidorach, wędzonej ryby, pieczywa i dżemu pomarańczowego.

- Anglicy dlatego wygrywają wojny - rzekł pewien mądry lekarz -

ponieważ jedzą takie dobre i obfite śniadania, nie śpiesząc się. - Poza śniadaniem nie warto było nic

jeść w Londynie. Mięsa wypieczone, wy-macerowane w sosach mięsowych lub kminkowych, były tak szare i bez-nadziejne jak londyński klimat. Kawa nie do picia. A jeśli ktoś uparł się, aby dostać befsztyk po angielsku, musiał iść do restauracji włoskiej lub francuskiej. Londyn po Paryżu wydał się Madzi poważny, smutny i brzydki. Wśród beznadziejnych wiktoriańskich kamienic wystrzeliwały od czasu do czasu wspaniałe groźne antyki: Westminster Abbey i mrozą-

cy krew w żyłach Tower.

Na Coram Street, gdzie zamieszkali państwo „amantowie”, domki by-

ły tak podobne do siebie, że nieraz trudno było do swojej kamieniczki trafić. Słynna była historia o pewnym zalanym w pestkę Anglika, który wieczorem wszedł do innego domu, do cudzego mieszkania, takiego samego jak jego mieszkanie, i znalazłszy w małżeńskim łóżu żonę, zupełnie podobną do swojej żony, rozebrał się i położył obok niej...

Do Anglików Madzia od razu poczuła wielki sentyment, ale sentyment taki, jaki miewała do pięknych koni albo rasowych psów. Byli grzeczni, szalenie dobrzy i uprzejmi, ale, można rzec, kompletne pnie i dogadać się z nimi nie było sposobu, nawet gdy się naśladowało ich akcent. Kiedyś Madzia, pragnąc się autobusem dostać na swoją Coram Street, zaczęła policjanta, czyli tak zwanego *Bobby*, pięknego wielko-luda o dobrych oczach niewinnego dziecka.

- Który *bus* idzie w stronę Coram Street? - zapytała się go po angielsku.

- Nie rozumiem - odparł rozkładając bezradnie wielkie łapy w białych rękawicach. - Proszę powtórzyć jeszcze raz.

227

Próżno Madzia powtarzała wyraz Coram Street na wszystkie sposoby, nieomal ze łzami w oczach - mówiłar „Keurem Strit”, „Korejm Strit”,

„Korraum Strit”. - Nic nie pomagało.

- *How do you spell it?* - zapytał Anglik.

Madzia - zdenerwowana okropnie, bo Stefek od pół godziny czekał na nią, aby razem pójść do kina - zaczęła sylabizować litera po literze, ale i to nie pomogło. Autobus za autobusem stawał koło przystanku i biedna Madzia nie wiedziała, do którego wsiąść. Błada ze złości powiedziała więc tak samo, jak na początku: - Coram Street.

I nagle olśnienie; *Bobby* takim samym akcentem jak ona powtórzył

za nią tę na pozór łatwą nazwę ulicy i ręką wskazał jej kierunek oraz objaśnił najuprzejmiej, jakim „busem” tam dojedzie.

Po tygodniu pobytu w Londynie Madzia doszła do przekonania, że gdy Anglik urodzi się z taką

inteligencją, jaką u nas posiada przeciętny szofer taksówki, to wówczas może już pretendować do tego, by zostać znanym mężem stanu albo sławnym pisarzem. Ogół ich był tak tępawy i naiwny, a przy tym karny i posłuszny, że nie można się dziwić, iż w Anglii ustrój i obyczaje nie zmieniały się od wieków. Każdy obywatel wiedział i miał już to we krwi, że należy szanować „kinga” i kochać go bez-krytycznie, że powinno się podziwiać lordów, na których gruntach stoi Londyn, i bynajmniej nie należy im zazdrościć, gdy wraz ze swoimi rodzinami wyjeżdżają konno na spacer do Hyde Parku w godzinach, kiedy inni pracują. Tak było zawsze i tak ma być dalej. Madzia, nigdy nie zapomni przekomicznej sceny, gdy późnym wieczorem do londyńskiego metra wpadł jakiś dżentelmen w cylindrze, we fraku i w rozwianej czarnej narzutce, przypominający aktorów na scenach polskich, gdy grają rolę lorda. Był zalany w drobny mak i chwiał się na nogach; wówczas jakiś oberwus, w łatanych portkach, wstał i z uprzejmym uśmiechem odstąpił mu swoje miejsce. O ile tępota tego narodu była trochę drażnią-

ca - o tyle z ich dobrego wychowania i uprzejmości powinno się być brać przykład. Kiedyś Madzia, wychodząc z autobusu, z całej siły stanęła na nodze jakiegoś mężczyzny, który stał na przystanku.

228

- *I'm sorry* - przeprosił Anglik, zamiast skłąć ją siarczyście, jakby to miało miejsce u nas.

Madzia ze Stefkiem i Tadeuszem Brezą, który wówczas przebywał w Londynie, postanowili pojechać metrem do odległej dzielnicy White Chapel, i do doków, aby się przyjrzeć „londyńskiej nędzy” i owym przysłowiowym „lordom, którzy przy brydżu nie atutowali”. Zaszli też do Soho, gdzie w chińskiej restauracji zjedli wspaniałe risotto pałeczkami, popijając zieloną chińską herbatą. Nędzy w dosłownym tego słowa znaczeniu nie widzieli. Nędzarze bez domów i zajęcia gnieździли się w zupeł-

nie innej stronie miasta, o której londyńczycy nie lubią wspominać i do której niełatwo cudzoziemcom trafić. Chcąc się napić piwa, zeszli do jakiejś podejrzananej tawerny w podziemiach. Przy stoliku siedziało czterech typowych opryszków o mocno niepokojących twarzach. Zamiast whisky pili herbatę i wciąż zerkali na owych niecodziennych gości. W

każdym innym kraju byliby na pewno szukali z nimi zaczepki, ale tutaj, widząc, że Stefek rozłożył na stole plan miasta i zastanawia się, jakim autobusem mają powrócić do centrum, wszyscy czterej, zabrawszy swoje szklanki z herbatą, przysiedli się do ich stolika. Madzia o mało nie spadła z krzesła, z przerażenia, ale oni, przeprosiwszy za swoją śmiałość, powiedzieli, że domyślają się, iż państwo są cudzoziemcami, pragną ich tylko poinformować co do sposobu powrotu do centrum. Pokazało się, że nie byli żadnymi opryszkami, ale robotnikami w dokach.

Po miesiącu pobytu w tym dziwnym olbrzymim mieście, które - mia-

ło się wrażenie - nie posiada końca, Madzia nagle postanowiła powrócić do kraju. Czowała, że nie może tu pozostać ani dnia dłużej. Stefek został i kilka razy potem przyjeżdżał do Polski.

Od czasu tego pobytu Madzia nie potrafi zrozumieć, jak Polak ze swoim temperamentem, brawurą, złym wychowaniem, brzydkim wyra-

żaniem się, krnąbrnym usposobieniem, a przede wszystkim wybujałą inteligencją i poczuciem humoru może chcieć na zawsze w tym kraju pozostać. Anglia jest tylko dla Anglików i dla nikogo więcej. Siostra Magdaleny, Pawlikowska-Jasnorzewska, którą ostatnia wojna rzuciła do 229

tego mglistego, dystygowanego kraju, musiała widocznie odczuwać to samo, skoro tak pięknie i wzruszająco wyraziła to w jednym ze swoich ostatnich wierszy pisanych na emigracji:

Stary kościół - kamienna korona

W drzew obrębie, w oparów smudze...

Dolo moja niewydarzona.

Jakie to wszystko cudze,

Domostwo z surowej cegły,

Bluszczem obrosłe podwoje -

Z powitaniem psy ku mnie wybiegły -

Serdeczne, ale nie moje.

Służące: Philis, Rebeka -

Golf: aksamitne boisko -

Jakie to wszystko wasze!

Ja zaś jestem z bardzo daleka.

O zmierzchu domowe ognisko

W marmurowym, czarnym kominie

Zapłonie jak bukiet chryzantem.

Zgromadzonej przed nocą rodzinie

Radio zagra „The National Anthem” -

O jakież cudze to wszystko.

Na ileż lat szczęścia liczycie?

Powiedzcie. Ja was nie straszę,

Nie pouczam was, czym jest życie.

Jakie to wszystko wasze.

Lecz te głogi kwitnące, bezpańskie,

To niebo w kałuży, jak w blasze,

Ten wiatr na umarłą nutę.

Ten -trakt daleki, ten smutek,

Rosy, kolce -

To już nie tylko wasze,

To już i moje, cygańskie,

Cygańsko-polskie.

Rozdział XIII

JURATA

Co roku latem cała rodzina Kossaków wyjeżdżała do Juraty. Nie było piękniejszych wakacji jak te, które spędzano w małym domku z ogródkiem w pobliżu zatoki. Obok domku znajdował się kawałek własnego lasu, gdzie dojrzewały borówki, poziomki i... nowe pomysły obu sióstr.

Śniadania z doskonałą kawą, bułeczkami, dowcipami Madzi i odczytywaniem nowych wierszy Lilki odbywały się na ganku. Po śniadaniu szło się na plażę nad zatokę.

Tatko był jednym z pierwszych udziałowców campingowych domków w Juracie. Domki te dzierżawiło się od konsorcjum na dziewięćdziesiąt lat i wpłaciwszy pewną kwotę, resztę spłacało się w długoterminowych ratach. Domki, solidnie i uczciwie budowane, stały w zawrotnym tempie na pustym dotychczas terenie. Za przykładem Wojciecha i innych poszli panowie z rządu, warszawscy przemysłowcy i paru bogatych ziemian. W przeciągu kilku lat powstało piękne letnisko ozdobione luksusowym hotelem „Lido”, przed który codziennie zajeżdżały wspaniałe limuzyny rządowe. Niczego nie brakowało w tym raiku dla ludzi zamoż-

nych. Nad pełnym morzem wybudowano zakład kąpielowy z gorącymi morskimi kąpielami, czarowną restauracją, widokiem na pełne morze i dansingową platformą. Po drodze na plażę znajdowały się korty tenisowe (dziś zarośnięte trawą). Zatoka nie była jak dzisiaj zanieczyszczonym bajorem, ale doskonale utrzymanym terenem do sportów wodnych.

Odbywały się tutaj zawody pływackie, regaty żaglówek i motorówek, zawody na nartach widnych.

Lata: trzydziesty szósty, siódmy, ósmy - stanowiły okres największego rozkwitu Juraty i też słusznie oburzali się panowie z zarządu, kiedy Madzia z jednym ze swoich felietonów nazwała tę perłę Wybrzeża 231

„Dziurata”. Poszli na skargę do Wojciecha, który ostro zgromił zjadliwą humorystkę. Był jurackim patriotą i nie uznawał jakiegokolwiek krytyki.

- I czegoż ty się, Magdusia, czepiasz Juraty, mogłabyś swoje niemądre kawały zostawić na inne okazje. Żeby mi to było ostatni raz!

- A widział tato ten napis na plaży, który tkwi od kilku lat: „Cho-dzenie po widmie surowo wzbronione”! Przecież to nie o widmo chodzi, tylko o wydmy! Poza tym nie ma na plaży ani w lasku koszy do śmieci i wszyscy rzucają papiery, puste torebki i niedopałki gdzie popadnie.

- A ty niby taka porządnicka, co? Zobacz, co się dzieje w twoim pokoju.

- Tak - westchnęła Magdalena. - Nieporządek i brud to nasza narodowa cecha, z którą jednak należy walczyć. Wie tatko, wczoraj Lilusia zezłościła się, wzięła dużą plażową torbę, patyk i zaczęła zbierać te wszystkie papiery do torby. Jacyś państwo z Jastarni, gdy spotkali ją w lasku, jak robiła te porządki, powiedzieli: „Spójrzcie na tę wariatkę, po-rządku jej się zachciewa w lesie!”

Mimo tego, co Madzia pisała, Jurata była jednak najelegantszą i najbardziej snobistyczną miejscowością na Wybrzeżu. Widziało się tutaj rządowe limuzyny, z których wysiadały eleganckie damy otulone we własne pieski, zawzięcie szczekające na widok swoich rasowych rywali.

W południowych godzinach sunęli nad zatokę państwo Beckowie, którzy tu mieli swoją willę. Pani Dziuba w jakimś zawrotnie upojnym komple-cie plażowym szła otoczona swoim dworem, to jest córką, boną i dwoma szalenie rasowymi pieskami. Była namiętną miłośniczką psów i ubiegłej zimy urządziła u siebie słynny psi *five*, na który zaprosiła swoje znajome z czworonożnymi piesszochami wystrojonymi w wielkie kolorowe ko-kardy. Posadzka nakryta była białym obrusem, a na nim poukładano w miseczkach ulubione przysmaki rasowych kundli, a więc: kawałki ciele-

ciny, drobne kosteczki, banany, czekoladę i daktyle. Ponieważ pies Kossaków (zasłużony rasowy spaniel) nie doznał zaszczytu uczestniczenia w owym psim *five'ie*, więc Magdalena tylko w marzeniach wyobrażała 232

sobie, jak się to wszystko odbyło. Oprócz Becków przyjeżdżali tu pań-

stwo Rajchmanowie (on był wówczas dyrektorem GAL-u, ona elegantką konkurującą z panią Beckową), minister Kasprzycki z Kajzerówną, minister Świtalski, który wówczas nie tylko spacerował, ale i „chodził” z Haliną Konopacką-Matuszewską, oraz wielu filmowców kręcących się po Wybrzeżu w poszukiwaniu tematu do morskich filmów (nawiasem mó-

wiąc wcale nie gorszych od dzisiejszych). Wieczorem na dansingu w

„Lido” panie robiły „oko” do Eugeniusza Bodo, do pięknego Korty - panowie zaś przyglądali się Marii Bogdzie, obydwom Halankom - Lodzie i Zizi, Janinie Piaskowskiej, Toli Mankiewiczównie, Smosarskiej i tym niepodobnym, ale równie znanym gwiazdom i przelotnym kometom.

Szykiem było wówczas noszenie spodni spacerowych, nawet wieczorem (z wyjątkiem oficjalnych bali), i wszystkie modnisie z dumą zakładały nogę na nogę w szerokich flanelowych spodniach i

„wyzywająco” kopciły papierosy w długich bursztynowych fajeczkach. Odbywały się także konkursy na „miss” i Magdalena w jednej ze swoich korespondencji z Wybrzeża przepowiadała wybór „miss Cypel”. W Jastarni urządzono kiedyś konkurs na najbardziej opaloną damę i pierwszą nagrodę zdobyła pewna pani z Poznania czy Bydgoszczy, wcale nie piękna, za to koloru toruń-

skiego piernika. Na zatoce, niebieskiej i tylko z lekka pomarszczonej jak gufrowany jedwab, odbywały się regaty żaglówek i ślizgowców, które przelatując i zawracając w szalonym tempie na miejscu - rysowały na niebieskim jedwabiu długie białe smugi, św. Antoni otrzymał od Magdaleny wiele łapówek, gdy ze znajomymi oficerami jeździła tymi morskimi wariatami z Juraty do Gdyni. Przejażdżka trwała raptem pół godziny, ale te pół godziny wypełnione było wielkim strachem, który pokrywał opaloną twarz Madzi kolorem morskich toni, - niebieskozielonym. Modne wówczas stały się narty wodne - do konkursu stanęły dwie zawodniczki: Halina Matuszewska i jakaś pani z Warszawy. Halina Matuszewska wzięła pierwszą nagrodę, owa pani... drugą, co Magdalena natychmiast opisała złośliwie w jednym ze swoich felietonów. Ci, którzy nie uprawiali sportów wodnych, szaleli w hazardzie karcianym. Na każdym ganku campingowego domku można było widzieć już od godziny czwartej po 233

południu czwórki brydżystów, nieczułych na błękit zatoki i zachody słońca, które specjalnie w Juracie dawało darmowe spektakle kolorystyczne. Jeden tylko Wojtek odkładał karty i wpatrzony w ten niezwykły popis słońca zapominał o brydżu, ale zaraz oschłe „Panie Wojciechu, pan nic nie uważa!” sprowadzało go z tej artystycznej ekstazy do pozio-mu zielonego stolika.

Pewien młody plastyk, posiadacz własnej żaglówki, udzielał chętnym kursów żeglowania; na które natychmiast zapisała się odważna Magdalena. Próżno jednak wtajemniczał ją w zawile arkana sztuki żeglarskiej, nie nauczyła się nigdy, mimo to odważnie próbowała sama wyjechać na zatokę. Kiedyś, udając wytrawnego żeglarza, zaprosiła do łodzi pewną młodą matkę z dziećmi, która najzupełniej ufając jej kompetencjom -

bez obawy dała się namówić. Młody malarz z pobłażliwym uśmiechem obserwował z mola, jak Madzia, bardzo pewna siebie, manewrując sznurami żagli, wyjechała na zatokę. Wszystko było dobrze, póki wiatr nie zmienił kierunku i nie zaczął pchać żaglówki coraz dalej od brzegu. Madzię obleciał blady strach. Młoda mama z naiwnością młodych matek siedziała rozmarzona, upajając się szybkim pędem żaglówki; dzieci, nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa, bawiły się uzbieranymi mu-szelkami.

- Jak tyś, Madziu, znakomicie nauczyła się żeglować - chwaliła pa-sażerka - ale trzeba by już zawrócić, bo spóźnimy się na obiad.

- Zaraz zawrócimy, tylko złapiemy wiatr - mruknął nieszczęsny

„wilk morski”, nieudolnie manewrując żaglami. Właściciel żaglówki, obserwując to wszystko z brzegu i uznając figiel za nazbyt ryzykowny, zorganizował szybką pomoc. Rozpaczliwie mocująca się z wiatrem dziel-na żeglarka ujrzała nagle wyłaniającą się z wody czerwoną gumową czapkę, a pod nią wesołą; młodą, męską twarz.

- Czy pani nie zechciałaby wziąć jeszcze jednego pasażera na po-kład? - zapytał z uśmiechem.

Madzia zgodziła się entuzjastycznie. Był to młody Płaczkowski, też plastyk, kolega i przyjaciel właściciela żaglówki, sportowiec i wytrawny żeglarz, którego tamten wysłał na pomoc. Kilka wprawnych ruchów sterem, ściągnięcie lin i łódź położyła się na boku, musnąwszy żaglem wodę jak mewa skrzydłem, po czym zaczęła posłusznie sunąć w stronę brzegu. Sytuacja była uratowana. Młoda mama nigdy się nie dowiedzia-

ła, co ryzykowała podczas owej niewinnej przejażdżki. Od tego czasu nauczyciel już nie puszczał humorystki samej na żaglówce, radząc jej, aby się raczej „puszczała” na kajaku.

Wojciech Kossak z brzegu przyglądał się licznym kajakowcom i postanowił jako były wioślarz zaryzykować samotny spacer. Ubrany był jak zwykle nad morzem w piękny, biały, angielski flanelowy garnitur, na głowie miał tropikalny hełm.

- Przecież nie wyjedziesz sam kajakiem na morze, mój Wojteczku! -

jęknęła Manusia. - Kajak może się wywrócić, a ty się utopisz!

- Już ty się, Manusia, o mnie nie bój. Nie takimi łodziami się wiosłowało! Zresztą wiesz, że pływam doskonale.

- Ja cię proszę... w twoim wieku...

- Manusia, nie ględź!

Podkasał spodnie wysoko, zdjął buty i skarpetki, wsiadł do kajaka i wprawnie odbił od brzegu. Jechał prosto przed siebie, wiosłując szybko.

Manusia, stojąca na brzegu wraz z córkami, swoją zgnębioną postawą i czarną suknią, którą wiatr szarpał, przypominała żony rybaków islandzkich spoglądające z brzegu, jak ich mężowie wyjeżdżają na połów podczas sztormu.

- Czy widzicie, co tatko wyprawia! Znosi go na pełne morze!

- Zatoka jest płytka, nic mu się nie stanie.

- Ładnie tatę kochacie! Ty, Madzia, powinnaś wziąć drugi kajak i pojechać tatce na ratunek!

Ale niegodziwym córkom ani się śniło ruszać z plaży, leniwym wzrokiem spoglądały, jak tatko coraz bardziej się oddala. W końcu jednak i one zaczęły się niepokoić. Manusia zasłoniła oczy rączkami, spod palców ciekły łzy.

- Zawołajcie ratownika... - ale w tym momencie stało się coś, co napełniło zdumieniem całą rodzinę: oto na horyzoncie wyrosła nagle wysoka postać Wojciecha po kolana w wodzie. Wsiadłszy spokojnie z 235

kajaka, szedł z powrotem piechotą, ciągnąc kajak za sobą. Manusia o mało nie zemdląca. Córki

wybuchnęły śmiechem.

Od tego czasu Mama nie broniła już ukochanemu mężowi jazdy kajakiem po zatoce, błagając go jednak, aby się zaniadto nie oddalał ze względu na jej serce. Tatko więc raczej spacerował po plaży w swoim eleganckim garniturze i kapeluszu z fantazją nasuniętym na jedno oko, obserwując półgołe najady wylegające się na słońcu.

- Ach, Magdusia - westchnął podkręcając swojego pięknego węża. - Gdybym ja miał dzisiaj s i e d e m d z i e s i ą t lat!...

Co roku już od wczesnej wiosny cała rodzina Kossaków szykowała się do wyjazdu na Półwysep. Mamidło z Lilką wybierały w Warszawie u Braci Jabłkowskich trzcinowe mebelki i kolorowe kretony na firanki i poduszki. Domek w Juracie był oczkiem w głowie całej rodziny i każdy starał się go czymś ozdobić. Mamidło ozdabiała go pnącymi różami, Tatko - sobą. Lilka, urodzony dekorator wnętrz, wieszala u okien kretonowe firanki w kwiaty i z tego samego kretonu kazała szyć pokrowce na trzcinowe meble i tapczany. Stawiała gliniane garnki z kwiatami. Tylko jedna Madzia, tłusty pożeracz życia, myślała jedynie o własnej wygodzie.

Czy się dobrze wyśpi, czy dobrze zje. Mając bardzo lekki sen, wciąż narzekała, że śpiąc z Mamidłem w jednym pokoju, nie wysypia się dosta-tecznie. Życie, pieszcząc i głaszcząc od najmłodszych lat, nauczyło ją daleko idącego egoizmu.

- Magdusia, Magdusia - rzekł kiedyś proroczo Tatko - żebyś później nie żałowała, żeś nie doceniała tych pięknych czasów... Jak już nas z Maniusią nie będzie, przypomnisz sobie, jakaś była wówczas szczęśliwa.

- Wy zawsze będziecie! - wykrzyknęła Madzia rzucając się Ojcu na szyję. - Życie bez was - toby już nie było żadne życie!

- A jednak, Magdusia, nie jesteśmy wieczni. A ja, drogie dziecko, kończę w tym roku osiemdziesiąt jeden lat.

- Cóż to za wiek! - wykrzyknęła Madzia. - Wobec Solskiego tatko jest szczeniak!

Wojciech, król życia, bardzo lubił, aby mu przypominać, że są na 236

świecie starsi od niego, podkreślił więc z zadowoleniem pięknego szpakowatego węża i pogłaskał po głowie kochającą córkę. Ponieważ domek składał się tylko z czterech pokoi, nie licząc werandy, więc ulokowanie tak licznej rodziny przedstawiało niemałe trudności. Lilką postanowiła spać w kuchni, gdzie znajdowała się mała nyża z łóżkiem dla służącej.

Lilka nie była takim wrażliwym angielskim pieskiem jak jej rozpieszczo-na siostra i wszędzie mogła spać, byleby nikt jej nie zatrzymał powietrza.

Sama zawsze wypielęgnowana, czyściutka jak mydełko, pachnąca najlepszymi perfumami - nie znosiła zapaszków i jej poetyczny nosek cierpiał niewymownie, gdy coś wywęszył. Pokój, w jakim spała Madzia, przylegał do kuchenki; którejs nocy usłyszała przez ścianę cichy dialog siostry-poetki

ze służącą, zupełnie prostą i nieokrzesaną dziewczyną:

- Powiedz mi, Olesiu, czym?...

- Nie wiem, prose pani.

- Błagam, powiedz mi, czym?... Bo to nie lis, nie kot...

- Ale co cym, prose pani? - w tym miejscu rozbeczała się.

- Czym ty tak śmierdzisz, bo ja już nie mogę wytrzymać!

- Nie wiem... buuuuu!...

- Słuchaj, Olesiu, dam ci pięćdziesiąt groszy, jak mi powiesz.

- Może masło... buuuu!

- Jak to masło?!

- Masło, com sobie włosy nasmarowała, gorąc był, to się zepsuło...

Nazajutrz cały domek na Światopełka rozbrzmiewał kwikiem jak gdyby zarzynanego prosięcia, Lilka, wzięwszy siostrę do pomocy, szoro-wała w wannie mydłem i szczotką nieszczęsną Olesię. Myły jej zatłuszczone zjełczałym masłem warkocze drapały skórę rękawicą, mydliły oczy i szyję. Dopiero po tej operacji pokazało się, że Olesia była zupełnie ładną dziewczyną o jasnej cerze i różowych kolorkach. Przyznała się, że po raz drugi od urodzenia dopiero spotkał ją taki wstyd i despekt.

Tatko miał w Juracie swoją flamę, która co roku przyjeżdżała tam z mężem na wakacje. Była to ładna i zgrabna blondyneczka o białej skó-

rze, co specjalnie cenił Wojciech. Nie uznawał kobiet opalonych i nie 237

mógł się nadziwić, dlaczego jego córki starają się być jak najczarniejsze:

- Nie macie pojęcia, moje panny, jak wy się tym szpecicie - powtarzał przy każdym obiedzie.

A piękna pułkownikowa podśpiewywała sobie jak Reri w polskim filmie „Czarna perła” - „...dla ciebie chcę być, biała...” i przed promieniami słońca zasłaniała się zawsze japońską parasolką.

- Wiesz, Lilusiu - mówił do swojej starszej córki - to ciekawe, ale czy uwierzysz, że mi to nic nie przeszkadza, że ona niebawem skończy czterdzieści lat? Sama mi się do tego wieku przyznała...

Mamidło, które miało wówczas siedemdziesiąt lat z czubkiem, było szalenie zazdrosne o tę młodą kobietę i niechętnie widywało ją w swoim domku.

- Mógłbyś, mój Wojteczku, nie sprowadzać mi jej do domu.

- *Ne soit pas ridicule, ma chère.*

Wszyscy śmiali się z biednego Mamidła, i mąż, i córki, nie zdając, sobie sprawy, że zazdrość jest jedynym uczuciem, które nie traci świeżości do końca życia. Chcąc jej wynagrodzić tę swoją nie kończącą się pasję do kobiet, Wojtek robił żonie wiele drobnych przyjemności, aby ją ugłaskać i udobruchać, poza tym kochał ją przecież najwięcej na świecie. Codziennie rano wręczał jej trzydzieści złotych na tak zwany *shopping*, co Maniusię od razu wprawiało w dobry humor. Wsiadała do autobusu, kursującego wówczas między Juratą i Jastarnią, i jechała załatwić drobne sprawuneczki. Przyjeżdżała rozpromieniona przywożąc różne niepotrzebne graciki, które z dumą rozkładała na stołach. W jednym ze swoich felietonów Madzia pisała, że „każda kobieta jest wówczas naj-szczęśliwsza, kiedy ma trochę pieniędzy, jakie może wyrzucić na niepotrzebne przedmioty...”

Na trzy lata przed wybuchem drugiej wojny światowej Tatko wybudował sobie przy swoim domku w Juracie dużą pracownię. Ten wspaniały człowiek nudził się, gdy nie pracował. Słowo „odpoczynek” było dla niego synonimem nudy. Nim wybudował, pracownię, całe rano spędzał w lasku malując pejzaże. Po południu po krótkiej drzemce grał w 238

brydza, wieczorem również, a gdy się położył do łóżka, to nie po to, aby usnąć, tylko żeby do późnej nocy czytać książki. Wydatek na pracownię szybko się zamortyzował. Ministrowe i ministrowie zamawiali u Wojciecha swoje portrety. Przed domkiem na Światopełka zatrzymywały się rządowe auta, wysiadał z nich pan Beck z małżonką (ministrowie nie miewali nigdy żon, tylko „małżonki”), przychodzili panowie Świtalscy, Matuszewscy, Kasprzyccy, Rajchmanowie... Interes szedł, a Tatko potrzebował przecież tyle pieniędzy, żeby podołać utrzymaniu trzech do-mów (w Warszawie, Krakowie i Juracie). Był więc zadowolony, promie-niejący i zapracowany.

Jego obie córki też nie próżnowały. Co dzień rano przechodnie mogli widzieć panie Jasnorzewska i Starzewska, jak ze swoimi maszynami do pisania zasiadały w lasku koło willi, wśród wrzosów i borówek, i tworzy-
ły z zapałem, ubrane w suknie plażowe, z włosami przewiązanymi kolorowymi wstążkami. Znajomi uważali za swój obowiązek zatrzymywać się i przeszkadzać im w pracy.

- Cóż to, pani Madziu, pisze pani?

- Nie, jak pan widzi, rybki sobie łowię.

Lilka nie była tak bezwzględnie szczera jak Magdalena, miała pewien rodzaj chińskiej uprzejmości, polegający na wiecznym lęku, aby komuś nie wyrządzić przykrości. Nieuświadomieni mogliby to nazwać fałszem, ale u niej ta była po prostu tylko przesadna dobroć w stosunku do ludzi.

Madzia nigdy nie zapomni pięknej scenki: kiedyś po południu poszły we dwie do lasku, żeby zjeść tam samotnie dobry podwieczorek. Wzięły dzbanuszek z kawą, filiżanki, ciastka i talerzyki pełne truskawek ze śmietaną.

- Wiesz, Madziusiu - rzekła poetka - czuję się w tej chwili najzupeł-

niej szczęśliwa. Jesteśmy same, nikt nam nie przeszkadza, możemy w spokoju ducha zjeść ten świetny podwieczorek.

- Nareszcie we dwie, nie musimy rozmawiać, nie potrzebujemy być uprzejme - dośpiewała Madzia. Czyż mogła być dla niej większa frajda, jak siedzieć z ukochaną siostrą na trawie i słuchać, co ta leśna wróżka, ta dziwożona, niezwykłego powie? Samotność nie zdarzała się im często, znajomi wciąż odwiedzali filię Kossakówki, nie było prawie dnia i godziny, aby ktoś tu nie zawitał. Jedni przychodzili do „mistrza” Kossaka, 239

drudzy do obu sióstr, trzeci - ci najmłodszy - do wnuczek Wojciecha, a jeszcze inni, przeważnie krewni, aby złożyć wizytę „tej kochanej Maniusi”.

- Popatrz - mruknęła nagle złowieszczą Lilka - widzisz, idzie do nas to zwierzę, ta krowa z synkiem! Tak... zmierza w naszą stronę! Ach, babsztyl wstrętny pozazdrościł nam tej chwili spokoju!...

- Udawajmy, że nas nie ma, położmy się na trawie.

- Nic nie pomoże, już nas zobaczyła... żeby ją diabli wzięli!

Olbrzymie oczy Lilki, które z niebieskich potrafiły się przeistoczyć w zupełnie czarne, ciskały złe błyski. Gdy jednak „krowa z synkiem” weszła w obręb ogródka, twarz Lilki zmieniła się momentalnie, jak to się zdarza tylko u aktorek.

- Moja najdroższa - kłamała rzucając się na szyję gościowi - jak to ślicznie, żeś przyszła! Siadaj na trawie, Madzia zaraz ci przyniesie truskawek ze śmietaną.

Madzia, która ledwie się przywitała z nowo przybyłą, wstała leniwie i, spojrzawszy ponuro na tę fałszywą Lilkę, poszła do domu spełnić jej rozkaz.

- A może ja wam przeszkadzam? - rzekła przyjaciółka. - Może były-

ście właśnie w trakcie pisania?

- Skąd - zaprzeczyła Lilką gorąco. - Siedziałyśmy sobie w lasku czekając na gości. Zdejm kapelusz, najdroższa, zaraz ci naleję kawy.

Po jej odejściu Madzia z głęboką ironią spojrzała na siostrę:

- Nie myślałam, Lilusiu, że potrafisz być tak diabelnie fałszywa.

- Głupia jesteś i nic nie rozumiesz. Ona mnie uwielbia i byłoby jej strasznie przykro, gdybym nie okazała radości z powodu jej wizyty. Rozumiesz?

Już od wczesnej wiosny panie szyły sobie na Juratę plażowe suknie i przymierzały u modniarek olbrzymie kapelusze plażowe. Samochód szedł do remontu. Tatko kupował nowe opony. Do Juraty

zawsze autem - olbrzymia maszyna marki Oświęcim-Praga wyglądała przy starcie jak *Familienbad*. Siedziały w nim: Mamidło, Madzia, jej córka, córka Jerzego, Tatko przy kierownicy i szofer; poza tym mnóstwo tobołków, walizek i koszyczków, pledów, płaszczy i pudełek do kapelu-szy. Cięższy bagaż jechał koleją. Jasnorzewscy mieli swojego fiata, któ-

rym również jeździli na wakacje. Po dwudziestu czterech godzinach jazdy, z noclegiem w Toruniu, lub Bydgoszczy, zmordowane towarzystwo stawało wreszcie u celu. Ta wyprawa rodzinna powtarzała się bez zmian przez kilka lat z rzędu. Ale kiedyś, na miesiąc przed ekspedycją, stała się katastrofa, Tatko, gimnastykując się jak co dzień, zleciał z małego stołka, na którym stawał na jednej nodze, wymachując w powietrzu drugą, i złamał nogę w dwóch miejscach: w łydce i w kostce. Ten żywotny pan, który potrafił siedzieć spokojnie tylko przy pracy, był niepokieszony.

Lekarze orzekli, że w tym wieku noga się nie zrośnie aż za kilka miesięcy-

cy. Nogę włożono w gips. O tym, aby Tatko zechciał leżeć, nie było mo-wy, więc z nogą po kolano w gipsie, ułożoną na stołku, siedział cały dzień przy sztalugach, zły okropnie, przepijając swoje nieszczęście mocną jak smoła kawą i przepalając co chwila grubymi mocnymi papiero-sami.

- Mój Wojteczku, błagam cię, nie pal tyle!

- Czy to twój interes, Manusia?

- Mój, bo sobie zdrowie niszczysz. Pamiętaj, co mówił lekarz...

Tatko roześmiał się szeroko: - A pamiętasz, Maniusiu, jak było z marchewką?

Wyglądało to tak: Tatko kiedyś przewrócił się na ulicy i stracił przytomność. Szybka pomoc lekarska - pijawki, lód na głowę przywróciły mu przytomność po kilku godzinach. Powagi lekarskie zaniepokoiły się jednak, co było rzeczą zrozumiałą, i wysłały Wojciecha na miesiąc do Rabki, skazując go na dietę jarską.

- Żadnych befsztyków, mistrzu, ani kieliszka wina! Groszek, mar-chewka, buraczki, dużo owoców i jak najwięcej odpoczynku.

Madzia pojechała z Tatką do Rabki, mając przykazane pilnować tego niesfornego starszego młodzieńca i dbać o jego dietę.

Kuchnia pensjonatowa otrzymała od lekarza specjalny dietetyczny jadłospis dla mistrza Kossaka i biedny Tatko dostał na obiad cienką zupkę i groszek z marchewką. Tatko spojrział na to skromne danie z mi-ną psa, któremu zamiast kości podano na talerzyku zdechłą mysz.

Dziobnął trochę marchewki i odłożył widelec.

- Magdusia - rzekł z całą stanowczością - wolę umrzeć, niż jeść marchewkę!

Nazajutrz kazał sobie podać krwawy befszyk i kieliszek wina. Protesty i błagania Magdusi nie odnosiły żadnego, skutku. Zamiast odpoczywać malował całe rano, a wieczorem grał w brydża do dwunastej w nocy.

Żył potem w najlepszej formie jeszcze dwadzieścia lat, przeżywszy owego lekarza, który ośmielił się skazać Kossaka na groszek z marchewką.

Tatko, z nogą w gipsie, postanowił mimo błagań Maniusi pojechać na lato autem do Juraty. Usadowił się wewnątrz wozu, z nogą na strapon-tenie i cała familia jak zwykle co roku ruszyła w podróż. Tegoroczny pobyt w Juracie nie był tak wesoły jak zwykle. Tatko, chmurny i niezadowolony z życia, siedział unieruchomiony na werandzie czytając książki i gazety. Piękne znajome przychodzące z wizytą drażniły go tylko, ponieważ nie mógł pomaszerować w ich towarzystwie na popołudniowy dansing do „Lido” lub na partyjkę brydża do znajomych. Pewnego słonecznego poranka rodzina ujrzała scenę, która zmroziła krew w żyłach: Tatko z pomocą szofera krajał gips na złamanej nodze.

- Na miłość boską, Wojteczku, co ty robisz?

- Zdejmuję to paskudztwo, dość mam tego!

Nazajutrz o laseczce zaczął próbować pierwszych kroków po mieszkaniu. Pokazało się, że noga złamana w dwóch miejscach zrosła się u tego osiemdziesięcioletniego młodzieńca w przeciągu sześciu tygodni!

Po kilku dniach chodził z laseczką na spacer jak gdyby nigdy nic. Lekarze byli zdumieni i zaskoczeni. Ten Kossak obalał całą dotychczasową wiedzę lekarską.

Tatko, ta kopalnia nieustającego dobrego humoru i świetnych powiedzonek, zdumiał pewnego eskulapa, który chciał się, dowiedzieć, co

„mistrz” Kossak robi, aby do tak późnego wieku zachować młodość, krzepę i wspaniałe samopoczucie.

242

- Panie doktorze -. odparł Tatko z całą powagą - mogę panu powiedzieć tylko jedną rzecz - NIGDY nie zdradziłem swojej małżonki! Cnota utrzymywała mnie tak długo w dobrej formie.

Przy tej rozmowie było, Mamidło, które mając duże poczucie humoru tak się zaczęło śmiać, że aż jej łezki popłynęły z niebieskich oczu.

Wiele było wspaniałych nekrologów po śmierci Wojciecha. Nikt jednak nie określił jego odejścia w sposób tak trafny, jak pewna mała fryzjerka z ulicy Zwierzynieckiej, która czesała wszystkie panie na Kossakówce:

- Ja rozumiem, że inni ludzie umierają, ale żeby pan Kossak!...

W sierpniu 1939 roku cała rodzina, jak zwykle latem, zjechała do Juraty. Koło starszych kręciły się dwie śliczne wnuczki Kossaka, córka Jerzego i córeczka Magdaleny, za którymi Wojciech przepadał. Nie pozwalał im jednak mówić do siebie „dziadziu”, więc nazywały go „starszym tatą”.

Z całej tej beztroskiej rodziny tylko jedna Lilka przeczuwała, na co się zanosi. Siedziała zatroskana, ze zmarszczką na czole. Okropna wizja wojny nie opuszczała jej ani na krok.

- Siedzicie tu tacy zadowoleni, bezmyślni, a nie wiecie, że za kilka tygodni wybuchnie wojna!

- Mogę ci zagwarantować, Lilusiu, że nijakiej Wojny nie będzie -

odpowiadał na to Tatko spokojnie i szedł sobie na brydża do znajomych.

Mama, która wierzyła słowom Tatki, też uspokajała starszą córkę.

- Jak tatko mówi, że wojny nie będzie - to na pewno wszystko się jakoś rozejdzie po kościach. Przecież już zeszłego roku robiono wojenną panikę i skończyło się na niczym. Niemcy są za słabi, aby na nas uderzyć.

243

Lilka jako żona wojskowego dobrze wiedziała, że Niemcy są bardzo silni i że Jeźdźcy Apokalipsy już siodłają swoje makabryczne rumaki.

Trzepotała się jak ptak przed burzą. Uciekała z Juraty do Warszawy, po kilku dniach wracała blada z wylęknionymi oczami, błagając całą rodzinę, aby czym prędzej opuszczała Wybrzeże.

Tatkę bardzo to denerwowało.

- Przestań nam psuć humor i pogodny nastrój, moja Lilusiu. Skoro ja ci mówię, że wojny nie będzie, to możesz mi wierzyć. Zresztą to samo twierdzi Stefanek Ossowiecki.

W drugiej połowie sierpnia, po idyotycznej kłótni z Madzią, która na drugi dzień rano na przeprosiny ofiarowała jej nową parę jedwabnych pończoch, Lilka zapakowała swoją walizeczkę i postanowiła jechać do Warszawy do męża i już zrezygnować z dalszych wakacji.

Był reklamowy słoneczny poranek pełen słońca, ametystowy od wrzosów. Lilka w granatowej jedwabnej sukni w duże różowe grochy, z chusteczką z tego samego materiału, zawiązaną pod brodą; stanęła ze swoją walizką na ganku. - Madziusiu - poprosiła - odprowadź mnie na dworzec...

- Nie mogę - odparła Madzia - umówiłam się ze znajomymi na pla-

ży.

- No, to bądź zdrowa...

Z ganku willi widziała ją, jak szła sama, z pochyloną głową, i jeszcze na chwilę mignęła jej

granatowa sukienka, a potem zniknęła na zawsze.

Nigdy nie wiadomo, kiedy się kogoś najbliższego widzi po raz ostatni.

W tydzień później wybuchła wojna.

SPIS TREŚCI

I. DUCHY

5

II. KARIERA OBU SISTERS

23

III. ZA CZASÓW KRÓLA ĆWIECZKA

41

IV. KONSTANTYNOPOL

81

V. OJCIEC I CÓRKI

121

VI. WARSZAWSKIE PREMIERY

133

VII. HANDLARZ ŻYWYM TOWAREM

145

VIII. RÓŻE, CIERNIE I ZALICZKI . . 169

IX. JULES ROMAINS 183

X. SARMENTO DE BEIRES

193

XI. PO SŁOŃCE AFRYKI . . .

209

XII. ANGLIA

223

XIII. JURATA

231